

# Joanna Tekieli

---

*„Pełna humoru, pięknych opisów i barwnych postaci opowieść sprawia, że wszelkie niepowodzenia przestają mieć znaczenie”.*

Krystyna Mirek

## *Rok w Pensjonacie Leśna Ostoja*

FILIA



Joanna Tekieli

*Rok w Pensjonacie  
Leśna Ostoja*

FILIA

Przyrodzie (ze szczególnym uwzględnieniem drzew)

– za nieustanną inspirację

# GRUDZIEŃ

---

*Pomódlmy się w Noc Betlejemską,  
W Noc Szczęśliwego Rozwiązania,  
By wszystko się nam rozplątało,  
Węzły, konflikty, powikłania.  
Oby się wszystkie trudne sprawy  
Porozkręcały jak supełki,  
Własne ambicje i urazy  
Zaczęły śmieszyć jak kukiełki.*

JAN TWARDOWSKI

## Rozdział 1

---

Stary, podniszczony i upiornie kolorowy fotel pędził w dół po schodach z takim impetem, że Justyna, która właśnie skręciła na swoje piętro w drodze do mieszkania, ledwo zdołała uskoczyć na bok i przylgnąć do ściany, unikając staranowania. Kilka metrów za fotelem gnał rozczochrany i czerwony na twarzy młody ciemnowłosy mężczyzna w białym podkoszulku i szarych dżinsach. Fotel dojechał do ściany na półpiętrze, uderzył w nią z głuchym plaśnięciem – po czym zatrzymał się.

– O Jezu, przepraszam! – jęknął mężczyzna, przeczesując ręką włosy, przez co jeszcze mocniej je rozczochrał. – To barachło o mało cię nie zabiło! Dobrze, że masz świetny refleks!

– Jak się pracuje w korpo, trzeba umieć robić szybkie uniki. – Uśmiechnęła się, choć serce wciąż mocno waliło jej w piersi. – Niesiesz to na górę czy sprowadzasz w dół?

– W dół! Chcę się cholerstwa pozbyć. – Wyciągnął rękę. – Mam na imię Eryk i mieszkam pod dziewiętnastką.

Dopiero teraz uważniej mu się przyjrzała. Był przystojny. Miał ciemny zarost, który wzdłuż linii szczęki tworzył granatową linię, a pod jego podkoszulkiem rysowało się ładne, szczupłe ciało.

– Justyna spod siedemnastki. – Uścisnęła mocną dłoń i w tej chwili dotarło do niej, co powiedział. – Ale... jak to spod dziewiętnastki? To nade mną! A pani Halinka?

– Umarła we wrześniu. Jestem jej wnukiem. Wprowadziłem się dopiero tydzień temu, bo musiałem wszystkie sprawy pozałatwiać, złożyć wypowiedzenie z pracy w Tarnowie, poszukać nowej tutaj...

– Och, współczuję... To znaczy... Śmierci babci, a nie tego, że się wprowadziłeś... – Justyna się zaplątała. Eryk machnął ręką.

– W ogóle jej nie znałem. Widziałem ją parę razy w życiu. Obraziła się na mojego tatę i nie życzyła sobie odwiedzin. Ale mieszkanie mi jednak zapisała. – Wzruszył ramionami. – Tylko teraz chyba się wściekła, że chcę ten jej fotel wywalić...

– Jak już, to chciała ci pomóc, skoro tak żwawo poleciał!

– Kolega miał przyjść, ale coś mu wypadło, a ja czytałem w regulaminie dla mieszkańców, że w pierwszy wtorek miesiąca wywożone są śmieci wielkogabarytowe, no to sobie pomyślałem, że się chociaż tego barachła pozbędę, bo nie mogę na to patrzeć... No i wygląda na to, że przeceniłem swoje siły, bo ciężkie jest diabelnie!

– To się nie męcz, tylko zrzuć go dalej w ten sam sposób – poradziła Justyna. – Tylko ja stanę przy drzwiach sąsiada, żeby ktoś przypadkiem nie wyszedł i nie został staranowany.

– Dobry pomysł! Dzięki.

Justyna stanęła przytulona do drzwi mieszkania piętro niżej, a Eryk zepchnął fotel ze schodów. Tym razem mebel nie zjechał tak gładko jak poprzednio, tylko wykonał dwa fikołki, tracąc przy tym masywne oparcie.

– No to teraz już lekko pójdzie! – ucieszył się Eryk. Resztę bez problemu stoczyli z Justyną na dół i razem zanieśli pod śmietnik, po czym Eryk zrobił

jeszcze rundę z oparciem i wracając, dogonił Justynę już pod drzwiami jej mieszkania.

– Przygotowałem kolację, żeby podziękować kumplowi za pomoc – powiedział. – A skoro on nie przyszedł, a ty mi pomogłaś, to zapraszam!

Wahała się przez chwilę, ale przypomniała sobie, że wczoraj wróciła późno z teatru i nie zdążyła niczego ugotować, więc pokiwała głową i ruszyła za nim po schodach.

Mieszkanie wyglądało inaczej niż je zapamiętała ze swoich interwencyjnych wizyt u pani Halinki. Urządzone było w stylu skandynawskim – jasne meble, jasne płytki, ascetyczny wystrój. Eryk zaprosił ją do kuchni, nastawił wodę na herbatę i wstawił do piekarnika brytfankę, z której po chwili rozszedł się po całym pomieszczeniu bardzo apetyczny zapach. Justyna, która spodziewała się raczej golonki z piwem, uniosła brwi ze zdumienia.

– Myślałaś, że podam mrożoną pizzę? – zapytał, trafnie interpretując jej minę.

– Coś w tym stylu.

Pokręcił głową.

– Lubię gotować, dużo eksperymentuję w kuchni i staram się zdrowo odżywiać, więc nie jadam pizzy i innych śmieci. Dzisiaj spróbujesz bakłażanów zapiekanych z pieczarkami, awokado i pomidorami.

– Brzmi świetnie...

Rozejrzała się po nowocześnie urządzonej kuchni.

– Od dwóch miesięcy przyjeżdżam tu w weekendy i remontuję, co się da. Najwięcej zrobiłem w połowie września, bo miałem wtedy urlop. Nawet byłem u ciebie parę razy, żeby uprzedzić, że będzie straszny hałas, ale nigdy cię nie było.

– No tak, przez cały sierpień i wrzesień byłam w delegacji i tylko parę weekendów spędziłam tutaj, a i to raczej nie w domu, tylko na bieganii po

mieście i spotkaniach z przyjaciółmi. – Nie chciała się wdawać w szczegóły, bo opowiadała już o Drzewiu tyle razy, że miała dość.

– Twoje szczęście, bo tłułem się potwornie. Teraz już został mi tylko salon, ale szczerze mówiąc, nie mam na niego ani pomysłu, ani sił. Tylko ten upiorny fotel chciałem wywalić, tak na symboliczny początek.

– Jest aż tak źle?

Wstał i dał jej znak, żeby poszła za nim.

– Sama zobacz...

Kiedy otworzył drzwi do salonu, Justynę zamurowało. Powiedzieć, że był zagracony, to eufemizm. Tam nie było ani jednej wolnej półki, ani centymetra pustej przestrzeni! Wszędzie leżały stosy książek, skrzynki narzędziowe, jakieś pudełka, kilka żelaznych łańcuchów, bibeloty, wazoniki. W rogu pokoju Justyna zauważyła nawet... kowadło.

– Ile razy tu wchodzę, zawsze coś zrzucam, te rupiecie żyją swoim życiem, jak nawiedzone. Nie wiem, po co jej to wszystko było, zwłaszcza te łańcuchy... – jęknął Eryk. – Jak się z tych skrzynek wysypują te różne szpeje, to u ciebie chyba sufit drży, za co przepraszam...

– Spoko, ale przynajmniej teraz już wiem, jak twoja babcia produkowała te swoje upiorne hałasy, które parę razy prawie wywołały u mnie zawał. – Justyna się uśmiechnęła.

Eryk pokiwał głową.

– Wyobrażam sobie! – powiedział. – Ogłosiłem w różnych portalach wielką wyprzedaż w ten weekend. Książki za dwa złote za sztukę, bibeloty za pięć albo do negocjacji i tak dalej... Mam nadzieję, że pozbędę się paru rzeczy, a resztę po prostu wywalę.

Spojrzała na niego ze zgrozą.

– Chcesz wywalić książki?!

Wzruszył ramionami.

– Nie lubię czytać. A trzymać je w domu po to, żeby były, to bez sensu.



Tylko kurz się zbiera. No ale nie, książek nie wyrzucę. Myślałem, żeby do jakiejś biblioteki oddać. Ale jak masz ochotę, to sobie coś wybierz, nawet wszystkie możesz zabrać, będę miał kłopot z głową. A ja pójdę sprawdzić, co z zapiekanką.

Justyna z błyskiem w oku zanurkowała między alejki z książek i ze zdumieniem stwierdziła, że pani Halinka czytała wszystkie gatunki. W jej zbiorach była zarówno klasyka, jak i bestsellery z ostatnich miesięcy. Kryminały, sensacja, poezje, romanse, biografie, albumy o sztuce i architekturze, literatura podróżnicza. Do wyboru, do koloru. Wybrała jedenaście książek i zataszczyła je do kuchni. Eryk nakładał właśnie zapiekankę.

– Tylko tyle? – zapytał na widok stosiku książek. – Możesz spokojnie wybrać więcej, będę ci wdzięczny! A jakieś wazoniki ci się nie przydadzą? Albo skrzynka z narzędziami? Babcia ma ich ze dwadzieścia, wszystko nowiutkie i dobrej jakości! Nie wiem, po co jej to było, bo nie sędzę, żeby majsterkowała... Zostawiłem sobie trzy, tak na wszelki wypadek, ale reszta... Tylko miejsce zajmuje.

– To chętnie jedną wezmę. Dobrze mieć w domu coś takiego.

– Okej, potem pomogę ci to zanieść do ciebie.

Zapiekanka była wspaniała. Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Pycha! – pochwaliła Justyna.

– Idealnie zbilansowany posiłek – odpowiedział. – Mam bzika na punkcie zdrowego stylu życia. Jestem fizjoterapeutą, więc dbam o swoje ciało, bo to moje narzędzie pracy. Zresztą jak się tak napatrzę na tych różnych grubasów, którzy przychodzą i skarżą się na bóle kręgosłupa, to mam ochotę im powiedzieć, żeby zamiast wydawać forszę na rehabilitację, zaczęli się więcej ruszać i przestali się opychać chipsami i tłustym mięchem!

– To przecież nie zawsze jest wina obżarstwa i braku ruchu. Są różne choroby, które powodują tycie...

– Moim zdaniem, większość problemów zdrowotnych wynika

z niewłaściwej diety. Ludzie bezmyślnie się obżerają jakimiś batonami i innym paskudztwem.

Justyna poczuła ochotę, żeby wyciągnąć z torby batonik i spałaszować go ostentacyjnie, ale się powstrzymała. To byłaby dziecinada... Szkoda psuć sobie dobre relacje z nowym sąsiadem. Podziękowała, zmusiła Eryka do przyjęcia stu złotych za wybrane przez nią rzeczy i zeszła do siebie. Eryk odprowadził ją, dźwigając dwie skrzynki narzędziowe.

– Dzięki – powiedziała. – I do zobaczenia.

W mieszkaniu sprawdziła komórkę i zobaczyła, że ma dwa połączenia od Agnieszki, najlepszej przyjaciółki. Rozsiadła się wygodnie i oddzwoniła. Agnieszka nie kryła ekscytacji, słuchając o nowym sąsiedzie. Znane jej były problemy Justyny z hałasującą o nieludzkich porach panią Halinką, więc uznała, że taka zmiana wyjdzie koleżance na dobre.

– Przystojny jest? – zapytała, gdy Justyna skończyła opowiadać o fotelu, zdrowej kolacji i upiornie zagraconym salonie.

– Nawet bardzo. Ale... Może coś ze mną nie tak albo jakiś bezpiecznik mi się przepalił, bo nie działa na mnie ani trochę. W ogóle mnie nie pociąga, choć obiektywnie muszę przyznać, że niezłe z niego ciacho.

– Bywa... Ale zawsze fajnie mieć nad głową miłego i przystojnego sąsiada zamiast hałaśliwej staruszki.

– No, chyba tak...

– Zresztą jeszcze może się okazać, że to bomba z opóźnionym zapłonem. Wiesz, na razie na ciebie nie działa, a jak już zacznie, to całe osiedle zadrży. – Agnieszka uwielbiała snuć takie scenariusze.

– Jasne! – roześmiała się Justyna.

Rozmowa z Erykiem zasiała jednak w jej umyśle pewną myśl. Od dawna już planowała, żeby zacząć ćwiczyć, ale siłownia pełna spoconych obcych ludzi jakoś ją odstraszała. Może warto jednak ponownie to rozważyć?

## Rozdział 2

---

Agata Woźniak, zwana Cruellą przez pracowników Konsultraku, w którym od niedawna pełniła funkcję dyrektorki, nacisnęła mocniej pedał gazu, ale niewiele to pomogło. Samochód, kupiony z myślą o wygodnych miejskich drogach, a nie piaszczystych wertepach, jęczał i wył na nierównej powierzchni, koła raz po raz buksowały i w efekcie maszyna poruszała się z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę.

– Pieprzony pensjonat na pieprzonym zadupiu! – warknęła Agata i ze złością uderzyła dłonią w kierownicę.

Była pewna, że pomysł, aby to właśnie ona poprowadziła pensjonat akurat w grudniu, był zemstą prezesa za próbę zwolnienia jego siostrzenicy. Ale skąd miała wiedzieć, że ta smarkula jest jego krewną?

– Niech to szlag! – Samochód ponownie utknął i tym razem musiała wysiąść, zapadając się po kostki w piachu, żeby podłożyć pod koła jakąś deskę. Na szczęście kilka leżało na poboczu, więc najwyraźniej takie zdarzenia nie były tu rzadkością.

Samochód zawył przeraźliwie, ale w końcu koła złapały przyczepność i Cruella ruszyła dalej, analizując w głowie swoje zadanie.

– Co za durny pomysł, żeby mnie tu wysłać!

Gdyby prezes zlecił jej tę misję podczas rozmowy w cztery oczy, na pewno jakoś by się wykręciła. Ale ten padalec zrobił to w obecności całego zarządu i na dodatek – tej cholerniej Justyny. No po prostu nie miała wyjścia. Zastanawiała się jeszcze, czy w grudniu nie pójść na zwolnienie lekarskie, ale uznała, że będzie to wyglądało podejrzanie, bo od początku pracy w Konsultraku nigdy nie była na zwolnieniu i często wypominała chorującym pracownikom, że choroby są wynikiem zaniedbań, nierozważnego postępowania i braku higieny.

Strzałka wskazująca drogę do pensjonatu pojawiła się w samą porę, bo Agata zaczęła się już zastanawiać, czy jednak nie pobłądziła na tym zadupiu. Skręciła w lewo i po kilku minutach odetchnęła z ulgą, widząc na horyzoncie bramę wjazdową do dworku. Ku jej irytacji brama była zamknięta, choć podczas zebrania wyraźnie pouczali pracowników, aby zamykali ją tylko na noc.

– Goście nie mogą wysiadać z samochodu tylko po to, żeby nacisnąć dzwonek domofonu! – tłumaczył prezes. – Muszą od początku czuć się mile widziani. Wiecie, jak w *Panu Tadeuszu*: „Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza”...

„Nawet tego nie potrafił zapamiętać, durny baran” – pomyślała Agata, obiecując sobie zrobić porządek z młodym asystentem Antkiem, którego miała zmienić na stanowisku zarządcy pensjonatu.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę bramy, patrząc ze zgrozą, jak jej modne szpilki, w tej chwili całe pokryte kurzem, zapadają się między drobne kamyczki, jakimi wysypano podjazd. Zrobiła ledwie kilka kroków, gdy z lasu wyłonił się jakiś mężczyzna. Wyraźnie zmierzał w jej kierunku. Był wysoki i dość przystojny, choć bardzo mocno zaniedbany. Jego włosy prosiły się o wizytę u fryzjera, a garderoba przypominała modę z lat osiemdziesiątych, a jednak biła z niego jakaś siła i zdecydowanie, które przyciągnęły wzrok

Agaty.

– Jezu, gapię się na jakiegoś wioskowego osiłka... Chyba mi na mózg padło... – Cruella pokręciła z niesmakiem głową i zrobiła jeszcze kilka kroków, gdy usłyszała potworne wycie.

– Aniuuuuuuuuu!!

Odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna, którego wcześniej obserwowała, pędził teraz w jej kierunku, drąc się na całe gardło, a to, co Agacie wydawało się wcześniej paskiem od plecaka, okazało się być... trzonkiem siekiery. Do tej pory najwyraźniej opierał ją na ramieniu, tak że ostrze znajdowało się za jego plecami, teraz zaś unosił ją nad głową, wymachując szaleńczo.

– Aniuuuuuuuuu!!! – darł się, zbliżając się z dużą prędkością.

Agata pisnęła cienko i w kilku susach dopadła do swojego samochodu. Ledwo zdążyła zamknąć i zablokować drzwi, gdy potężny mężczyzna znalazł się przed maską, wywijając wielką siekierą i bełkocząc coś, czego nie rozumiała. Drżącymi rękami wyciągnęła telefon i zadzwoniła na policję.

– Proszę zachować spokój i nie opuszczać pojazdu – powiedział dyspozytor.  
– Zaraz wyślę do pani patrol.

– Pośpieszcie się... – jęknęła. – To jakiś psychopata!

„Zaraz” w wykonaniu miejscowej policji trwało prawie dwadzieścia minut, podczas których Agata próbowała odstraszyć napastnika, naciskając klakson (to tylko bardziej go rozsierdziło i sprawiło, że zaczął szarpać drzwiczki do samochodu) i usiłując odjechać (ale zdradziecki samochód wydał jakieś podejrzane rżenie i nie zapalił). Kiedy zobaczyła na horyzoncie samochód policyjny, łzy ulgi popłynęły jej z oczu.

„No nareszcie! Myślałby kto, że korki ich zatrzymały...” – pomyślała.

Policjanci szybko poradzili sobie z mężczyzną, przekonując go, by wrócił do domu. Kiedy skierował się w stronę lasu, zarzucając na ramię siekierę, Agata wyskoczyła ze swojego samochodu jak z procy.

– Co to ma być?! – wrzasnęła, jednak jej głos zabrzmiał tak cieniutko, że

sama go nie rozpoznała. – Puszczacie go?! Przecież to jest jakiś psychopata!!! Ja sobie nie życzę, żeby taki się kręcił koło mojego pensjonatu! Ja to zgłoszę! Złożę na was skargę! Ja...

– Dobrze już, dobrze, niech się pani nie denerwuje – łagodził niewysoki policjant. – Weźmy go na komendę! – dodał, zwracając się do piegowatego kolegi.

Obaj podbiegli do mężczyzny, który zdążył już odejść dość daleko, i coś mu perswadując, poprowadzili go do samochodu. Kiedy mijali Agatę, mężczyzna rzucił jej smutne spojrzenie i szepnął:

– Aniuuuu...

Agata, na wszelki wypadek stojąc w otwartych drzwiach swego samochodu, w milczeniu przyglądała się, jak policjanci pomagają szaleńcowi wsiąść do radiowozu (ze zgrozą odnotowała, że nawet nie zabrali mu siekiery!), i dopiero gdy samochód policyjny zniknął za zakrętem, zadzwoniła do bramy.

– Agata Woźniak! – warknęła, gdy w domofonie odezwał się wesoły głos Antka. – I lepiej, żeby brama do garażu nie była zamknięta! – W jej twarzy musiał odbijać się stan jej ducha, bo brama do garażu była otwarta na oścież, a obok czekał Antoni, uśmiechając się przepaszająco.

– Przepraszam, że musiała pani wysiadać z samochodu – zawołał, zanim zdążyła na niego nawrzeszczyć. – Ale od rana kręci się tutaj ten świr z siekierą. Niby nie jest groźny, ale wie pani, gdyby wszedł na teren pensjonatu, mógłby jednak kogoś przestraszyć. Albo porąbać nam coś w ogrodzie... Dlatego wolałem zamknąć.

Minęła go bez słowa, ciągnąc dwie wielkie walizki. Po kilku nieudanych próbach przejęcia bagażu chłopak zrezygnował z pomagania jej i ruszył przodem, wskazując drogę.

– Ja już jestem spakowany – powiedział, otwierając przed nią drzwi do pokoju. – Pokój jest posprzątany, pościel świeża. Myślę, że będzie tu pani przyjemnie, ja w każdym razie całkiem dobrze się tutaj czuję.

– Nie interesuje mnie, jak pan się czuł. Proszę mi przekazać księgę gości

i informacje o rezerwacjach i pracownikach pensjonatu, a potem może pan jechać.

Antoni przedstawił Agacie ekipę kuchenną i pokojówkę – panią Wandę, niewysoką ciemnowłosą kobietę po pięćdziesiątce, uśmiechniętą i sympatyczną. Zarówno ją, jak i ekipę kuchenną zatrudniła jeszcze we wrześniu Justyna Mińska, a wszystkich ich polecił jej oczywiście niezrównany Jakub Midas. Stworzyli wspólnie ambitną drużynę, pragnącą uniknąć w nowym miejscu pracy wszystkiego, co ją drażniło w poprzednich, a więc: bylejakości, niedbalstwa i potraw z mikrofal. Nowy szef kuchni podczas rozmowy w sprawie pracy przedstawił Justynie wizję zdrowszej wersji staropolskiej kuchni, którą ta bez wahania zaakceptowała, a goście pensjonatu – pokochali. Nawet miejscowi zaglądali tu od czasu do czasu, zwłaszcza w weekendy.

– Człowiek ma czasem ochotę zjeść coś, co ktoś dla niego przygotuje – mówili, przeglądając kartę dań.

Jedynym odstępstwem od staropolskiej kuchni, na które nalegał prezes – było curry. Figurowało w karcie pod nazwą „Niespodzianka prezesa”. Kucharz początkowo ostro protestował przeciwko obecności w jego kuchni „gorących kubków”, ale kiedy zobaczył, jak prezes delektuje się ulubionym daniem, skapitulował i zawsze trzymał w szafce kilka gotowych do zalania kubeczków, na wypadek wizyty szefa.

– Klient nasz pan... A klient szef tym bardziej...

Cruella zaszczyliła pracowników chłodnym uśmiechem i skierowała się do recepcji. Antoni zapoznał ją ze wszystkim, co miało znaczenie dla prowadzenia pensjonatu, po czym z westchnieniem ulgi wsiadł do swojego samochodu i odjechał, zostawiając ją samą na posterunku. Agata siedziała w recepcji, zapoznając się z programem komputerowym i planem rezerwacji, gdy do pensjonatu weszła para młodych ludzi, taszcząc sprzęt narciarski i ciężko dysząc.

– Chcielibyśmy wynająć pokój – wysapał młody chłopak ubrany w kombinezon narciarski. – Czy są wolne miejsca?

– Oczywiście. – Agata uśmiechnęła się i podała im formularze do wypełnienia, przyjęła pieniądze za pobyt, po czym zaprowadziła oboje do pokoju na piętrze.

Wróciła do recepcji, mając nadzieję, że w spokoju będzie mogła zapoznać się z funkcjonowaniem pensjonatu, ale ledwie przeczytała dwie strony instrukcji napisanej przez prezesa i uzupełnianej sukcesywnie przez kolejnych pracowników piastujących funkcję zarządzających pensjonatem, kiedy nad jej głową załomotały ciężkie kroki i para młodych narciarzy przedfilowała przez hol, w kierunku wyjścia. Wrócili po niespełna kwadransie, patrząc na Agatę z gniewem.

– Tutaj nie ma żadnych tras narciarskich! – zawołała z oburzeniem dziewczyna.

– A to wzgórze jest zupełnie zarośnięte! – dodał nie mniej oburzony chłopak. – Nie da się z niego zjeżdżać!

– A jak, przepraszam, chcieli państwo zjeżdżać? – zapytała słodko Cruella, obdarzając ich swoim firmowym zimnym uśmiechem, który sprawiał, że nawet w środku upalnego lata lód ścinał akweny w promieniu kilku metrów od niej. – Widzicie państwo gdzieś śnieg?

– No właśnie! – odpowiedziała dziewczyna, a na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy świadczące o zdenerwowaniu. – Ani grama! A w Tatrach już jest!

– W Tatrach jest... – potwierdziła Agata. – Ale u nas niestety nie. Skoro wybierali się państwo na narty, nie od rzeczy byłoby sprawdzić najpierw warunki pogodowe panujące w miejscu, do którego jedziecie... No a poza tym, na naszej stronie internetowej jest dokładny opis pensjonatu i jego okolic. Gdzie państwo znaleźli informację o trasach narciarskich?

– Wprowadzacie ludzi w błąd! – wrzasnął chłopak. – Na stronie jest napisane, że za pensjonatem jest wzgórze i wiele szlaków do spacerów! Należało napisać, że nie ma wyznaczonych tras narciarskich!

– A gdzie pan widział pensjonat, który pisze na stronie o tym, czego w nim



nie ma? – Cruella aż podniosła się ze swego miejsca i patrzyła na nich wzrokiem bazyliuszka. – Strona miałyby chyba z tysiąc zakładek! Dlatego przyjęte jest, że podaje się atrakcje, którymi ośrodek dysponuje. A poza tym, po to jest podany telefon i adres e-mailowy, żeby można było się upewnić.

– Wyjeżdżamy stąd! Pani nam zwróci pieniądze za nocleg!

– Proponuję spojrzeć na formularze, które państwo podpisali. – Głos Cruelli był teraz słodki jak miód. – Na dole jest informacja, że jeżeli goście zrezygnują z noclegu z przyczyn niezależnych od pensjonatu, nie należy im się zwrot opłaty. A brak śniegu pierwszego grudnia z całą pewnością nie jest naszą winą! Jednak jeżeli sądzą państwo inaczej, tutaj jest numer do naszego prawnika. – Podała im elegancką białą wizytówkę. – Może on wyjaśni te kwestie w bardziej zrozumiały sposób...

Młodzi ludzie wymienili spojrzenia, po czym chłopak odezwał się pojednawczym tonem:

– Zresztą, skoro już zapłaciliśmy, to tę jedną noc jednak zostaniemy. Tras narciarskich tu co prawda nie ma, ale może pospacerujemy po lesie czy coś.

– Oczywiście, jak państwo sobie życzą.

Agata uśmiechnęła się do niego z wyższością i kiwnęła łaskawie głową, po czym usiadła za biurkiem, kontynuując przerwana lekturę, a goście wrócili do swojego pokoju, żeby przebrać się w bardziej wygodne ubrania.

## Rozdział 3

---

Młodzi ludzie wyjechali następnego ranka, żegnani słodkim uśmiechem Agaty i niezbyt szczerym: mam nadzieję, że wkrótce państwo nas znowu odwiedzą, serdecznie zapraszamy!

„Pewnie nas obsmarują w necie” – pomyślała i postanowiła, że dla następnych gości będzie jednak nieco miłsza. Okazja do zaprezentowania miłszej strony jej osobowości tego dnia już się jednak nie trafiła, bo do wieczora w pensjonacie nikt się nie pojawił.

„Może to i dobrze” – stwierdziła. „Będę mogła w spokoju wszystkiemu się przyjrzeć i zobaczyć, jak co działa”.

Wieczorem wyszła do ogrodu, żeby sprawdzić, czy brama pensjonatu na pewno jest zamknięta. Nie ufała tym zdalnie sterowanym zamkom, a po występie szaleńca z siekierą wolała się upewnić, że wszystko jest w porządku. Temperatura spadła wyraźnie poniżej zera i Agata czuła, że coraz mocniej marzną jej policzki. Kiedy mijała garaż, usłyszała potworny łomot, który sprawił, że natychmiast zrobiło jej się gorąco. Odwróciła się gwałtownie. Przesuwne drzwi do garażu były otwarte, w środku świeciło się światło

działające na czujnik ruchu, a rozlegający się stamtąd huk był coraz głośniejszy.

„Jezu, ktoś się włamał i demoluje garaż!” – pomyślała spanikowana. „Pewnie to ten świr z siekierą!”.

Przez chwilę stała jak sparaliżowana, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić. Dopiero kolejny ogłuszający łomot przywrócił jej przytomność umysłu. Na palcach podeszła do drzwi garażu i stanęła tak, aby nie być widoczną – choć przez to sama także nie była w stanie zobaczyć, co dzieje się w środku. Drżącymi rękami przesuwiała kolejne klucze, aż odnalazła właściwy. Jak potrafiła najciszej, wsunęła go w dziurkę, po czym z całych sił pchnęła drzwi, zatraskując intruza w środku. Błyskawicznie przekręciła kluczyk i odskoczyła do tyłu, bo w tym momencie ktoś uderzył w drzwi z taką siłą, że miała wrażenie, że poczuła drżenie podłoża. A co, jeżeli ten szaleniak z siekierą rozwali drzwi i rzuci się na nią?

– Kto tam jest?! – krzyknęła.

Odpowiedział jej kolejny łomot, świadczący o tym, że intruz dysponuje dużą siłą.

Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer miejscowego posterunku policji, który wpisała sobie od razu po przyjeździe.

Dominik Wir, który tego wieczoru – ze względu na panującą epidemię grypy – jako jedyny policjant w Drzewiu pełnił dyżur, zamiast trwać na posterunku, siedział na plebanii w towarzystwie swoich przyjaciół: Jakuba Midasa i księdza Igora. Plebania położona była kilka metrów od posterunku, więc mógł mieć na oku drzwi wejściowe, nie było również problemu z działaniem telefonu służbowego, który także tutaj łąpał zasięg bazy. Trzej muszkietierowie oglądali w telewizji skoki narciarskie, a Jakub Midas zachęcał właśnie Dominika, aby spróbował śliwowicy jego roboty.

– Weź, przecież jestem na służbie – oponował słabo aspirant, na co Jakub zmarszczył brwi.

– Co z wami, panowie? – powiedział. – Jeden nie pije, bo Wielki Post,

drugi, bo służba... Tacy z was kibice? Tak naszym skoczkom nie pomożecie!

– Nie Wielki Post, tylko adwent, poganinie – sprostował Igor. – I wcale wam pić nie bronię, adwent to nie jest czas wyrzeczeń. Tylko ja takie sobie powzięłem postanowienie. – Skrzywił się na widok Dominika, który jednym haustem wypił cały kieliszek wódki. – Aczkolwiek uważam, że Dominik na służbie nie powinien pić.

– Daj spokój, mamy grudzień, ludziska w domach siedzą i do świąt się szykują, a nie planują przestępstwa – odpowiedział aspirant i w tym momencie zadzwonił jego służbowy telefon.

– Dzwonię z pensjonatu Leśna Ostoja! – W pokoju Igora rozległ się wyraźnie spanikowany głos Agaty. – Ktoś włamał się do garażu i demoluje go! Zamknęłam go tam na klucz, ale rzuca się tak, że chyba zaraz rozwali drzwi!

Ostatnie słowa zagłuszył potworny łoskot.

– Proszę schować się w pensjonacie i dobrze zamknąć drzwi – powiedział Dominik. – Zaraz tam będziemy, proszę nie wychodzić na zewnątrz!

Rozłączył się i popatrzył na Jakuba i Igora z niepokojem.

– Kto dyżuruje w domu pod telefonem? – zapytał rzeczowo Igor.

– Ucho... – jęknął Dominik z rozpaczą.

Trzej muszkietierowie smętnie pokiwali głowami. „Ucho”, czyli Waldek Uchański, był nowym posterunkowym, okropnym służbistą i donosicielem.

– On ma psi węch! – jęczał Wir, coraz bardziej się rozklejając. – Od razu wyczuje alkohol i wylecę z roboty na zbity pysk! Żeby cię cholera, z tą twoją śliwowicą i kibicowaniem...

– Nie dzwoń po niego! I przestań się mazgać. – Igor klepnął przyjaciela w plecy. – Ja nie piłem, to cię zawiozę. Masz broń, więc w razie czego sobie poradzisz. To pewnie tylko jakiś miejscowy pijaczek albo Głupi Maciek nowego ataku dostał.

– Jadę z wami! – zdecydował Midas. – Jakby co, służę moimi żelaznymi

mięśniami!

– Nie mogę zabierać cywilów na akcję policyjną!

Igor wsparł dłonie na biodrach i popatrzył na niego wyzywająco.

– Kogo nazywasz cywilem?! – zapytał groźnie. – Za mną stoi silniejsza armia, niż mógłbyś sobie wyobrazić!

– Kolegów od cywilów wyzywasz?! – wsparł go Jakub. – Ja ci ściągając na matmie dawałem, a ty mi z takim tekstem wyjeżdżasz?!

– No dobra, dobra... – poddał się aspirant. – Odszczekuję cywilów...

Ruszyli w trójkę do drzwi i po chwili pędzili w stronę pensjonatu. Wjechali przez bramę i już z odległości kilkunastu metrów usłyszeli łomot dobiegający z garażu. Igor zaparkował samochód za służbówką.

– Zostańcie tu! Nie wysiadajcie z wozu! – szepnął Dominik do przyjaciół, wyjmując służbową broń. – I jakby coś poszło nie tak, nie próbujcie chojrakować, tylko dzwońcie po posiłki...

– Dobra, już nie bądź taki Bond...

Aspirant wyskoczył z samochodu, szybko pokonał schody na werandę i zapukał do drzwi pensjonatu. Cruella otworzyła natychmiast, blada i roztrzęsiona.

– Proszę pana, to może być znowu ten szaleniec z siekierą, który napadł mnie zaraz po przyjeździe! Zamknęłam go w garażu, ale tam jest mój samochód... Niech pan tak nie stoi, niech pan coś zrobi! To bandyta!

– Jeśli to Głupi Maciek, to nie ma się czego bać, mówiłem pani. Proszę mi dać klucze od garażu – szepnął.

Z kluczami w dłoni zbiegł pod drzwi garażu i załomotał w nie z całych sił.

– Ej! Ty tam, w środku! – wrzasnął, starając się brzmieć groźnie i pewnie. – Tu policja! Jesteś otoczony! Zaraz otworzymy drzwi, a ty wychodź z rękami do góry. Zrób trzy kroki i natychmiast połóż się na ziemi! Zrozumiano?!

Odpowiedział mu głuchy łoskot – taki, że aż zadrżały drzwi garażu.

– Tylko bez wygłupów! Jesteśmy uzbrojeni! – ostrzegł aspirant i szybko przekręcił klucz w zamku, po czym pociągnął przesuwne drzwi, błyskawicznie odskakując w bok, na wypadek gdyby ktoś ze środka otworzył ogień.

Przez moment nic się nie działo, a w następnej sekundzie rozległ się pomruk i z garażu wypadł w dzikim pędzie ogromny żubr. Aspirant cofnął się o krok, potknął o obrzeże podjazdu i runął jak długi na krzak hortensji. Żubr spojrział na niego z umiarkowanym zainteresowaniem, po czym minął go z dużą prędkością i pomknął w kierunku bramy wjazdowej, tratując przy okazji krzew forsycji i przeskakując stojącą za nim ławkę. Wszyscy trzej patrzyli z podziwem na ten bieg i imponujący skok, zaskoczeni zwinnością i szybkością zwierzęcia, które wydawało im się raczej ociążałe i spokojne.

Jakub Midas, który jako pierwszy otrząsnął się z szoku, wyskoczył z samochodu i pobiegł alejką za żubrem.

– Zamknę bramę, żeby drań tu nie wrócił! – zawołał. – Bo wtedy to już chyba obławę urzędzą i jeszcze biedaka odstrzelą!

To otrzeźwiło Dominika, który wygramoliwszy się z objęć hortensji, poprawił mundur i ostrożnie wszedł do garażu, trzymając przed sobą broń, choć nie spodziewał się, aby ktokolwiek towarzyszył żubrowi w jego wieczornej eskapadzie. Zgodnie z przewidywaniami garaż był pusty, jeśli nie liczyć samochodu Cruelli, który stał zaparkowany pod ścianą. Nie wyglądał najlepiej po bliskim spotkaniu z potężnym zwierzęciem, co było do przewidzenia. Aspirant sprawdził też dolny poziom parkingu, ale – tak jak przypuszczał – wszystko było w porządku. Schował broń i wyszedł z garażu dziarskim krokiem, oddychając głęboko.

– Może pani otworzyć, już wszystko opanowane – powiedział, stukając do drzwi pensjonatu. Agata była jeszcze bledsza niż poprzednio.

– Ccco tto bbyło? – zapytała drżącym głosem. – Wyglądało... jak... jak strasznie wielki byk! Chociaż...

Dominik parsknął śmiechem.

– Zgadza się, droga pani. Ogromny byk! Ale już sobie poszedł i na pewno więcej nie wróci.

Weszła do garażu i jęknęła na widok swojego samochodu.

– O Jezu, zdemolował mi auto...

– Spokojnie. – Midas, który zdążył już wrócić, pokręcił głową na widok samochodu. – Znam jednego gościa, który ma warsztat, zadzwonię do niego jutro, to przyjedzie do pani, zabierze autko, a jak odda, to będzie jak nowe! A ubezpieczenie na pewno pokryje straty spowodowane przez zwierzę.

– To na pewno był zwyczajny byk? – spytała z powątpiewaniem Agata, powoli odzyskując równowagę. – Bo co prawda nie widziałam go zbyt dobrze przez to okno, ale wydał mi się ogromny, no i taki jakiś...

– Takie już są byki – przerwał jej aspirant. – Ogromne i takie jakieś. Ale już po strachu!

Agata wyglądała, jakby miała za moment wybuchnąć. Widząc to, Igor wysiadł z samochodu i podszedł do niej z kojącym uśmiechem. Zamrugła niepewnie, lekko oszołomiona jego urodą, jak każdy, kto widział go po raz pierwszy.

– Proszę wrócić do pensjonatu – powiedział, łagodnie ujmując ją za ramię i prowadząc po schodach na werandę. Kiedy weszli do środka, posadził ją w fotelu w holu i podał szklanekę wody. – Proszę wypić wodę. Już wszystko jest w porządku. Na szczęście ucierpiał tylko samochód, a to akurat łatwo da się naprawić. Już dobrze?

Pod spojrzeniem jego pięknych niebieskich oczu poczuła, że całe napięcie, jakie nagromadziło się w ciągu ostatnich minut, znika. Pokiwała głową.

– Proszę teraz zamknąć porządnie drzwi. Musi pani odpocząć po tych przeżyciach. Zatrzaśniemy za sobą bramę. – Będąc już przy drzwiach, odwrócił się i rzucił jej jeszcze jeden uspokajający uśmiech. – Dobranoc!

– Ddobranoc – wyjąkała, ale jego już nie było.

Agata wolnym krokiem poszła do swojego pokoju, wypila szklanekę wina

z minilodówki i – nie rozbierając się – położyła się do łóżka. Zasnęła od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Trzej muszkietierowie wsiedli do samochodu i przez chwilę jechali w milczeniu. Kiedy wyjechali za bramę pensjonatu, Igor zaczął cicho chichotać. Na widok groźnych spojrzeń rzucanych mu przez Dominika nie był w stanie dłużej się powstrzymać i wybuchnął śmiechem na cały głos. Zjechał na pobocze, odchylił głowę na oparcie fotela i wył ze śmiechu.

– Wychodź z rękami do góry! – wykrztusił w końcu, naśladowując poważny ton aspiranta. – He he, dobrze, że cię nie posłuchał, bo uszkodziłby też sufit... O ja nie mogę...

– Chciałbym widzieć, jak go na glebę rzucasz! – wtórował mu Jakub Midas, który musiał wysiąść z samochodu, bo jego potężne ciało, wstrząsane konwulsjami śmiechu, nie mieściło się w fordzie aspiranta. – Sam rzuciłeś się bardzo fachowo! Ten krzaczor został spacyfikowany na amen!

– Wy też byliście w strachu! – Dominik splótł ręce na piersiach i nadal próbował rzucać im piorunujące spojrzenia, ale wkrótce skapitulował i zwinął się ze śmiechu na siedzeniu pasażera.

– No, zwłaszcza jak powiedziałaś „Zrozumiano?!”, to aż mnie zimny pot obleciał – wyznał Igor między jednym a drugim wybuchem śmiechu. – Ale on najwyraźniej też się ciebie przestraszył. Widziałeś, jak pędził? Wielki groźny policjant, z dużą pałką i służbowym pistoletem, to jednak nie przelewki... Nawet jak leży jak długi w hortensjach...

– Tak... To się nazywa respekt przed władzą... – wyjęczał Jakub, leżąc na ziemi i pokładając się ze śmiechu. – Wielki żubr, a zwiewał jak zajac! Pewnie wszyscy w lesie będą się z niego teraz nabijać.

Zanim dojechali na plebanię, musieli zatrzymać się jeszcze dwa razy, żeby przetrwać ataki śmiechu.



## Rozdział 4

---

Rano Agacie wydawało się, że to wszystko było tylko złym snem, jednak uszkodzony samochód i wgniecione w kilku miejscach drzwi garażowe świadczyły, że wcale nie śniła. W świetle dnia cała ta sytuacja nie wydawała jej się już tak dramatyczna jak w ciemnościach i Agacie było nawet trochę wstyd, że tak strasznie spanikowała.

„Pewnie będą teraz we wsi gadać, że paniusia z miasta histeryzuje na widok byka...” – pomyślała.

Powoli uruchamiała sprzęty w recepcji, zjadła śniadanie i czuła, że wraca do równowagi. Kilka minut po godzinie dziewiątej do holu pensjonatu wkroczyła puszysta dama w zamszowym płaszczu, prowadząca na smyczy małego pieska, ubranego w kolorowy sweterek, choć na zewnątrz było prawie dziesięć stopni.

– Ledwo was znalazłam... – jęknęła kobieta. – Mój syn mnie tu przywiózł, ale przegapił skręt w lewo i trafiliśmy do małej wioseczki, i dopiero tam nas pokierowali. Nie wiem, jak mógł przegapić ten drogowskaz, bo teraz widzieliśmy, że jest ogromny...

– Zdarza się... – pocieszyła ją Agata, wręczając formularz, podczas gdy syn kobiety – chudy, pryszczaty okularnik – wtaszczył do holu dwie walizki. – Za pieska nie musi pani płacić, ale proszę pamiętać o sprzątaniu po nim. No i na terenie pensjonatu musi chodzić na smyczy.

– Ja Nikusia nigdy ze smyczy nie spuszczam! – odparła z uniesieniem kobieta, patrząc na Agatę znad formularza. – To taka słodka kruszyna, ktoś mógłby mu krzywdę zrobić! A jeszcze tutaj, na wsi, to nawet kot by go poszarpał.

„Może nawet większa mysz” – pomyślała Agata, ale nie powiedziała tego na głos, żeby nie urazić gościa. Uśmiechnęła się czarująco i poprowadziła damę do pokoiku na parterze, jednym uchem słuchając jej zachwytów nad wystrojem i położeniem pensjonatu. Za nimi, jak cień, podążał obciążony bagażami syn kobiety. Postawił walizki w pokoju, poczekał, aż matka obejrzy wyposażenie, i upewniwszy się, że wszystko jej odpowiada, pognął do swojego samochodu, zapowiadając, że przyjedzie po nią za dwa tygodnie.

Ledwie Agata przestała słyszeć warkot silnika jego samochodu, gdy zadzwoniła jej komórka. Skrzywiła się, widząc na ekranie nazwisko prezesa Konsultraku.

– Pani Agato, mam nadzieję, że dobrze się pani bawi w naszym pensjonacie! – zaczął bez zbędnych wstępów. – Mam prośbę, żeby zarezerwowała pani ze trzy pokoje dla mojego szwagra i szwagierki z sześciorgiem dzieci, od dziesiątego grudnia do Nowego Roku. Wszystko pokryję. Ja z żoną przyjadę chyba dzień przed Wigilią, nie sądzę, żeby udało mi się wcześniej wyrwać. Mam nadzieję, że na stole pojawią się prawdziwe staropolskie potrawy! Aha! Zamówiłem choinki, żywe, dwumetrowe jodły, już na stojaczkach, żeby pani nie miała kłopotu z osadzaniem drzewek.

– Dwumetrowe?!

– No a jak! To pierwsze święta w naszym pensjonacie! Na nic nie będę żałować! Jedna stanie w recepcji, a druga w jadalni. – Prezes brzmiał jak podekscytowany sześciolatek. – No i zamówiłem takie małe, żywe jodły, tak do metra wysokości, w doniczkach, żeby je pani w każdym pokoju postawiła.

No i ozdoby oczywiście! Dzisiaj może się pani spodziewać kurierów! A do tego nowoczesnego apartamentu kupiłem taką modną instalację, na pewno się pani zorientuje, jak ją pani zobaczy! Przywiozła też zewnętrzne lampki, żeby pani nimi oplotła całą werandę. To proszę czekać na dostawy i brać się za dekorowanie! Chcę, żeby pensjonat wyglądał jak z bożonarodzeniowej pocztówki!

Prezes rozłączył się bez pożegnania, a Agata skrzywiła się z niesmakiem. Nie lubiła takich przeładowanych ozdobami wewnątrz, swoją choinkę dekorowała zawsze na jeden odcień, pasujący do wystroju mieszkania. Lampki i bombki w tysiącach kolorów uważała za dziecinne i kiczowate. Ale cóż – skoro prezes chce mieć pensjonat jak z pocztówki...

Wpisała rezerwacje, zaparzyła sobie kawy i przez godzinę siedziała w recepcji, przeglądając strony w internecie. Kupiła kilka gwiazdkowych prezentów, po czym wyszła na zewnątrz, bo pod pensjonat zajechał samochód firmy kurierskiej. Dwaj krzepko wyglądający panowie wynosili właśnie ogromną jodłę na wymyślnym stojaku.

– Gdzie postawić? – wysapali.

Agata wskazała im recepcję, więc podreptali z ciężarem do środka. Drugą jodłę zanieśli do jadalni, po czym, ciężko dysząc, odjechali, życząc jej wesołych świąt. Nie zdążyła jeszcze wrócić do środka, gdy pojawiła się kolejna furgonetka. Kurier, jęcząc i mrużąc pod nosem, wyładował na podjazd dwadzieścia pięć drzewek w ładnych, ozdobnych donicach, podał Agacie formularz do podpisania i odjechał, zostawiając ją z całym tym ładunkiem. Pani Wandzia, która właśnie skończyła sprzątać, wyszła na zewnątrz i aż klasnęła w dłonie.

– Ile drzewek! To chyba w każdym pokoju staną? Pomóc pani to pownosić?

Przez kolejne dwie godziny wносиły do pokoi donice, które okazały się całkiem sporo ważyć. Przezornie zaczęły od strychu, żeby najgorszą pracę mieć za sobą. Kiedy skończyły, obie były złane potem. Usiadły na fotelach w holu i ciężko oddychały, przyglądając się strzelistej jodle.

– Trzeba jej odwiązać gałęzie... – sapnęła pani Wandzia. – Ale to chyba

może poczekać do jutra...

Ogromne pudła z dekoracjami, które przywiózł kolejny kurier, także pozostały w recepcji nierozpakowane do następnego ranka, bo wyczerpana Agata marzyła już tylko o tym, żeby położyć się do łóżka.

Rano obudziła się z zakwasami w całym ciele i z wściekłością pomyślała o radosnym tonie prezesa.

– Tak, panie prezesie, naprawdę świetnie się bawię! Wręcz wyśmienicie! – wycedziła przez zaciśnięte usta i zmobilizowała się do wstania z łóżka.

Po śniadaniu zabrała się za rozpakowywanie dekoracji. Postanowiła, że na pierwszy ogień pójdą dwumetrowe jodły, bo z nimi będzie najwięcej pracy. Rozcięła sznurki oplatające gałęzie drzewka, przy okazji zaliczając cios w oko, po czym sięgnęła po ozdoby. Choinkę z recepcji udekorowała lampkami w kształcie lodowych sopli, pomiędzy nimi wieszając białe szyszki. Efekt był imponujący, a przy tym – bardzo elegancki. Podobnie ubrała więc drzewko w jadalni, wywołując zachwyt na twarzy właścicielki małego pieska, która zeszła właśnie na spóźnione śniadanie.

– Mój Boże, jakie piękne drzewko! – westchnęła. – Prześlicznie to pani udekorowała! Od razu czuje się świąteczną atmosferę!

Dekorowanie choinek z pokoi zajęło Agacie cały dzień. Najpierw posortowała ozdoby, dobierając je kolorystycznie (chciała, żeby każde drzewko ubrane było w bombki w jednym kolorze, co nie udało się z ostatnimi czterema drzewkami, bo zostało jej tylko po kilka sztuk ozdób w jednym odcieniu, musiała więc pogodzić się z wielobarwnymi wersjami), później przemieszczała się z pokoju do pokoju, wieszając gwiazdki, pajacyki, szyszki i sople na pachnących lasem gałązkach. Czynność, która w domu sprawiała jej zawsze dużą przyjemność, po udekorowaniu szóstego drzewka stała się denerwująca i żmudna. Kiedy skończyła, bolał ją kark i pokłute igielkami dłonie.

– Pieprzony prezes – warczała, zupełnie nie w duchu Bożego Narodzenia.

Ostatnią dekoracją była ultranowoczesna choinka, a właściwie instalacja

złożona z chromowanych prętów ułożonych w trójkąt, z wbudowanymi światłami ledowymi. Wokół prętów opleciono girlandę ze sztucznych gałązek choinkowych, wykonanych tak starannie, że Agata w pierwszej chwili była pewna, że to żywy świerk. Tę choinkę ustawiła w nowoczesnym apartamencie – świetnie do niego pasowała, a po zapaleniu światełek ożywiała wnętrze.

Wieczorem Agata, siedząc w łóżku, połączyła się przez Skype’a z mężem, Grzegorzem. Jak co dzień opowiedziała mu o wrażeniach z kierowania pensjonatem, nie szczędząc przy tym przekleństw pod adresem prezesa.

– Ho ho! Widzę, że to dekorowanie wzbudziło w tobie prawdziwie świąteczny nastrój! – zaśmiał się Grzegorz, rozbijając tym zły humor i zmęczenie Agaty. Wstała z łóżka i przeniosła laptop do recepcji, żeby mógł zobaczyć jej dzieło.

– Świetnie to wygląda! – powiedział z uznaniem. – Nie mogę się już doczekać, kiedy do ciebie dołączę.

– Ja też...

Umówili się, że Grzegorz przyjedzie dzień przed Wigilią, wraz ze swoimi rodzicami. Rodzice Agaty planowali przyjazd w samą Wigilię. Po raz pierwszy mieli spędzić te święta wszyscy razem, bo dotąd dzielili tę uroczystość – raz spędzając ją u rodziców Grzegorza, a w kolejnym roku – u rodziców Agaty. Miała lekką treść przed tym wspólnym spotkaniem, na dodatek jej mama narzekała, że przyjdzie im spędzać tak wspaniałe święta w towarzystwie obcych ludzi, ale udało jej się wszystkich namówić, roztaczając przed nimi dramatyczną wizję siebie, samotnie siedzącej wśród szczęśliwych rodzin, które przybędą tu na wypoczynek.

– Miłych snów!

Pożegnała się z Grzegorzem i położyła do łóżka. Włączyła telewizor, by obejrzeć ulubiony serial, ale trzy razy przerwał jej telefon od gości pragnących zarezerwować miejsce w pensjonacie. Wyglądało na to, że w święta będzie pełne obłożenie. Ta myśl sprawiła, że Agacie mocniej zabiło serce. Nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, jak bardzo boi się tego

zadania. Wiedziała, że większość spoczywa na barkach pracowników kuchni, ale czuła ogromną presję i odpowiedzialność za to, żeby wszyscy ci ludzie, którzy przyjadą do Drzewia, spędzili tutaj wspaniałe Boże Narodzenie.

## Rozdział 5

---

Do dziesiątego grudnia Agacie udało się udekorować światłami całą werandę, a także balkon pensjonatu. W efekcie budynek wyglądał tak, jak wymarzył sobie prezes – jak z bożonarodzeniowej pocztówki.

„Co za kicz!” – stwierdziła Agata, patrząc na swoje dzieło i krzywiąc się z niesmakiem. Jednak goście pensjonatu byli zachwyceni dekoracjami.

– Wyczarowała pani prawdziwie świąteczną atmosferę! Już czuć Gwiazdkę w powietrzu, nawet brak śniegu nie przeszkadza!

Ustalenie menu na święta oraz zaplanowanie zabawy sylwestrowej okazały się tak trudnymi logistycznie przedsięwzięciami, że już w tej chwili czuła się wyczerpana swoim zadaniem, chociaż musiała przyznać, że pomysły kulinarne kucharza Janka były znakomite i właściwie jej pozostało tylko wyrażenie zgody na proponowane przez niego dania. Ale najgorsze było dopiero przed nią...

Wczesnym przedpołudniem drzwi do recepcji otworzyły się gwałtownie i z takim rozmachem, że skrzydło odbiło się od ściany i wróciło do

poprzedniej pozycji, napotykając po drodze na przeszkodę w postaci kilkuletniego brzdąca, który pędził właśnie w stronę choinki, nie zważając na nic. Uderzony drzwiami zamarł na moment, rozejrzał się, czy wszyscy ten dramat widzieli, a gdy upewnił się, że ma wystarczająco dużą widownię, wybuchnął rozzwierającym płaczem. Drzwi wielkiej krzywdy mu nie zrobiły, bo malec biegł z wyciągniętymi przed siebie rękami, które przyjęły na siebie impet uderzenia, ale nie chciał marnować okazji do znalezienia się w centrum zainteresowania rodziców.

– Antosiu, biedactwo moje! – Dość pulchna, obcięta na krótko brunetka o pomarańczowej od solarium twarzy chwyciła chłopca na ręce i obsypała go pocałunkami. Zza jej pleców do holu wbiegło pięcioro dzieci w różnym wieku, zupełnie nie zwracając uwagi na matkę i łkającego braciszka.

– Ale wielka choinka! – wrzasnęła rudowłosa sześciolatka i szarpnęła gałęzie jodły, aż drzewko zachwiało się niebezpiecznie, a jedna z białych szyszek spadła na posadzkę.

Tata czeredy małpoludów, jak nazwała ich w myślach Agata, podszedł do recepcji i przedstawił się, podając jej rękę.

– Tomasz Andrzejewski. Jestem bratem żony prezesa Wojtanowskiego, a to moja żona Patrycja i nasze dzieci: Antoś, Pawełek, Rafałek, Gabrysia, Adaś i Zuzia.

– Witamy. – Agata wręczyła mu formularz meldunkowy, nawet nie próbując udawać zachwyconej tym spotkaniem.

Kiedy udało mu się wypełnić formularz (musiała podać mu drugi, ponieważ pierwszy został wyrwany spod ręki ojca przez miniaturową kopię matki – Zuzię – i po krótkiej walce pomiędzy dwiema siostrami – przedarty na pół), Agata pokazała im ich pokoje: numery 10, 11 i 12. Przezornie zarezerwowała dla nich trzy położone w bocznej części domu, żeby nie narażać pozostałych gości na spotkanie z żywiołem. Teraz pogratulowała sobie w myślach, bo jej obawy najwyraźniej okazały się słuszne: gromadka państwa Andrzejewskich nie była słodkimi maleństwami, które zawsze mają uśmiechnięte buzie i mówią zabawne rzeczy.



Kiedy w recepcji znów zapadła błoga cisza, Agata ponownie zawiesiła szyszkę na choince i pozbierała strzępki formularza, który Zuzia, po zwycięstwie nad siostrą w walce o jego posiadanie, podarła i rozrzuciła w korytarzu. Ledwie usiadła z powrotem za biurkiem, z pokoju numer jedenaście wypadło troje dzieci uzbrojonych w świetlne miecze i emitujące upiorne dźwięki karabiny.

– Zginiesz, nędzny tchórze!

– Ty pierwszy!

Wrzeszcząc i piszcząc, wybiegli na zewnątrz, ubrani tylko w dresy. Pozostała trójka pojawiła się po godzinie, niosąc w dłoniach długi łańcuch z kolorowego papieru i cały stos rozmaitych papierowych zabawek na choinkę, po czym przystąpiła ochoczo do „dekorowania” balustrad oraz dolnych gałęzi jodły. Po kwadransie hol prezentował się... oryginalnie i kolorowo. Agata ze zgrozą patrzyła, jak kolejne papierowe pawie oczka i rybki ze złotka niweczą elegancki efekt jej subtelnej i wysmakowanej dekoracji, jednak starsza pani, która właśnie wyprowadzała na spacer swojego małego pieska, rozejrzała się i stwierdziła z uśmiechem:

– Jak tu milutko! Tak domowo i przytulnie!

Uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy powracający z wojny przeprowadzonej w ogrodzie malcy wbiegli do recepcji z takim wrzaskiem, że przerażony piesek spróbował schować się do jej lewego buta. Kobieta wzięła go na ręce i głaszcząc uspokajająco, wyniosła z pola rażenia upiornymi dźwiękami.

– Mamo! – darł się Antoś. – Gabryśka mnie tak popchnęła, że spadłem z własnych nóg!

– Mówi się popchnęła – mechanicznie poprawiła go matka, pojawiając się na korytarzu. – Gabi, nie popychaj brata – dodała tym samym tonem i z powrotem zniknęła w pokoju.

Do pory obiadowej cały pensjonat został przyozdobiony dekoracjami wykonanymi przez dzieci państwa Andrzejewskich. Na każdej kłamce, barierce, uchwycie i gałce od mebli wisały kolorowe ptaszki, koszyczki,

aniołki i gwiazdki, tworząc efekt kolorystyczny, który mógłby nawet u stoika wywołać efekt epilepsji. Dekoracje pojawiły się również w jadalni, co pozostali goście powitali uśmiechami, które szybko zniknęły jednak z ich twarzy, kiedy rodzinka zasiadła do obiadu.

Agata, która zjadła przed ich przybyciem, pozostała przy swoim stoliku, wpatrując się z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, jak czteroletnie bliźniaki Antoś i Pawełek biorą jedzenie w dłonie i pełnymi garściami pchają do ust. Kawałki mięsa, cząstki ziemniaków i surówki raz po raz lądowały na stoliku lub obok niego, co najwyraźniej nie przeszkadzało żadnemu z rodziców. Po dłuższej chwili Agata nie mogła się już powstrzymać i podeszła do ich stolika.

– Smakuje państwu? – zapytała.

– Yhy, ujdzie... – wybełkotał z pełnymi ustami pan Tomasz.

– Tak się zastanawiam, z jakiego regionu Polski państwo pochodzą? – kontynuowała słodko Agata, która w tym momencie była w stu procentach Cruellą i nie zamierzała bawić się w dyplomację. – Bo nie sądziłam, że gdzieś jeszcze pozostał u nas zwyczaj jedzenia rękoma.

Szwagierka prezesa wzruszyła ramionami.

– Przecież to są małe dzieci! – odpowiedziała, prychnąwszy lekceważąco. – Ja jako MATKA (słowo matka zaakcentowała tak, jakby była jedyną matką na całej kuli ziemskiej) dbam o to, żeby moje dzieci się najadły i nie były głodne. Jakies tam reguły ułożone przez snobów mnie nie obchodzą. Nie zamierzam ograniczać spontaniczności moich dzieci.

W tym momencie Antoś najwyraźniej uznał, że czas kończyć posiłek, bo kolejną garść ziemniaków rozsmarował z impetem na ramieniu matki, po chwili dokładając papkę z surówki.

– Jaki mądry i zapobiegliwy chłopczyk. – Uśmiechnęła się Agata. – I jak spontanicznie panią udekorował! Będzie miał na później.

Odeszła, zostawiając ich z ich małą awanturą. Po naradzie z personelem kuchni postanowiła na przyszłość odizolować „kulturalnych inaczej” od

reszty gości, przesuując ich stół pod samo okno sali. Podczas kolacji zmiana ta została przez pozostałych gości przyjęta z westchnieniami ulgi.

Pierwsza noc spędzona w pensjonacie wraz z krewnymi prezesa okazała się koszmarem. Do północy dzieci biegały po korytarzach, krzycząc, strzelając i nawołując się wzajemnie. Patrycja Andrzejewska, kiedy Agata zapukała do jej pokoju z prośbą o okiełznanie pociech, uśmiechnęła się rozbawiająco.

– Takie sprawy proszę załatwiać z moim szwagrem – stwierdziła. – Powiedział, że mamy się czuć jak u siebie w domu, więc się czujemy. Gości jest mało, więc chyba wielkich szkód nie spowodujemy. W końcu to urlop!

Następnego ranka po śniadaniu pojawiła się długo wyczekiwana animatorka, pani Beata, którą Agata zatrudniła od razu, gdy prezes wspomniał o przyjeździe swoich krewnych. Dziewczyna z entuzjazmem powitała gromadkę dzieci i zaproponowała im wspólną zabawę w świetlicy, co zostało przyjęte owacjami i radosnym śmiechem. Po niespełna godzinie dziewczyna wbiegła do recepcji. Włosy miała rozczochrane, a oczy ciskały gromy.

– Nie uprzedziła mnie pani, że to dzieci z dysfunkcjami! – zawołała piskliwie. – Ja nie umiem się zajmować kimś takim!

– Jediną dysfunkcją w ich przypadku jest porażający brak wychowania – odpowiedziała Agata. – O ile wiem, nie mają stwierdzonych żadnych chorób.

– No to ja w takim razie nie nadaję się do tego zawodu! – Dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wyjścia. – Niech pani sobie poszuka innej opiekunki, najlepiej wśród treserów lwów! – rzuciła jeszcze przez ramię i wyszła, nie czekając nawet na zapłatę za poświęcony czas.

Kiedy kolejnej nocy cały spektakl hałasów, krzyków i polowań powtórzył się, Agata, która przez cały ranek wysłuchiwała skarg ze strony pozostałych gości pensjonatu, wyszła ze swego pokoju i chwyciła za ramię przebiegającego właśnie z wściekłym ujadaniem Rafałka, który wziął na siebie rolę psa myśliwskiego.

– Wszyscy zbiórka tutaj!!!! – wrzasnęła tak, że jej głos odbił się echem od ścian i sprawił, że dzieci podeszły, zaintrygowane.

Agata wskazała na wiszący na ścianie regulamin.

– To jest regulamin pobytu w naszym pensjonacie, który wasi rodzice podpisali. W punkcie siódmym jest napisane, że od godziny dwudziestej drugiej do ósmej rano obowiązuje cisza nocna i każdy, kto nie będzie jej przestrzegał, zostanie ukarany.

– I niby co mi zrobisz? – zapytał kpiąco Rafałek.

– Jeśli natychmiast nie wróćcie do pokoi, to zadzwonię po policję.

– Taaaa... już się boję. – Roześmiała się Gabrysia. – I wtedy co? Aresztują nas?

Agata zmiażdżyła ją wzrokiem.

– Was nie, bo jesteście nieletni – powiedziała spokojnym głosem. – Więc za wasze zachowanie odpowiadają wasi rodzice. Zostaną oskarżeni o zakłócanie ciszy nocnej, a za to grożą dwa lata więzienia i wysoki mandat. Traficie do domu dziecka, zapewne każde z was osobno, a policja skonfiskuje wszystkie wasze zabawki, jako dowody na przestępstwo. O, ten pociąg chociażby. – Wskazała na migającą kolorowymi światłami i wydającą mechaniczne dźwięki lokomotywę.

Sześcioro dzieci wpatrywało się w nią z uwagą, analizując to, co usłyszały. Wreszcie napięcia nie wytrzymał Antoś, któremu zadrżała broda, a z oczu polały się łzy.

– Ja chcem mój pociąg! – wyszeptał, łkając żałośnie.

– No to jak będzie? – Agata podparła się pod boki. – Wracacie do pokoju i zachowujecie się jak normalni ludzie czy mam wzywać policję?

Rafał i Gabrysia spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

– Wracamy.

– Ale pamiętajcie! – Głos Agaty ciął powietrze jak brzytwa. – To było moje pierwsze i jedyne ostrzeżenie. Jak was znowu jutro czy kiedykolwiek usłyszę w czasie nocnej ciszy, od razu wzywam policję. Mam numer do miejscowej komendy w moim smartfonie!

Wróciła do siebie, napawając się ciszą i swoim małym zwycięstwem nad czeredą małpoludów i połączyła się przez Skype'a z mężem. Grzegorz aż popłakał się ze śmiechu, słysząc o jej akcji.

– Dwa lata więzienia za złamanie ciszy nocnej? – Zaśmiewał się. – I konfiskata zabawek? No, naprawdę, widać, że jesteś żoną prawnika! Mogłaś jeszcze powiedzieć, że według najnowszej ustawy obcina się czubek języka!

– No, przy naszych ustawodawcach wszystko jest możliwe!

W dobrych nastrojach życzyli sobie miłych snów i pożegnali się. Agata zasnęła niemal natychmiast i tym razem nic nie przerwało jej snu.

## Rozdział 6

---

Rankiem Agata usiadła za biurkiem w recepcji, jednym uchem przysłuchując się dyskusji, jaką toczyły na werandzie dzieci państwa Andrzejewskich.

– Zróbmy ozdoby na te choinki w ogrodzie! – zawołał Rafałek. – Tak smutno wyglądają!

– Głupi jesteś! – odparował Adaś. – Jak papier powieszysz, to zaraz zamoknie i będą takie flaki wisiały...

– Sam jesteś głupi! – Obraził się Rafałek. – Kto ci każe z papieru robić?

– A z czego niby? Ze szkła? A może ciebie tam powiesimy? Będiesz sobie dyndał do nowego roku! – Zakpiła jego siostra.

Rafałek, urażony do żywego, ściągnął kurtkę i zdjął czerwoną dresową bluzę, którą miał pod spodem.

– Jak to potnę na paski, to się zawiąże takie kokardki na gałęziach! – Chwycił nożyczki i z wielkim trudem pociął bluzę na nierówne, postrzępione paski. – Zobaczycie, jakie będzie super mega!

– Mama cię zabije! – wyszeptała z nabożnym podziwem Gabrysia.

– E tam. Nawet nie zauważy!

Gabrysia z błyskiem w oku zerwała się z ławki.

– To ja przyniosę tą głupią pomarańczową sukienkę, co mi ją babcia zagramadziłą kupiła! – zawołała i pobiegła do pokoju.

Agata patrzyła z uśmiechem, jak po kilku minutach dziewczynka wraca, niosąc w rękach nie tylko nielubianą sukienkę, ale też coś żółtego, co wyglądało jak koszula, którą pan Tomasz miał wczoraj na sobie, niebieską bluzeczkę młodszej siostry oraz fioletową, rozkloszowaną spódnicę pani Patrycji.

– Ale będzie ślicznie! – zawołała mała Zuzia, patrząc, jak obok jej najstarszego brata rośnie coraz większa góra kolorowych pasków.

Zanim dorośli zeszli na śniadanie, większość drzew iglastych w ogrodzie (a także niektóre liściaste) była do wysokości prawie półtora metra (dokładnie sięgnęła najwyższa spośród rodzeństwa, siedmioletnia Gabrysia) przyozdobiona różnokolorowymi kokardkami – krzywymi i postrzępionymi. Wyglądało to, jakby drzewa zakwitły w środku zimy tysiącem kwiatów, i nawet Agata musiała przyznać, że ma to swój urok. Żeby drzewka nie były udekorowane tylko połowicznie, wzięła wysięgnik i na każdym umieściła u góry kolorowe łańcuchy, które prezes zamówił w ilościach hurtowych, a którymi nie chciała zasłaniać ślicznych jodeł w pensjonacie.

– Ależ się tu bajkowo zrobiło! – chwalili goście pensjonatu.

Kolejne dni upływały błyskawicznie, a Agata czuła, że jest u kresu wytrzymałości. Od rana do wieczora przez pensjonat przewijało się mnóstwo osób, z których prawie każda miała do niej jakieś pytanie czy propozycję. Wcześniej umówiła się z pracownikami kuchni, że kolację wigilijną goście będą mogli spożyć albo w jadalni, albo we własnym pokoju – w zależności od chęci – i teraz żałowała tego pomysłu, bo część gości uznała najwyraźniej, że skoro ma taki wybór, może też decydować o tym, jakie dania zostaną podane i jaki będzie kolor zastawy stołowej. Agata musiała studzić ich zapęły

i tłumaczyć, że menu opracowuje doświadczony szef kuchni, a zastawa stołowa będąca w wyposażeniu pensjonatu ma kolor biały. Jedynym pocieszeniem w tych dniach była dla niej myśl, że niedługo przyjadą jej rodzice i mąż i nareszcie będzie miała obok siebie przyjazne twarze. Te nadzieje zniszczył telefon od matki, która szesnastego grudnia poinformowała ją, że ojciec złamał sobie rękę i nogę, więc nie będzie w stanie prowadzić samochodu ani w ogóle udać się w podróż.

– Nie martw się o nas – zakończyła. – Jakoś tu sobie poradzimy sami, przecież ja i tak zawsze przygotowuję dla nas święta, ojciec palcem przy tym nie kiwnie, więc dla mnie to nic nowego...

Agacie nawet nie chciało się mówić, że nieróbstwo taty jest tylko i wyłącznie winą matki, która przez całe lata pozwalała na to, żeby dorosły mężczyzna nie potrafił ugotować sobie obiadu czy choćby uprać bielizny. Rozłączyła się i westchnęła ciężko na myśl o tym, że kolejny rok z rzędu spędzi Boże Narodzenie z teściami. Jednak nawet to nie było jej pisane. Dwudziestego grudnia Grzegorz zadzwonił do niej z samego rana, mówiąc smutnym głosem, że jego mama zasłała.

– Niby lekarz mówi, że to tylko spadek ciśnienia, ale mama źle się czuje... Kochanie, obawiam się, że w tym stanie nie przyjedzie do Drzewia, no a ja przecież nie mogę ich zostawić samych, skoro tak to wygląda... Ty sobie jakoś poradzisz, a oni są już starzy i...

– Oczywiście, że JA sobie poradzę – wysyczała zimno Cruella i rozłączyła się. Nie miała ochoty słuchać dłużej tłumaczenia Grzeška. Przepęniała ją wściekłość i nienawiść do całego świata, a zwłaszcza do teściowej. Była przekonana, że „kochana mamusia” zrobiła to celowo, żeby choć jedno święta móc spędzić ze swoim ukochanym synalkiem, jak za dawnych lat...

\*\*\*

Prezes Konsultraku wszedł do recepcji, rozglądając się badawczo i pogwizdując jakąś kolędę. Agata w pierwszej chwili go nie poznała – zawsze widywała go ubranego w eleganckie garnitury, a w wersji sportowej



wyglądał zupełnie inaczej. Młódziej, ale jakoś... mniej interesująco. Za to idąca kilka kroków za nim żona prezentowała się wspaniale. Miała pełną, kobiecą sylwetkę, którą umiejętnie podkreśliła opinającą się kusząco na biodrach i biuście suknią. Rude włosy opadały jej łagodnymi falami na plecy i ramiona. Mijający ją w drzwiach jeden z gości pensjonatu omal nie skręcił sobie karku, odwracając się za nią.

– Pani Agatko, jak miło panią widzieć! – Prezes rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się z uznaniem. – Pięknie pani przybrała pensjonat! Jestem zachwycony! Zrobiłem zdjęcia i wysłałem je informatykom, żeby wrzucili na stronę! Jak tylko się rozpakuję, zejdę tu do pani, bo ciekaw jestem, jakie atrakcje przygotowała pani na Wigilię!

Z tymi słowami odszedł do swojego pokoju, a Agata zamyśliła się głęboko, jakich też atrakcji mógłby na Wigilię oczekiwać prezes... Przypomniała sobie ubecką „tradycyjną Wigilię” towarzyszy z *Rozmów kontrolowanych* Sylwestra Chęcińskiego, kiedy zamiast opłatkiem dzielili się jajkiem, na stół wniesiono golonkę i kiełbasę, a zamiast kolęd śpiewano *Podmoskownyje wieczera*.

„Ciekawe, co mu tam chodzi po głowie...” – myślała z niepokojem.

Oczekiwania prezesa nie były na szczęście aż tak oderwane od tradycji, choć i tak daleko im było do realizmu.

– Przede wszystkim myślałem o kuligu – oznajmił, wkraczając do recepcji, ubrany w dzinsy i bluzę z wizerunkiem mikołaja. – Pytała pani w okolicy, czy ktoś dysponuje saniami?

Agata spojrzała na niego ze zmrużonymi oczami i odezwała się łagodnie, jakby mówiła do opóźnionego w rozwoju dziecka.

– Nie pytałam, panie prezesie. Bo do kuligu potrzebny jest śnieg, a tutaj nie spadł nawet jeden płateczek...

– Nie? – zdziwił się prezes, jak gdyby jadąc tutaj, musiał pokonać kilka zasp śnieżnych. – A słyszałem w prognozach, że w górach mocno nasypało!

– W Tatrach! – odpowiedziała tym samym tonem Agata.

– Ech! – Prezes był zawiedziony. – Tego się nie spodziewałem. Może trzeba by było pomyśleć jednak o pensjonacie w innych górach? Właśnie w Tatrach? No bo tak bez śniegu, bez kuligu, to co to za Wigilia?

– Większość gości jest zadowolona, że mamy piękną choinkę i planujemy tradycyjną kolację z dwunastoma daniami.

– Tak, no cóż. Będzie chyba musiało wystarczyć. – Prezes wstał z krzesła i spojrzał na Agatę z wyrzutem, jakby brak śniegu był tylko i wyłącznie wynikiem jej niedopatrzenia. – Idę do jadalni zamówić moje ulubione curry, bo już mi od rana ślinka cieknie!

Mimo braku śniegu Wigilia przebiegła w miłej atmosferze. Popołudnie było co prawda bardzo pracowite, bo wszyscy z obsługi, łącznie z Agatą, musieli zakasać rękawy, żeby zdążyć na czas z dekorowaniem stołów i roznoszeniem posiłków dla tych gości, którzy zdecydowali się zjeść w swoich pokojach. Wiele osób postanowiło jednak przyjść do wspólnej sali, gdzie połączono stoły i udekorowano je jemiolą i gałęziami jodły, tak że w całym pomieszczeniu unosił się zapach lasu. Agata, czując się gospodynią przyjęcia, złożyła wszystkim życzenia, po czym goście podzielili się opłatkiem i zaczęli posiłek. Na pierwszy ogień podano smażonego karpia, który smakował wspaniale, jednak Agacie nie dane było dokończyć, bo na zewnątrz rozległ się klakson.

– No proszę! – uśmiechnął się prezes. – Wygląda na to, że będziemy mieli zbłąkanego wędrowca!

Agata wyszła na zewnątrz i oniemiała. Z samochodu niezgrabnie gramolił się jej mąż, obładowany kolorowymi paczuszkami różnej wielkości.

– Mama przygotowała kolację w porze obiadu, bo powiedziała, że nie możesz tego dnia być sama, wśród obcych ludzi – oznajmił, kiedy otrząsnął się ze zdumienia po tym, jak jego – zwykle powściągliwa – żona podbiegła do niego z radosnym piskiem i pocałowała go z taką żarliwością, jak chyba jeszcze nigdy, nie zwracając uwagi na to, że pakunki wypadają mu z rąk.

– Tak się cieszę! – Pociągnęła go za rękę do jadalni, ale nagle zatrzymała się, patrząc na pakunki, które zbierał z ziemi. – Obrabowałeś jakiś sklep?

Skąd tego aż tyle?

– Od moich i twoich rodziców, no i ode mnie. – Uśmiechnął się.

– Zostaw je na razie tutaj, w samochodzie. Po kolacji pójdziemy do pokoju i zrobimy sobie jeszcze jedną Wigilię, tylko dla nas...

Tego wieczoru oboje przyrzekli sobie, że od tej pory co trzecią Wigilię będą spędzać tylko we dwoje.

Kolejne dni upłynęły szybko, jak to zwykle bywa podczas świąt. Dzieci państwa Andrzejewskich zdołały w tym czasie urządzić zjazdy saneczkarskie na schodach, wykorzystując w tym celu wielką stolnicę i metalową tacę, w wyniku czego musieli przerwać świąteczny pobyt, ponieważ Rafałek złamał rękę. Goście współczuli cierpiącemu dzieciakowi, ale wyjazd rodziny przyjęli z dużą ulgą.

Dwudziestego ósmego grudnia wieczorem pod drzwi pensjonatu podjechał zielony peugeot. Agata, która wraz z Grzegorzem schodziła właśnie po schodach, żeby pójść na nastrojowy spacer, pospieszyła w jego kierunku, aby uprzedzić gościa, że nie mają wolnych miejsc. Z samochodu wysiadł jednak ksiądz i dwóch małych ministrantów. Agata ze zdumieniem wpatrzyła się w jego piękną twarz, zastanawiając się, jak to możliwe, że ksiądz wygląda dokładnie tak samo jak przecudny policjant, który przyjechał na wezwanie do demolującego jej garaż byka.

– Szczęść Boże! – zawołał ksiądz wesoło, nieświadomy zdumienia, jakie wywołał. – Nazywam się Igor Michalski, jestem proboszczem w Drzewiu. Przyjechałem z wizytą duszpasterską. Można?

– Yyyyyy... tak, zapraszamy – wyjąkała niezbyt elokwentnie Agata i wskazała dłonią drzwi.

Ksiądz szybko pokonał schody, a Agata stała przez moment jak zamurowana, dopóki Grzegorz nie szepnął jej do ucha:

– Hmm... Zdaję sobie sprawę z tego, że to wyjątkowo urodziwy okaz mężczyzny, ale żeby tak się gapić, podczas gdy obok stoi twój własny umiłowany mąż, to trochę nie przystoi...

Agata spojrzała na niego i zaczerwieniła się.

– Nie... Ja przecież... On tylko... On mi kogoś przypomina...

– Taaa, jasne. Chodźmy, bo głupio tak gości samych zostawiać. Tylko ślinkę sobie zetrzyj. – Zaśmiał się i pociągnął ją za rękę.

Gdy weszli do recepcji, przekonali się, że ksiądz zdążył już nalać wody święconej do wyciągniętego z witryny białego spodeczka, a także zapalić świece, które najwyraźniej przywiózł ze sobą. Ministranci zaczęli śpiewać rażno *Pójdźmy wszyscy do stajenki*, w wyniku czego wielu gości wyjrzało ze swoich pokoi. Widząc księdza, niektórzy w popłochu zatrzasnęli z powrotem drzwi, ale większość zdecydowała się dołączyć do uroczystości w holu.

Igor spojrzał na zgromadzonych i uśmiechnął się.

– Nieźle nam poszło – powiedział, kiedy kolęda wybrzmiała do końca. – To może jeszcze moje ulubione *Przybieżeli do Betlejem*, co?

Ministrantom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Huknęli gromko kolędę, a goście dołączyli do nich, najpierw trochę nieśmiało, później – coraz głośniej i odważniej. Kiedy skończyli, Igor pobłogosławił wszystkich, poświęcił pensjonat i złożywszy zgromadzonym życzenia wszelkiej pomyślności w nadchodzącym roku, wyszedł wraz z ministrantami, odprowadzany tęsknymi spojrzeniami pań.

\*\*\*

Boże Narodzenie w rodzinie Milskich upłynęło w tym roku w atmosferze smutku i melancholii, bo na przełomie września i października umarli rodzice taty Justyny i Łukasza, Piotra Milskiego – pod koniec września ojciec, a kilka tygodni po nim – matka. Przeżyli ze sobą ponad pięćdziesiąt lat, więc najwyraźniej jedno nie mogło długo wytrzymać bez drugiego... Milscy uśmiechali się do siebie smutno i nawet prezenty nie wniosły ożywienia w ich nastroje.

Po kolacji Elżbieta Milska wyjęła z szafki błyszczące kartonowe pudełko i położyła je przed Łukaszem.

– Jakoś tak nie było czasu, żeby się skonsultować, a chcieliśmy jutro podarować coś twojej Sylwii – powiedziała. – Myślisz, że jej się spodoba? Mówiłeś, że lubi różne bibeloty...

Na bożonarodzeniowy obiad Łukasz miał przyprowadzić nową największą miłość swego życia – Sylwię, żeby przedstawić ją rodzinie. Rodzice długo zastanawiali się, jaki prezent wybrać dla dziewczyny. Łukasz zajrzał do pudełka i uśmiechnął się markotnie na widok pięknego anioła z błękitnego szkła, z kolorowymi witrażowymi skrzydłami.

– Na pewno by się zachwyciła – stwierdził ponuro. – Tylko że właśnie wczoraj zerwaliśmy, więc obiad już nieaktualny.

Rodzina patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu. Przywykli już do tego, że wielkie miłości Łukasza wybuchają gwałtownie i równie gwałtownie gasną, kiedy zwiewne królowny, w jakich zwykł się zakochiwać, konfrontowały się z jego pasją do sportów i wyczynów ekstremalnych... Jednak Sylwia przetrwała zarówno zimowy wypad pod namiot, jak i nurkowanie na rafie, zaczęli więc już mieć nadzieję, że tym razem trafiła mu się dziewczyna wyjątkowa.

– A co się stało?

Łukasz westchnął ciężko.

– Ona jest miłośniczką polowań...

Rodzice pokiwali smętnie głowami. Zrozumieli, że sytuacja była beznadziejna, bo Łukasz, zakochany w przyrodzie, nienawidził „bezmądnego hobby dla troglodytów” – jak zwykle określał polowania (przy czym była to wersja najdelikatniejsza, na użytek rodziców. W rozmowie z Justyną czy znajomymi używał znacznie bardziej dosadnych określeń...).

– No cóż... To przykre...

– W takim razie ja chętnie przygarnę tego anioła! Będę mieć parkę! – stwierdziła Justyna, sięgając po pudełko. Rodzice podarowali jej pod choinkę podobną figurkę, tylko w kolorze zielonym, jako że był to jej ulubiony kolor.

– Mam też dobrą wiadomość! – powiedział Łukasz, widząc, że rodzice

posmutnieli po jego oświadczeniu. – Dostałem cztery duże zlecenia na przeprowadzenie audytów bezpieczeństwa informatycznego w firmach, więc od nowego roku będę mocno zajęty, ale za to zarobię naprawdę sporą kasę. Muszę się rozejrzeć za jakąś konkretną inwestycją, bo inaczej znowu wydam wszystko na podróże, gadzety i różne głupoty, a chyba czas trochę dorosnąć i pomyśleć o przyszłości.

Rodzice wymienili zaniepokojone spojrzenia: Łukasz myślący o przyszłości i mówiący o dorosłości to była prawdziwa nowość.

– Tylko nie przesadzaj za bardzo z tym dorastaniem, bo jak mój młodszy brat stanie się zbyt dojrzały, to ja sama będę się czuła okropnie staro! – zaoponowała Justyna.

Potem jeszcze długo, do późnej nocy, siedzieli wszyscy czworo w zadumie przy wigilijnym stole, wspominając swoich bliskich i myśląc o tym, co przyniesie im zbliżający się nowy rok. Nawet w najśmielszych snach nie mogli jednak przewidzieć, jak wielkie zmiany i wyzwania dla nich przygotował.

\*\*\*

Sylwester w Leśnej Ostoi upłynął pod znakiem szalonej zabawy, ze wspianym pokazem laserowych świateł, ponieważ Agata nie chciała zakłócać spokoju leśnym zwierzętom hukami fajerwerków.

– Jesteśmy kojarzeni z ekologią, więc nie możemy sobie psuć wizerunku hałasowaniem w środku puszczy – powiedziała prezesowi i przekonała go, że pokaz laserowy to świetny i nowoczesny pomysł. I rzeczywiście – goście byli pod wrażeniem, a Agata triumfowała.

Co prawda podczas sylwestrowego balu przeżyła chwilę zwątpienia, bo modna klubowa muzyka, której kolekcję przywiozła z domu specjalnie na tę okazję, została przez jednego z gości po kwadransie zastąpiona składanką przebojów o dość wątpliwym, jak na jej gust, poziomie artystycznym. Kiedy jednak już po pierwszych taktach cała sala ochoczo ruszyła do tańca, głośno

wtórując nosowemu głosowi wykonawcy, wyznającemu, że oszalał przez czyjeś zielone oczy, Agata uznała, że najwyraźniej to jej gust jest jakiś nietypowy. Tym bardziej że następny wykonawca – przekonujący, że dziewczyna czuje w nim „piniondz” – także powitany został z entuzjazmem. Goście świetnie się bawili do białego rana, byli zachwyceni i deklarowali, że za rok znów pojawią się w Drzewiu.

– Może nawet spadnie wtedy śnieg i uda się jakiś kulig urządzać! – planowali niektórzy.

W Nowy Rok Agata przekazała wszystkie wytyczne Michałowi z działu informatyki, który przyjechał w sylwestrowy poranek, żeby zmienić ją w obowiązki, i w południe opuściła Drzewie. Jadąc za samochodem męża swoim odnowionym po przygodzie z żubrem autem, snuła plany na najbliższy tydzień, a pierwszą pozycją na liście była wyprawa do ulubionej restauracji serwującej pyszne sushi, a potem – wielkie zakupy w galerii handlowej.

# STYCZEŃ



*Są tacy, którzy sprawniej wykonują życie.*

*Mają w sobie i wokół siebie porządek.*

*Na wszystko sposób i słuszną odpowiedź.*

*(...)*

*Czasami im zazdrozczę*

*– na szczęście to mija.*

WISŁAWA SZYMBORSKA



## Rozdział 7

---

Michał z działu informatyki przyjechał do Drzewia zaopatrzony w konsolę i kilka gier, które zamierzał wypróbować w wolnym czasie. Okazało się, że będzie go miał aż nadto, bo już trzeciego stycznia po gościach nie został żaden ślad, a nowi jakoś się nie pojawiali. Nie było żadnych rezerwacji, e-maili ani telefonów.

– No i dobrze. – Chłopak zatarł ręce, podłączając sprzęt.

Spędził parę dni, niemal nie wychodząc ze swojego pokoju. Zagrał we wszystkie przywiezione gry, w każdej dochodząc do poziomu mistrzowskiego, ale w pewnym momencie, ku własnemu zdumieniu, nie mógł już patrzeć na migotający ekran. Zwiedził pokoje w pensjonacie i stwierdził, że jodły w jadalni i recepcji straciły już swój ozdobny charakter, bo obleciało im wiele igieł. Ściągnął więc dekoracje i popadł w zadumę, jak się pozbyć wielkich kikutów. Problem pomógł mu rozwiązać kucharz, który zadeklarował, że chętnie je zabierze na opał.

– Czyli problem z głowy – ucieszył się Michał.

Małe drzewka rosnące w donicach w pokojach postanowił wynieść na zewnątrz, po tym, jak pokojówka Wanda stwierdziła, że jak puszcza przyrosty, to już będą musiały czekać w domu do wiosny, a nie wiadomo, czy im takie suche powietrze pozwoli przetrwać tak długo. Ściąganie dekoracji i wynoszenie ciężkich donic na kilka dni zniechęciło go do dalszej pracy, więc zagrał jeszcze raz w strzelankę, która mu się najbardziej podobała.

– W sumie fajne to zajęcie – powiedział do siebie, patrząc na pustą skrzynkę e-mailową pensjonatu. – Nie wiem, czemu Cruella tak strasznie narzekała...

\*\*\*

W święto Trzech Króli Dominik Wir szedł z bukietem kwiatów do domu swojej ciotki, która właśnie tego dnia obchodziła urodziny i od ośmiu lat – odkąd przekroczyła siedemdziesiątkę – każdego roku urządzała huczne przyjęcie, mówiąc, że to pewnie już jej ostatni rok życia.

– Czas się zegnać z tym światem... – Kiwała siwą głową i z zadowoloną miną słuchała zapewnień krewnych, że świetnie wygląda i jeszcze wiele lat przed nią.

Dominik nie miał wielkiej ochoty na rodzinną imprezę, ale wiedział, że byłoby mu głupio, gdyby tym razem proroctwo starszej pani się spełniło, a on nie uczciłby należycie jej święta.

„Szybko się zmyję...” – myślał.

Zbliżając się do domu ciotki, już z daleka usłyszał dziwny chór na cztery głosy. W potwornie zarzynanej piosence z trudem rozpoznał kolędę *Mędracy świata*, bo podczas gdy jeden z wykonawców kończył już drugą zwrotkę, drugi był dopiero w połowie pierwszej, a trzeci powtarzał w kółko „chcecie widzieć Dziecię”. Czwarty natomiast, nie zwracając uwagi na pozostałych, darł się na całe gardło:

– „I trzej królowie, i trzej królowie, od wschodu przybyli!”.

Dominik minął zamknięty tego dnia sklepik spożywczy i jego oczom ukazał

się bardzo oryginalny orszak. Czterej mężczyźni, na co dzień spotykani w okolicy sklepu z alkoholem, szli, mocno zataczając się na wszystkie strony i wrzeszcząc na całe gardło swoją niby-kolędę. Wszyscy czterej mieli na głowach krzywe korony zrobione z gazety, a na ich plecach powiewały mocno przybrudzone prześcieradła. Orszak chodził od bramy do bramy, raz po raz przerywając śpiewanie, żeby zachęcić gospodarzy do ofiarowania datków dla orszaku Trzech Króli. Nikt z mieszkańców jakoś się jednak nie kwapił, żeby nagrodzić wędrownych artystów...

Dominik zamierzał machnąć ręką na to przedstawienie, ale z mijanego przez niego domu wyskoczyła starsza kobieta i zawołała scenicznym szeptem:

– No, zróbże coś z tymi utrapieńcami, Dominik! Przecież jesteś policją!

– Teraz to jestem policją! A jak pani mówiłem, że traw nie wolno wypalać, to gdzie mi pani sobie kazała ten mundur wsadzić?!

Kobieta zrobiła kilka kroków w jego kierunku i pogroziła mu pięścią.

– Ty nie mędrkuj, smarkaczu, tylko zrób porządek!

– Ale ja mam dziś wolne, pani Mario!

– Policja to służba! Nie ma wolnego, tak jak i ksiądz!

Dominik westchnął ciężko i ruszył w kierunku orszaku, mamrocząc pod nosem na brak poszanowania dla munduru i jednocześnie dzwoniąc do Igora, bo czuł, że interwencja proboszcza może okazać się niezbędna.

– Mam tu pod domem pani Marii zalany w trupa orszak Trzech Króli złożony z naszych artystów spod kiosku z piwem... Mogę liczyć na wsparcie kościelnego autorytetu?

– Jasne, zaraz przyjdę!

Dominik podszedł do zataczających się przebierańców, którzy właśnie zmierzali do kolejnego domu.

– Co to za burdy, panowie?! – zapytał groźnie.

Cztery pary oczu spojrzały na niego z ogromnym wyrzutem.

– Jjjakie znowu burdy? – zapytał najwyższy „król”, głosem pełnym oburzenia. – O so chozi?

– My tu tradycję pielęgnujemy! – dodał zaczepnym tonem drugi. – Co, może nie wolno?

– Ciekawe... Ja chyba nie znam takiej tradycji – stwierdził Wir, na co królowie zapalali oburzeniem.

– Trzech Króli nie znasz, bezbożniku?! To wielkie święto jest! Wielkie święto!

– To czemu was jest czterech?

Spojrzeni po sobie, ale nie stracili rezonu.

– A so?! Niech Dzieciątko najświętsze ma więcej darów! Żałujesz Dzieciątku?!

– Jakby Jezusek dary od takich żuli jak wy dostał, to chyba na miejscu w żłóbku by się przekręcił! Zmiatać mi zaraz do domów, ochlejmordy przebrzydłe, albo was zaaresztuję za zakłócanie porządku!

Panowie spojrzeli na niego z cierpiętniczymi minami.

– Toś ty jest taki?! – wrzasnął jeden, trzymając się furtki. Z oburzenia korona przekrzywiła mu się i zwisała smętnie z boku głowy, trzymając się na cienkiej gumce. – Takich czasów się znowu doczekałem, że mi ZOMO broni najświętszą tradycję podtrzymywać?!

– Tak podtrzymujecie najświętszą tradycję?! – Głos księdza Igora zabrzmiał donośnie i tak gniewnie, że panowie z miejsca stracili cały animusz. – Dzieciątko wychwalacie, bimber chlając?!

– Ale my... my...

– Ja widzę, że wy! Wstyd mi za was, panowie! – Igor podszedł do orszaku. Jego oczy ciskały gromy. – Pan, panie Adamie, dzisiaj rano komunię świętą przyjmował! Nie wstyd panu, ciało Chrystusa wódą popijać?! A pana żona – zwrócił się do drugiego z mężczyzn – po ludziach się do różnych prac najmuje, żebyście na życie mieli, a pan tak się jej odwdzięcza?! Jaki to

mężczyzna pozwala, żeby jego żona o utrzymanie musiała się troszczyć, gdy on sam palcem nie kiwnie?! I jeszcze ciężko zarobione pieniądze przechleje. Jaki wy przykład dzieciom dajecie... Nawet święta żaden nie uszanuje!

– Moczymordy cholerne! Jak wam nie wstyd! – dodał Dominik. – Żeby ksiądz w takie wielkie święto musiał się fatygować do takich łazęgów jak wy!

– Proszę księdza... My chcieliśmy na dary dla Dzieciątka zebrać...

– Dzieciątku takich darów nie potrzeba! A jak tacy jesteście chętni do podtrzymywania tradycji, to zgłóście się do mnie w grudniu! Będą mi potrzebne barany do szopki, to się akurat nadacie! Zejdźcie mi z oczu, bo was ekskomuniką obrzucę! – zaszarżował Igor, już nie na żarty rozżłoszczony.

– Księżę proboszczu... Niech nas ksiądz nie obrzuca tą ekso... esko... No niczym! My zaraz drogę pod kościołem odśnieżymy! Do samych drzwi!

– A widzicie tu jakiś śnieg?! Co wyście wypili?!

Pan Adam wyglądał, jakby gotów był natychmiast wyprodukować kilka zasp, żeby tylko zadośćuczynić za swoje winy.

– Jak jesteście panowie tacy chętni do pracy, to zapraszam jutro rano. Po dzisiejszym święcie przydałoby się podłogę w kościele umyć.

– Eeee, do takiej roboty to ja lepiej babę swoją przyślę... – zaczął najwyższy z orszaku, ale na widok miny księdza zamilkł.

– A co, panie Kazimierzu, pan szmaty do podłogi obsługiwać nie potrafi?! Myśli pan, że mógłbym spokojnie sobie patrzeć, jak kobieta się męczy?! Jak tak, to sobie darujcie! Sam posprzątam, mnie taka praca w niczym nie uchybi!

– Nie, nie, nie, proszę księdza! – zawołał zgodny chór. – My wszyscy przyjdziemy i posprzątamy, nawet okna wmyjemy! Jutro raniuteńko!

– A teraz do domów! I to już! A jak was znowu pod kioskiem z piwem zobaczę, to będziemy inaczej rozmawiać! W tym wieku mężczyźni powinni mieć chyba więcej godności!

Orszak oddalił się chwiejnym krokiem, po drodze pozbywając się koron i prześcieradeł. Dominik spojrział na Igora z uznaniem.

– Ale im poleciałeś! Jak jakiś Savonarola! Normalnie myślałem, że jeszcze chwila i stos zapłonie!

Igor popatrzył na przyjaciela z powagą.

– Trochę mnie chyba poniosło... Ale wiesz, denerwuje mnie to, że u nas tak pobłażliwie podchodzi się do pijaków. Każdy się pośmieje, popatrzy z politowaniem, a nikt nie pomyśli, ile bólu i nieszczęść taki alkoholizm w rodzinie powoduje... Cała wieś o tym gada, a dzieci takich ojców są wyśmiewane przez rówieśników. Potem często same mają problemy z pićm...

Dominik poklepał go po ramieniu.

– Wiem, stary... Ochłoń trochę... – powiedział. – Wiesz co, jak już tu jesteś, to chodź ze mną do mojej ciotki na urodziny! Będzie szczęśliwa, że sam proboszcz się do niej pofatygował, ty się trochę wyluzujesz, a potem się wyrwiemy i pójdziemy do ciebie pogadać albo w karty zagrać, co?

– Niech ci będzie...

\*\*\*

Kiedy Michała znów ogarnął zapał do pracy, spędził cały dzień w ogrodzie, odwiązując szmaty, które jakiś baran poprzyczepiał do gałązek – tak w każdym razie streścił to swoim kumplom, których ciekawiło, jak sobie radzi z nowym zadaniem.

W połowie miesiąca w pensjonacie pojawił się jeden gość – starszy mężczyzna, który szukał tutaj wyciszenia po wizycie wnuków. Zachwyił go szpaler drzewek ustawionych wokół werandy, ale jego zachwył opadł, kiedy zobaczył piętrzące się w recepcji pudła z ozdobami choinkowymi. To zmobilizowało Michała do znalezienia dla nich schowka. Obszedł jeszcze raz pokoje, ale uznał, że takich rzeczy nie można upchnąć w szafach, które są do dyspozycji gości. Wreszcie wykombinował, że w takim wielkim domu na pewno jest piwnica. Zadzwoił do Justyny, która urzędowała pensjonat, ale przyznała, że zajmowała się tyloma rzeczami, że o piwnicy nie pomyślała.

– Poczekaj, zadzwonię do znajomego, on powinien coś wiedzieć.

Wybrała numer Jakuba Midasa. Odebrał prawie natychmiast. Zapytany o piwnicę, milczał przez chwilę, a potem plasnął się ręką w czoło.

– No jasne, że tam jest piwnica! – zawołał. – Baran ze mnie, że ci nie pokazałem! Chromy nas poprosili, żeby powynosić stamtąd graty, mnóstwo tego było! Niektóre meble kazali zanieść do służbówki, a część po prostu wywalili. Dużo rzeczy nam się dosłownie w rękach rozpadało, takie stare klamoty ktoś tam zachomikował! Zostawiliśmy tylko w ostatnim pomieszczeniu jakieś słoiczki i duperele z przetworami, bo Chromowa powiedziała, że to się na taczkę załaduje i od razu ciśnie do kontenera. A co? Znowu jakieś odkrycie planujesz?

– Ja nie, ale mój kolega z pracy tam teraz urzęduje i potrzebuje miejsca na schowanie pudeł z dekoracjami. Powiedz mi, gdzie jest wejście do tej piwnicy, bo jakoś nie pamiętam, żebym widziała.

– W korytarzu na dole, za piecem w pralni... tam są drzwi. Nie rzucają się w oczy, bo suszarka zasłania. Ale jak znajdziecie jakąś bursztynową komnatę, to uwzględnijcie mnie w znalazcach, dobra?

– Masz to jak w banku!

Justyna posłuchała jeszcze najświeższych plotek z Drzewia, po czym podziękowała Midasowi i zadzwoniła do Michała, instruując go, jak trafić do piwnicy.

Zaopatrzony w latarkę i miotłę (nienawidził pajaków), wszedł do pralni i odnalazł ledwie widoczne drzwi. Zawiasy zaskrzypiały upiornie i przez chwilę miał ochotę poprosić o towarzyszenie mu w tej wyprawie panią Wandzię, ale głupio mu było przyznać przed nią, że się boi.

„Jesteś facetem!” – zbeształ się w myślach. „Nie będziesz przecież prosić kobiety o ochronę...”.

Odetchnął więc głęboko i ruszył przed siebie, ostrożnie stawiając kroki i świecąc latarką na wszystkie strony. Piwnica była ogromna, składała się z kilku wielkich i zupełnie pustych pomieszczeń.

„Niezlą imprezkę można by tu było urządzić!”.

Dopiero na samym końcu znalazł mniejszą wnękę z półkami, na których piętrzyły się słoiki z podejrzanie wyglądającą zawartością. Michał pognał na górę po plecak i zaczął wnosić słoiki na werandę, choć po otwarciu pierwszego i powąchaniu galaretowej brei uznał, że lepiej będzie wrzucać je prosto do kontenera na śmieci. Zrobił tak dziewięć kursów i miał już serdecznie dość, ale kiedy wpakował do plecaka ostatni słoik, czekała go prawdziwa niespodzianka: za warstwami przetworów ukryto sześć butelek z pięknie wykaligrafowanym napisem „Wino jabłkowe”.

„No, wreszcie coś dla ludzi!” – Uśmiechnął się i zaniósł je do swojego pokoju.

Wieczorem przystąpił do ostrożnej degustacji. Otworzył butelkę, podejrzliwie jej się przyjrzał i powąchał, ale zapach nie świadczył o utracie przydatności do spożycia, chociaż po przechyleniu butelki okazało się, że wino ma konsystencję galaretki. Michał wytrząsnął substancję do szklanki i ostrożnie spróbował. Alkohol jednak mocno go rozczarował – smakował jak sok.

– Ale sikacz! – Prychnął z lekceważeniem, ale wyjadł łyżeczką całą szklankę winnej galaretki, żeby się nie zmarnowało. – Nie wiem, co ludzie widzą w tych starych winach...

Obudził się, leżąc pod stołem. Łokieć mocno mu pulsował, najwyraźniej stłuczony podczas upadku z krzesła. Na głowie miał sporego guza, ale poza tym, oprócz piekielnego bólu głowy, nic mu nie dolegało. Nie pamiętał za to absolutnie, co się z nim działo przez ostatnich kilkanaście godzin, bo kiedy spojrzął na zegarek, przekonał się, że jest już południe. Zwlókł się do recepcji i z przerażeniem zobaczył, że ma osiem nieodebranych połączeń, z czego dwa od prezesa Konsultraku. Oddzwonił natychmiast.

– Co tam, panie Michale? – zapytał prezes. – Czyżby był aż taki ruch, że nie ma pan kiedy odebrać telefonu?

– Przeciwnie! Żywego ducha nie ma, to się wzięłem za porządkę i zapomniałem zabrać telefon, bo i tak cały czas milczy. Piwnicę sprzątałem



i chowałem te wszystkie dekoracje świąteczne! Strasznie się namachałem, bo było pełno różnego dziadostwa! – Dla lepszego efektu westchnął rozdzierająco.

– A, to się panu chwali! Dobrze, to proszę wracać do pracy, nie będę pana odrywał od sprzątanía. Aha! Jeszcze miałem się zapytać, czy w którymś pokoju nie znalazł pan jakiejś koszuli męskiej żółtej i fioletowej spódnicy albo jakichś dziecięcych ubranek?

– Aż tak ktoś balował, że ciuchy pogubił? – zaśmiał się Michał, ale prezes nie podchwycił żartu.

– Mój szwagier i szwagierka byli w Drzewiu z dziećmi w święta, potem mieli wypadek i pakowali się w pośpiechu, a w domu stwierdzili, że im paru rzeczy brakuje... Jakby pan coś znalazł, to proszę dać znać.

– Dobrze, poszukam.

– Ale nawet jak pan nie znajdzie, to proszę zadzwonić pod koniec tygodnia. Najwyraźniej przegapił pan ten punkt w instrukcji, który mówi, że należy raz w tygodniu składać raporty...

Michał pożegnał się i siedział przez chwilę, drapiąc się po głowie.

„W jakiej, kurwa, instrukcji?!” – pomyślał z niepokojem.

Sprawdził papiery leżące na biurku w recepcji i znalazł spory folder podpisany „Instrukcja”. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Cruella coś o tym wspominała, ale po sylwestrowej zabawie Michał nie był zbyt skupiony. Zaczął czytać instrukcję i po chwili ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. Instrukcja podawała adres poczty e-mail, którą należy sprawdzać minimum co godzinę. Michał zaglądał na pocztę, ale znajdował w niej głównie spam, reklamy sklepów, newslettery z różnych portali i jakieś wiadomości, które uznał za pomyłki albo podpuchy hakerów. Problem w tym, że poczta, którą sprawdzał, była w Interii, a adres podawany w instrukcji miał w rozwinięciu gmail! Spojrzał w komputer i na moment ukrył twarz w dłoniach.

– Ale ze mnie baran!

Dopiero teraz zauważył, że poczta nie ma nazwy „Leśna Ostoja”, tylko jest prywatną skrzynką Cruelli (oczywiście, nie pamiętał, że szefowa ma na imię Agata!), z której najwyraźniej się nie wylogowała przed wyjazdem. Strona ładowała się od razu po uruchomieniu programu, ale jak mógł nie zauważyć nazwiska Agaty?!

– O żeby to w dupę jeża! – jęknął Michał, wpisując hasło i login do właściwej poczty.

Skrzynka odbiorcza zawierała sto osiemdziesiąt sześć wiadomości! Przejrzał je i odetchnął z ulgą, bo większość była spamem i jakimiś dziwnymi ofertami od różnych firm, cztery od dziennikarzy zainteresowanych jeszcze wydarzeniami, które rozgrywały się w Drzewiu podczas uruchamiania pensjonatu, ale osiem e-maili zawierało pytania od gości pragnących wynająć pokój. Trzy z nich dotyczyły terminu, który już minął... Michał błyskawicznie odpisał wszystkim zainteresowanym, przeprasząc za zwłokę, którą wytłumaczył awarią sieci. Tym, którzy otrzymali e-maile zbyt późno, zaproponował wysoki rabat, w razie gdyby zdecydowali się jednak przyjechać. Potem oddzwonił do osób, które nie zdołały połączyć się rano, i przyjął rezerwację od pary emerytów i studenta, który chciał w spokoju przygotowywać się do sesji egzaminacyjnej.

Zmobilizowany spodziewanym w tym tygodniu przyjazdem gości, zabrał się za chowanie pudeł z dekoracjami bożonarodzeniowymi. Uznał, że przed ułożeniem kartonów warto byłoby umyć choć trochę półkę w piwnicy, zabrał więc mokrą szmatę i latarkę i zszedł po schodach na dół. Kiedy przecierał półkę, poczuł, że konstrukcja jest dziwnie niestabilna. Pchnął ją mocniej i szafka przesunęła się, odsłaniając ukryte wejście.

– O kurwa...

Stał przez chwilę niezdecydowany. Z jednej strony, ciekawość pchała go do przodu, z drugiej – bał się, że w ciemnym korytarzu spotka go jakaś niemiła przygoda.

– Ej, to przecież nie jest film o Indianie Jonesie, nie będzie zapadni i zatrutych strzał! – powiedział do siebie i zaświecił w głąb korytarza.

Wydawał się pusty, jeśli nie liczyć oplatających ściany pajęczyn. Przypomniał sobie odkrycia Justyny i uznał, że warto samemu zbadać teren – a nuż trafi na jeszcze jeden nazistowski skarb? Albo jakieś drogocenne przedmioty ukryte przez domowników, kiedy wybuchła wojna?

- Może będę mógł rzucić robotę i żyć sobie wygodnie do późnej starości...
- Rozmarzył się.

Zdecydowanie ruszył przed siebie, upewniając się, że ma przy sobie smartfon i że bateria w latarce jest solidnie naładowana. Skarby skarbami, ale zostać samemu w ciemności to nic przyjemnego. Po dwóch minutach korytarz zakręcił, ale nadal był pusty. Po kwadransie Michał był już gotów machnąć ręką na ewentualne skarby i zawrócić, bo zaczynał czuć się coraz gorzej, mając świadomość, że znajduje się w wąskim, ciemnym pomieszczeniu, które wiedzie nie wiadomo dokąd, ale po kolejnych kilkunastu metrach coraz wolniejszego marszu ujrzał na końcu niewyraźne, rozproszone światło. Przyspieszył kroku, jednocześnie zwiększając czujność, na wypadek gdyby korytarz prowadził do pomieszczenia będącego siedzibą jakiejś tajnej organizacji.

„Taaaa” – pomyślał zgryźliwie. „I siedzą tu od wojny, czekając aż ktoś do nich przyjdzie, bo sami tej lichej szafki z przetworami nijak nie mogli odsunąć...”.

Korytarz nie prowadził jednak ani do siedziby tajnego bractwa, ani do ukrytych skarbów. Kończył się w środku lasu, nieopodal starej sztolni. Wylot tunelu w tym miejscu zwężał się tak, że Michał musiał kucnąć, żeby się wydostać na zewnątrz. Na dodatek koniec zabity był jakąś deską, na tyle jednak spróchniałą, że Michał zdołał ją wypchnąć nogami, choć nieźle się przy tym napocił. Kiedy odszedł na dwa kroki od korytarza i obejrzał się, nie zobaczył już wejścia do tunelu, bo zasłaniały je jakieś drapiące krzaki. Gdyby nie wiedział, gdzie jest otwór, musiałby się sporo namęczyć, żeby go znaleźć.

„To pewnie tutaj zabił się stary dziedzic i tych dwoje, co niby kupili dworek...” – Ta myśl sprawiła, że poczuł gęsią skórę na całym ciele. Nie odwracając się za siebie, wszedł z powrotem w ciemny korytarz, zabezpieczył

pro wizorycznie wejście spróchniałą deską i szybkim krokiem wrócił do pensjonatu.

Poukładał w piwnicy wszystkie pudła z ozdobami, po czym otworzył instrukcję prezesa w miejscu, gdzie były puste kartki na zapiski kolejnych urzędujących tutaj osób, i dopisał informację o piwnicy i korytarzu prowadzącym do starej kopalni, dodając propozycję utworzenia trasy grozy dla żądnych mocnych wrażeń turystów.

– Jestem genialny!

Zadowolony z siebie, skopiował ten wspianiały w jego odczuciu pomysł i wysłał go na adres e-mailowy prezesa, wraz z informacją o spodziewanych gościach. Do końca pobytu w Drzewiu nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi od szefa.

Goście, którzy pojawili się w pensjonacie, byli wyjątkowo spokojni i mało roszczeniowi. Oczekiwali po prostu ciszy i spokoju – i to dostali. Para emerytów każdego dnia spacerowała po okolicy, korzystając z ładnej pogody i braku śniegu. Michał pokazał im podziemne przejście do kopalni, bo czytali w prasie o odkryciu nazistowskiego skarbu i pytali go o drogę.

– Co prawda będą państwo musieli trochę się poschyłać, ale naprawdę warto! – zachwalał odkrytą przez siebie trasę.

Wybrał się nawet z nimi, bo sprawdził na mapie, że spod kopalni można szybko dotrzeć do wioski, gdzie był sklep z piwem. Kupił kilka butelek i pogadał z paroma facetami mniej więcej w jego wieku, którzy kręcili się obok sklepu i zobaczywszy nowego, zapytali go, co tu robi. Opowiedział im o swoim zarządzaniu pensjonatem i odkryciu tajemnego korytarza, celowo wyolbrzymiając jego rozmiary i potęgując grozę związaną z ciemnym przejściem.

– No i cóżeś tam znalazł? – zapytał wysoki, gruby chłopak z bujną grzywą rudawych włosów wpadających mu do oczu. – Jakież skarby były?

Michał wzruszył ramionami.

– Nie... pusto było. Ale po co ten korytarz ktoś zrobił? Może chciał coś tam

schować albo przemycić?

– Eeee tam. – Towarzysz rudego, przysadzisty brodaty trzydziestolatek z dużymi zakolami, machnął lekceważąco ręką. – Może któryś górnik do jakiejś służącej z dworu latał albo coś w planach popieprzyli i wyrąbali drogę nie tam, gdzie trza.

– A w tym waszym pensjonacie to jest jakiś strażnik? – zainteresował się rudzielec.

– Nie, po cholere? Mamy solidną bramę, którą się na noc zamyka. No i każdy pokój ma swój klucz.

– A goście wam niczego nie wynoszą?

Michał popatrzył na nowych znajomych ze zdziwieniem.

– No wiesz, trudno jest niezauważenie wynieść telewizor albo jakiś mebel... – stwierdził. – Chociaż ręczniki to faktycznie czasem giną. No i kiedyś jedni tacy pościel ze sobą zabrali. Różni są ludzie.

Po tym stwierdzeniu rudzielec i brodacz stracili zainteresowanie Michałem, więc chłopak wrócił do pensjonatu, żeby w samotności delektować się piwem.

Przedostatniego dnia pobytu Michała w Leśnej Ostoi pod bramą pensjonatu zatrzymał się autokar. Michał, który akurat siedział w recepcji, z zainteresowaniem przyglądał się dużej grupie ludzi, którzy wysypali się z pojazdu i zwartą grupą ruszyli przez ogród w stronę werandy.

Kiedy weszli do recepcji, przestronne dotychczas pomieszczenie nagle wydało się maleńkie.

– Czy to tutaj? – wołała podekscytowana chudziutka szatynka ubrana w rozciągnięty sweter i długą spódnicę. – Tak, z pewnością, przecież w okolicy nie ma innego pensjonatu.

Zauważywszy Michała, uśmiechnęła się i podała mu rękę.

– To pracownica tego pensjonatu zdemaskowała sołtysa – kłusownika, prawda? – zapytała z dziecięcą ciekawością.

Michał wyprostował się dumnie.

– A jakże! – powiedział. – To moja koleżanka z pracy, Justyna!

– Suuuuper! – jęknęła dziewczyna z podziwem. – My jesteśmy grupą ekologów, jedziemy właśnie na konferencję do Poznania. Mieliśmy poszukać noclegu w jakimś miasteczku, ale jak zobaczyłam wasz szyld, to od razu mi się ta historia przypomniała i pomyślałam sobie, że my, obrońcy przyrody, musimy się wspierać. Po co mamy dawać zarobić jakiemuś hotelarzowi, kiedy tutaj mamy kogoś, kto podziela nasze poglądy?

– No jasne! – Michał uśmiechnął się szeroko na myśl o zysku, który będzie mógł przedstawić prezesowi, gdy nagle ogarnęły go wątpliwości. – Tylko wszyscy państwo się tutaj na pewno nie zmieszczą... Mamy zajęte dwa pokoje, a was jest chyba ze trzydzieści osób.

– A, nie szkodzi! – beztrąsko zawołała dziewczyna, która najwyraźniej była rzeczniczką pozostałych ekologów. – Możemy się przespać i na podłodze, nie jesteśmy wybredni.

– Tak źle nie będzie – uspokoił ją Michał, który właśnie wpadł na pomysł, jak rozwiązać problem. – Mamy tu wielgachną świetlicę, a w niej są duże, wygodne sofy. Jak się je rozłoży, to z dziesięć osób się wygodnie prześpi. A resztę rozmieścimy w pokojach. Taniej wam policzę! My, ekolodzy, musimy się wspierać!

– A jakieś posiłki można zamówić?

– Pewnie! Mamy tu jadalnię, która słynie na całą okolicę! W niedzielę miejscowi wpadają na obiady!

– A dostaniemy coś wegańskiego? Bo my w większości jesteśmy weganami...

Tu Michał trochę stracił rezon, ale pognał szybko do kuchni, gdzie pan Janek, który właśnie kończył pracę, obiecał, że zostanie i przygotuje frytki, w których jest absolutnym mistrzem świata.

– W stu procentach wegańskie. Na oleju roślinnym!

– No proszę – zdziwił się Michał. – A ja myślałem, że „wegańskie” równa się zdrowe, dietetyczne i bez smaku...

Podczas gdy goście jedli kolację, Michał biegał po pokojach, wyciągając wszystkie komplety pościeli, jakie były w pensjonacie. Zainkasował należność za pokoje i zadowolony, chociaż potwornie zmęczony, usiadł w fotelu.

– W ten jeden dzień naharowałem się więcej niż przez cały miesiąc tutaj! – poskarżył się przez telefon koledze. – Ale też zarobiłem dla pensjonatu niezłą kasę! Bo już się bałem, że na koniec roku dostanę w rankingu najniższą ocenę...

Trzydziestego pierwszego stycznia ekolodzy wyjechali, a i sam Michał dość niechętnie pożegnał pensjonat, zostawiając go pod opieką dwudziestoparoletniej stażystki Michasi.

– Spoko robota – powiedział, widząc jej niewyraźną minę. – Czuję się, jakbym był przez miesiąc na solidnych wakacjach, no może z wyjątkiem ostatniego wieczoru! Życzę ci, żebyś miała taki spokój, jak ja! I pamiętaj, żeby pocztę sprawdzać.

\*\*\*

Justyna wracała do domu, wykończona po długim dniu w pracy, obfitującym w spotkania i trudne rozmowy z kontrahentami. Zrobiła jeszcze szybkie zakupy w osiedlowym sklepiku i miała nadzieję na spokojny wieczór z książką. W drzwiach na klatkę schodową spotkała Eryka, który właśnie wracał ze śmietnika.

– Pomogę ci! – Nie czekając na odpowiedź, chwycił jej siatkę z zakupami i przepuścił Justynę w drzwiach.

– Dzięki...

W milczeniu doszli pod drzwi jej mieszkania. Sięgnęła po siatkę.

– Mleczna czekolada?! – Eryk patrzył na jej zakupy, jakby siatka

wypełniona była wymiocinami. – Wiesz, jakie to niezdrowe?!

– Mówią, że wszystko, co dobre, jest niezdrowe, tuczące albo niemoralne – uśmiechnęła się Justyna.

– Nie żartuj z tego! Czekolada mleczna robi straszne spustoszenie w organizmie. Jeśli już musisz jeść słodczy, kupuj gorzką.

– Gorzkie słodczy to nie słodczy. Sprzeczność tkwi już w nazwie! – odpowiedziała i odwróciła się, żeby otworzyć drzwi. Nie miała ochoty kontynuować tej rozmowy.

– A wiesz, że komórki tłuszczowe, które się wytwarzają po zjedzeniu takiej czekolady, nigdy nie znikają? Będziesz je miała już na zawsze! Nie wspominając już o tym, że takie jedzenie skraca twoje życie o parę lat!

– A endorfiny, które produkuje mój organizm pod wpływem czekolady, obniżają poziom stresu i wydłużają moje życie. Więc bilans wychodzi na zero. Dobranoc, mamusiu!

Weszła do mieszkania i trochę głośniejsze niż zamierzała zamknęła drzwi.

– Ekstremista dietetyczny! – powiedziała do siebie i wpakowała do ust trzy kostki czekolady. – Może i umrę od tego, ale chyba nie tak od razu...

Następny dzień w pracy dłużył jej się niemiłosiernie. Siedziała za biurkiem, a jej wzrok raz po raz wędrował ku ogromnej fotografii przedstawiającej widok z jej ukochanego wzgórza w Drzewiu. Zdjęcie zrobiła podczas pięknego, jesiennego dnia, było więc pełne słońca i żywych kolorów: na pierwszym planie królowały mieniące się tysiącem jesiennych barw korony drzew, poprzetykane niebieską wstążką strumyka, a ponad nimi lśniły w oddali szczyty Tatr. Justyna zamówiła wydruk na płótnie, dzięki czemu mogła cieszyć oczy przepięknym pejzażem, który zachwycał każdego, kto odwiedzał jej gabinet.

– Łubu dubu, łubu dubu, niech nam żyje kierowniczką naszego klubu, nieeeech żyje naaaaaam! – Usłyszała za drzwiami swego gabinetu i uśmiechnęła się. – To śpiewałem ja, Krystian – powiedział stażysta Krystian, wchodząc do pokoju. – Co słyhać u mojej ulubionej szefowej?



– Nuda... – odpowiedziała. – Wszystkie spotkania i telefony skumulowały się wczoraj, a dzisiaj siedzę beczynnie.

– No to twój ulubiony stażysta spieszy na ratunek. Przyniosłem raport z zeszłego roku. – Położył na jej biurku wielki skoroszyt.

– Dzięki, bo już myślałam, że zacznę sobie czytać jakiegoś e-booka, a to byłoby niemoralne, przy mojej pensji...

– E tam. Czytanie książek to rozwój, a rozwój jest podstawowym obowiązkiem pracownika Konsultraku – zacytował Cruellę, pomachał Justynie na pożegnanie – i już go nie było.

Analiza raportu wypełniła jej czas do końca dnia. Tuż przed wybiciem godziny piętnastej skończyła nanosić poprawki i spakowała się do wyjścia. Na zewnątrz czekała ją niespodzianka. Przed budynkiem Konsultraku stał Eryk, raz po raz zerkając na drzwi. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się niepewnie i wyszedł jej naprzeciw, prowadząc obok siebie rower.

– Cześć – powiedział, wręczając jej ogromną tabliczkę mlecznej czekolady. – Przepraszam cię za mój wczorajszy wykład. Kiedy złapię fazę, robię się upierdliwy... Tobie kawałek czekolady na pewno nie zaszkodzi, a jeśli to endorfiny sprawiają, że tak ładnie się uśmiechasz, to gotów jestem kupować ci codziennie taką tabliczkę.

– Dzięki, ale codziennie to byłaby przesada... Dałeś mi do myślenia tymi komórkami tłuszczowymi...

– Jakby co, znam kilka sposobów na pozbycie się nadmiaru kalorii!

– No, wyobrażam sobie. – Zaśmiała się, unosząc do góry brwi.

– Miałem na myśli ćwiczenia – odparł, lekko zażenowany.

– To tak jak ja! No dobra, przeprosiny przyjęte, pod warunkiem że też się poczęstujesz. – Otworzyła czekoladę i wyciągnęła tabliczkę w jego stronę. Ułamał jedną kostkę i z wahaniem wsunął do ust. – Nie bój się, to nie zabija tak na miejscu! A tak w ogóle, co tu robisz?

Wzruszył ramionami.

– Czekam na ciebie. Znalazłem w necie adres Konsultraku, widziałem, że dzisiaj wychodziłaś po szóstej, więc domyśliłem się, o której skończysz.

– Aha... – Nie była pewna, co sądzić o tym małym śledztwie, ale nie dał jej czasu na głębsze przemyślenia.

– Masz jakieś plany na dzisiaj?

– Powrót do domu, zjedzenie kolacji i czytanie najnowszej książki Tomka Michniewicza.

– To proponuję spacer na nasze osiedle. Zajmie około godziny, tak myślę w każdym razie, więc bardzo twoich planów nie zaburzy. Znalazłem na mapce fajną trasę i chciałbym ją wypróbować. Przyłączysz się?

– Okej.

Poprowadził ją w kierunku widocznego za zakrętem parku. Początkowo szli obok siebie w milczeniu, które przerwał Eryk.

– Wiesz, jak szukałem wiadomości o Konsultraku, to trafiłem na pensjonat Leśna Ostoja i wywiad z tobą! Jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłaś!

– To właściwie tak trochę samo wyszło...

– Samo wyszło?! Nagranie kłusownika i wrzucenie filmu do sieci? Trzeba mieć naprawdę dużo odwagi, ten gość mógł się próbować zemścić, zwłaszcza wiedząc, że mieszkasz sama na tym odludziu!

– Nie myślałam o tym, wiesz? Zresztą, znalazłam tam przyjaciół, którzy w razie czego na pewno by mi pomogli.

– Ach tak. – Chłód w jego głosie sprawił, że Justyna dziwnie się poczuła.

Na osiedle dotarli w nieco ponad godzinę i Justyna uznała, że będzie częściej wykorzystywać tę trasę do powrotów do domu, zwłaszcza gdy już zacznie się wiosna, bo na siłownię jak na razie nadal się nie zapisała. Nie wiedziała nawet, że w jej mieście, i to niemal w samym centrum, jest tyle zielonych miejsc.

– No to dziękuję za miły spacer i pyszną czekoladę! Do widzenia!

– Cześć...

Zamykając drzwi, odniosła wrażenie, że w jego głosie słychać było zawód.

# LUTY



*Jesteś wesołym ogniem, co strzela wysoko,  
Nadzieją, którą darmo szuka mędrca oko,  
Czasem mierzonym serca biciem niecierpliwym  
I żebyś tu została westchnieniem żarliwym.*

WOJCIECH MŁYNARSKI

## Rozdział 8

---

Stażystka Michasia wysiadła z busa we wsi Brzózcza i kierując się mapą narysowaną przez Justynę Milską, ruszyła rażno drogą przez las. Uznała, że skoro tegoroczna zima jest wyjątkowo łagodna, nie ma metrowych zasp ani trzaskającego mrozu, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tych kilka kilometrów przejść na piechotę.

– W drogę! – powiedziała do siebie, przyglądając się leśnej drodze, która wydała jej się zachęcająca, mimo że o tej porze roku w lesie dominowała szarość, którą większość osób uznałaby za ponurą. Michasia nie była jednak jak większość osób.

Plecak miała dość lekki, bo przezornie wysłała sporo rzeczy kurierem i Michał, który zajmował się w styczniu pensjonatem, napisał jej wczoraj wiadomość, że doszły. Proponował też, że wyjedzie po nią do Brzózcza, ale Michasia lubiła chodzić, a poza tym była zbyt nieśmiała, żeby przystać na tę propozycję. Kiedy wyobraziła sobie, że będzie musiała siedzieć obok niego w samochodzie i prowadzić jakąś rozmowę, uznała, że lepiej będzie się przejść. Droga była przyjemna, świeciło słońce, śniegu w tym roku jeszcze

w tym rejonie nie odnotowano, więc nie widziała problemu.

– Nie ma potrzeby, dziękuję! – odpisała Michałowi.

Po dwugodzinnym marszu dostrzegła drogowskaz i uśmiechnęła się z triumfem.

– No to jestem!

Pensjonat zobaczyła z daleka i pomyślała, że wygląda bardzo pięknie i stylowo. Brama była otwarta na oścież, dziewczyna nie musiała więc dzwonić domofonem i tłumaczyć się, kim jest, co przyjęła z ulgą, bo od kwadransa zastanawiała się, jak się przedstawić. Zawsze miała z tym problem: powiedzieć „Michalina” (co brzmiało bardzo oficjalnie i zupełnie nie pasowało do jej drobnej sylwetki: miała niecałe 150 cm wzrostu i wyglądała jak dziecko, co wywoływało w niej wiele kompleksów), czy użyć formy „Misia” (co brzmiało dziecinnie i niepoważnie, a już kiedy ktoś potem zwracał się do niej „pani Misiu”, czuła się jak jakaś postać z kreskówki – mama Kubusia Puchatka czy innego Coralgola...).

– Cześć! – Michał wyszedł na werandę, żeby ją przywitać.

Kiedy się rozpakowała, chłopak wyjaśnił jej, jak działa program i co należy do jej obowiązków, wręczył instrukcję, pożartował trochę ze zmiany Michała na Michalinę – i odjechał. Miała nadzieję, że przedstawi ją pracownikom i nie będzie musiała sama rozmawiać z tyloma obcymi osobami, ale nie udało jej się zebrać tyle śmiałości, żeby wyartykułować tę prośbę. W efekcie siedziała stremowana w recepcji, układając sobie w głowie, co powinna powiedzieć, gdy z piętra zeszła sympatycznie wyglądająca kobieta koło pięćdziesiątki, z ciemnymi kręconymi włosami. Poprawiając okulary, podeszła do Michaliny i uśmiechnęła się.

– Pani jest pewnie naszą nową szefową? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Jestem pokojówką. Mam na imię Wanda.

– Michalina.

Uścisnęły sobie dłonie i pani Wanda zaproponowała, że pokaże jej kuchnię i wszystkim przedstawi, co Michalina przyjęła z westchnieniem ulgi. Już po

chwili znała całą ekipę kuchenną, a kucharz Janek okazał się strasznym gadułą, w wyniku czego nikt nie zauważył, że Michasia prawie nic nie mówi, więc od razu go polubiła.

– Prosimy do stołu, czym chata bogata! – Kucharz wskazał stolik przy ścianie, na którym po chwili pojawiło się smakowicie wyglądające danie.

– Dziękuję...

Michasia zjadła obiad, po czym wróciła do recepcji i zaczęła czytać instrukcję. Przejrzała ją tylko pobieżnie, bo przed przyjazdem tutaj ściągnęła sobie z intranetu udostępniony przez prezesa plik i przestudiowała uważnie każdy punkt, żeby wiedzieć, czego się spodziewać. Teraz przeczytała jeszcze uwagi dopisane przez kolejnych „zarządzających” – zainteresowała ją zwłaszcza wzmianka Michała o tajnym przejściu w piwnicy.

„Trzeba to obejrzyć” – uznała.

Ustawiła przekierowanie rozmów z telefonu pensjonatu na własną komórkę, żeby nie musieć ciągle siedzieć za biurkiem, wzięła latarkę i wyszła na werandę, żeby sprawdzić, czy nie ma tam pani Wandzi. Chciała poprosić ją, żeby była w pobliżu recepcji, na wypadek gdyby pojawili się jacyś goście, więc zaczęła w myślach układać pierwsze zdanie, ale zawahała się, bo pani Wandzia akurat wychodziła z jadalni. Widząc niezdecydowanie Michaliny, podeszła i zapytała:

– Chce pani trochę popatrzeć na okolicę?

Michalina pokiwała twierdząco głową.

– To niech pani idzie, ja już tu właściwie skończyłam, gości jest tylko dwoje i oni raczej zajmują się sobą, a jakby kto przyjechał, to go zamelduję, a pani później wszystko w program wprowadzi. Co pani będzie tak siedzieć w miejscu, pani przecież młoda...

Michalina uśmiechnęła się i wykrztusiła cichutkie „dziękuję”. Wróciła do pensjonatu, wzięła dużą latarkę i odszukała wejście do piwnicy. Korytarz nieco ją rozczarował, wyobrażała sobie, że jest bardziej mroczny i tajemniczy, a okazał się przestronny i nawet pajęczyn za wiele nie było.

„Pewnie Michał pozbiarał większość na sobie, jak tędy przechodził” – pomyślała. Bez przeszkód dotarła do końca, wypchnęła spróchniałą deskę, którą Michał prowizorycznie zabezpieczył wejście, i wyszła na zewnątrz, oddychając z ulgą świeżym powietrzem. Stara kopalnia, do której prowadził korytarz, spodobała jej się znacznie bardziej. Była dokładnie taka, jak sobie wyobrażała, słuchając opowieści Justyny: ponura, tajemnicza, mroczna. Ciągle jeszcze powiewały tu i ówdzie resztki taśmy policyjnej, potęgując atmosferę grozy. Michasia weszła do ciemnej groty, zgasila latarkę i przez moment stała w zupełnym mroku, z zamkniętymi oczami, słuchając dochodzących zewsząd szmerów, szelestów, jakby to skały szeptały do niej, wyznając swe najmroczniejsze sekrety.

Gdy już nasyciła się nastrojem tajemniczości, zapaliła z powrotem latarkę i zajrzała do studni, w której znaleziono ciała państwa Buczków. Poczula dreszcze na całym ciele. Wpatrywała się w dno, wyobrażając sobie, co musieli czuć, jeżeli nie zginęli na miejscu pod wpływem upadku z wysokości.

„To musiało być koszmarne...” – uznała.

Bez pośpiechu wyszła na zewnątrz, rozejrzała się po okolicy i weszła ponownie do tunelu, zabezpieczając go prowizorycznie deską i grubymi gałęziami.

„Żeby tylko tędy jakiś zwierzak nie wlaźł, bo będzie kłopot” – pomyślała.

Tym razem, aby zwiększyć moc doznań, nie zaświeciła latarki. Jej kroki w ciemności brzmiały groźnie i dudniły tak, jakby była potężnym mężczyzną, a nie filigranową dziewczyną. Gdy pojawiła się w recepcji, pani Wandzia uniosła brwi ze zdumienia.

– To pani nie poszła gdzieś w las? Sądziłam, że spaceruje pani po okolicy!

Michalina bąknęła cicho o przejściu do kopalni i pokojówka aż zerwała się z za biurka.

– Przejście? Od nas z pensjonatu?! Pokaże mi pani, gdzie?

Po chwili kucaly obie u wylotu korytarza, a pani Wandzia kręciła głową ze zdumieniem.



– Ja to jutro z samego rana umyję wszystko porządnie. Pan Michał nic mi o tym znaleźniku nie powiedział. Nawet nie wiedziałam, że tu takie wielkie piwnice są. Przecież tu by można było jeszcze pokoje zainstalować albo jakieś modne teraz baseny czy coś.

– Ja też bym tu widziała basen i siłownię – wykrztusiła Michasia, ośmielona trochę energicznym stylem kobiety.

– Tylko to wejście przydałoby się bardziej zabezpieczyć! Gdyby jakiś lis wleciał albo borsuk, czy choćby wąż, narobiłoby się kłopotów...

Pozbierały więcej grubych konarów i wspólnymi siłami zabezpieczyły i wzmocniły spróchniałą deskę jak najlepiej mogły. Potem wyszły razem na górę i Michasia usiadła w recepcji. Jakby na zawołanie, zadzwonił telefon.

– Pensjonat Leśna Ostoja, w czym mogę pomóc? – wyrecytowała Michasia. Formułkę napisała sobie na samoprzylepnej karteczce przy ekranie komputerowym – kiedy czytała tekst, czuła się znacznie pewniej i nie drżał jej głos.

– Znajdą się u pani ze dwa wolne pokoje? – zapytał mężczyzna.

– Tak, zapraszam serdecznie.

Miała też napisaną drugą wersję: „Niestety, w tym momencie nie mamy wolnych miejsc, ale zapraszamy od...”.

– A jakby potem chcieli dojechać tacy jedni moi znajomi, yyy... no tak z dziesięć osób, powiedzmy, to będzie dla nich miejsce? – dopytywał się potencjalny gość.

– Eeee... tak. – Bez instrukcji na kartce trudno jej było prowadzić płynną rozmowę. – W tej chwili mamy zajęty jeden pokój, więc na pewno nie będzie problemu.

– Czyli jest pusto! – W głosie mężczyzny słychać było podekscytowanie. Michasi wydawało się, że coś do kogoś szepnął, zanim odezwał się ponownie. – A telewizory w pokojach są?

– Tak.

– To ja jeszcze zadzwonię! – Rozłączył się bez pożegnania.

Michasia wzruszyła ramionami i uznała, że może to i lepiej – nie będzie musiała witać nowych gości i prowadzić rozmów o niczym. Drżała na myśl o tym, że nowi turyści mogą zacząć ją wypytywać o wydarzenia, które się tutaj rozegrały kilka miesięcy temu, i będzie musiała opowiadać, znosząc przy tym ich spojrzenia i uwagę, którą będą skupiać właśnie na niej. Pomyślała przez chwilę, po czym uruchomiła program tekstowy i opisała wydarzenia związane z odkryciem nazistowskiego skarbu i ciał państwa Buczków oraz dziennika starego dziedzica. Po namyśle dodała szczegółowy opis drogi wiodącej do kopalni, żeby nie musieć tłumaczyć turystom, jak tam dotrzeć. Wydrukowała pięć kopii i położyła je obok formularzy meldunkowych, układając sobie w myślach tekst dla turystów, którzy zaczną zadawać pytania o skarb von Brauna: „Proszę bardzo, tutaj znajdują państwo szczegółowy opis niedawnych wydarzeń, jakie się rozegrały w okolicy pensjonatu”. To ją uspokoiło i sprawiło, że poczuła się znacznie pewniej.

Kolejny dzień zaskoczył wszystkich wyjątkowo dynamiczną pogodą: rano zaczął prószyć śnieg, który w ciągu dnia zmienił się w ulewę, połączoną z silnym wiatrem. Od czasu do czasu niebo przecinały błyskawice i słychać było złowrogie pomruki. Dwoje gości pensjonatu spędzało ten nieprzyjemny czas w świetlicy, grając w karty i słuchając muzyki z szafy grającej, na której zakup nalegał prezes.

– To będzie taki akcent retro, ludzie będą zachwyceni! – argumentował.

Po godzinie dziesiątej do pensjonatu podjechały trzy samochody. Wysiadło z nich dwanaście osób w różnym wieku i wszyscy popędzili w stronę recepcji, chowając głowy w ramionach, jakby miało ich to uchronić przed ulewnym deszczem. Kiedy weszli do holu, Michasia miała wrażenie, że w pomieszczeniu wzrósł poziom wilgotności.

– Kochanieńka, znajdzie się dla nas parę pokoi? – zapytał jowialny jegomość o okrągłej twarzy i jeszcze bardziej okrągłym brzuchu, ubrany w żółte spodnie i różową koszulkę polo, jakby właśnie był środek lata, a nie początek lutego.

– Oczywiście, zapraszam.

– Zostaniemy tylko na jedną noc, bo jesteśmy w drodze do Krakowa, ale tak nami na szosie zarzuciło, że lepiej będzie przeczekać te wariacje pogodowe. Jutro też jest dzień. A Kraków tyle lat stoi, to chyba przez noc nie zniknie...

– Oczywiście.

Michalina podała im formularze.

– A posiłki można zamówić? – zapytała starsza pani w futrze w czarno-beżowe cętki.

– Tak. – Michasia podliczyła należność, wręczyła im fakturę i podeszła do drzwi wejściowych, wskazując gościom drogę do jadalni oraz do podziemnego garażu. – Jak państwo zjadą do garażu, to stamtąd jest przejście tutaj, do recepcji, przez takie żółte drzwi.

– Super! – Trzy osoby zawróciły, żeby zaparkować samochody, a reszta towarzystwa, uzbrojona w klucze, rozeszła się do wskazanych przez Michalinę pokoi. Wraz z kluczem każdy dostał sporządzoną przez dziewczynę jeszcze przed przyjazdem do Drzewia mapkę okolicy oraz karteczkę z godzinami wydawania posiłków.

Michalina zadzwoniła do kuchni i wyrecytowała ułożoną chwilę wcześniej wiadomość, że potrzebny będzie obiad, kolacja i śniadanie dla dwunastu dodatkowych osób. W odpowiedzi usłyszała „zrobi się” i pan Janek się rozłączył. W tym momencie telefon zadzwonił ponownie.

– Czy w każdym pokoju macie telewizory? – zapytał jakiś mężczyzna, nie siląc się na przywitanie.

– Tak.

– A komputery?

– Nie...

– Ani jednego?! – W głosie mężczyzny słychać było zawód.

– No, jeden jest. W recepcji. Ale służy do rejestrowania rezerwacji i obsługi poczty...

– Aha. A gości dużo macie?

– Tak, w tej chwili przyjechało kilkanaście osób, ale wolny pokój jeszcze się znajdzie.

– Aha. – Kliknięcie zasygnalizowało, że połączenie zostało zakończone.

Po chwili do recepcji weszła młoda kobieta w widocznej ciąży. Michasia pamiętała, że przydzieliła jej narożny, bardzo przytulny pokój na parterze. Kobieta uśmiechnęła się do Michaliny i stwierdziła:

– Właśnie toczyliśmy z mężem dyskusję, czy to nie tutaj odkryto ten nazistowski skarb parę miesięcy temu?

– Tak, to tutaj.

– I ten sołtys – kłusownik, to on tutaj grasował, prawda?

– Zgadza się. Proszę bardzo, tutaj znajdą państwo szczegółowy opis niedawnych wydarzeń, jakie się rozegrały w okolicy pensjonatu. – Michalina podała jej kartkę, gratulując sobie w duchu, że przewidziała taką sytuację.

– Super! Dziękuję! – Kobieta wróciła do pokoju.

Wieczorem pogoda się uspokoiła i prognozy na kolejny dzień były pomyślne, więc zaraz po śniadaniu niespodziewani goście opuścili pensjonat, dziękując za miłe przyjęcie.

Kolejne dni minęły spokojnie. Pojawiła się rodzina z trojgiem dzieci, która przyjechała tutaj na ferie oraz starsze małżeństwo z wnuczką. Nie zadawali zbyt wielu pytań, mapka i kartka z opisanymi przez Michasię historiami związanymi z Drzewiem najwyraźniej im wystarczały.

Po południu zadzwonił mężczyzna, pytając o wolne pokoje, ale usłyszawszy w tle śmiech dzieci i wołanie rodziców, stwierdził, że raczej nie przyjedzie, bo szuka ciszy i spokoju.

– No chyba że ci państwo niedługo wyjadą? – zapytał.

– Zostaną cały tydzień, do niedzieli.

W niedzielę rodzina pożegnała się i w pensjonacie zostali tylko dziadkowie

z wnuczką. Wieczorem na horyzoncie pojawiły się błyski, a od strony lasu niósł się groźny pomruk burzy, więc Michalina wyszła na zewnątrz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Uwielbiała tę chwilę tuż przed burzą, kiedy wszędzie czuć ogromne napięcie i cała przyroda wydaje się zastygać w oczekiwaniu na to, co ma nastąpić. Stała przez chwilę, patrząc na ogród i już miała wrócić do holu, gdy między drzewami zobaczyła pędzący w stronę pensjonatu kształt, który po dłuższej chwili okazał się być rowerzystą. Machał do niej szaleńczo i coś krzyczał, ale w tym momencie z nieba lunęły tak wielkie strumienie deszczu, że szum zagłuszył wszystko. Rowerzysta przejechał pędem przez bramę i podjechał do schodów na werandę, w biegu zeskakując z roweru.

– Ale żywio! – zawołał, potrząsając głową.

Był niewysokim, szczupłym mężczyzną koło trzydziestki. Zaczesała na bok dość długa i w tej chwili zupełnie mokra grzywka opadła mu na oczy, a po policzkach spływały strumienie wody, sprawiając wrażenie, jakby mężczyzna płakał. Miał na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę pilotkę. Nie był zbyt przystojny, ale coś w jego twarzy przyciągało uwagę – kiedy się uśmiechnął, odgarniając z twarzy mokrą grzywkę, Michasia zrozumiała, że tym magnesem były jego szare oczy i ładnie wykrojone, niemal dziewczęce usta.

– Dzięki, że mnie wpuściłaś! – powiedział, wyciągając do niej rękę. – Mam na imię Irek.

– Michalina – odpowiedziała i weszła do budynku.

Zostawił rower na werandzie i poszedł za nią.

– Ale nawałnica! – skomentował, zerkając przez okno. – Zanim dojechałbym do wsi, chyba nawet rower byłby nasiąknięty wodą.

Michasia pokiwała głową i usiadła za biurkiem. Irek przyglądał się jej przez chwilę, po czym przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko biurka.

– A swoją drogą, zauważyłaś, jaki dziś dzień? Moja mama mi mówiła, żebym nigdzie nie wychodził, bo to dziś trzynasty, jak nic pech mi się jakiś przytrafi, a tu przeciwnie – spotkało mnie szczęście.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

– No tak, i to wielkie szczęście – wyjaśnił, uśmiechając się rozbrajająco. – Bo poznałem ciebie.

Michalina popatrzyła na niego, marszcząc brwi. Chłopak, lekko zбитy z tropu jej milczeniem, kontynuował:

– No sama pomyśl! – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Chyba bardziej romantycznych okoliczności nie można sobie wyobrazić: nawałnica, żywioły szaleją, ty udzielasz mi schronienia... Na dodatek jutro są walentynki! Święto zakochanych! Nie wydaje ci się, że to coś znaczy? Wierzysz w przeznaczanie?

Michalina wzruszyła ramionami.

– Eeee – wykrztusiła w końcu. – Ja...

– Ja wierzę! – zawołał Irek i jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej płomienne i uwodzicielskie. – I dlatego myślę, że nie możemy tego tak zostawić. Przyjadę tutaj w walentynki i może byśmy się gdzieś razem wybrali? Na kolację na przykład? Kiedy kończysz pracę?

– Dwudziestego ósmego lutego – odpowiedziała cichutko Michasia, mając na myśli koniec swojego zadania w Drzewiu.

Chłopak wpatrywał się w nią przez moment, aż wreszcie zaświtało mu w głowie, że został odrzucony w dość oryginalny sposób.

– Chyba będę już leciał...

Wstał z fotela i wyjrzał na zewnątrz. Burza przestała już straszyć, a ulewa też wyraźnie straciła na sile, więc podziękował jeszcze raz Michasi za udzielenie schronienia, na wszelki wypadek rzucił jej kolejne uwodzicielskie spojrzenie, wsiadł na rower i odjechał.

Dziewczyna pokręciła głową i pomyślała, że gdyby jeszcze się spotkali, powie mu, że jest tutaj w pracy praktycznie przez całą dobę i nie może zostawiać recepcji, zwłaszcza wieczorem, bo pani Wandzia kończy pracę po południu. Zapisała to sobie na kartce i sprawdziła skrzynkę e-mailową. Prezes

dziękował jej za szczegółowy raport i pytał, czy nie znalazły się jakieś ubrania pozostawione przez poprzednich gości. Przebiegła po wszystkich pokojach, sprawdziła pralnię i odpisała mu, że niczego nie znalazła. Wyłączyła komputer, zamknęła drzwi do recepcji i poszła spać.

\*\*\*

Pierwszy tydzień lutego minął Justynie bardzo szybko. Konsultrak gościł delegację ze Szkocji i to właśnie na Justynę spadło przyjęcie kontrahentów, oprowadzenie ich po firmie, a także – po mieście. Na szczęście Szkoci – dwie wesołe i zawsze uśmiechnięte czterdziestolatki i sympatyczny pięćdziesięciolatek – okazali się bardzo wdzięcznym towarzystwem i Justyna świetnie się bawiła, pokazując im najpiękniejsze zakątki. Wyjeżdżali zachwyceni, a prezes nie mógł się nachwalić otwartości i swobody, z jaką Justyna przyjęła swoją rolę.

– Pracownik, który potrafi dostosować się do każdej sytuacji, jest na wagę złota! – powiedział, ściskając jej dłoń.

Jeszcze tego samego dnia na jej konto wpłynęła niezła premia uznaniowa, więc zaraz po pracy Justyna wyciągnęła Agnieszkę na rajd po sklepach. Wracała do domu z naręczem nowych bluzek, sukienek i kosmetyków, zadowolona i zrelaksowana po rozmowie z przyjaciółką. W skrzynce na listy czekał na nią spory stosik korespondencji, którą zaczęła przeglądać jeszcze w przedpokoju. Jej wzrok od razu przykuła czerwona koperta z wydrukowanym jej adresem i pieczętką poczty z jej miasta. W środku znalazła złożoną na pół różową kartkę z wydrukowanym piękną czcionką tekstem:

*Być zakochanym, to być szalonym przy zdrowych zmysłach.*

Owidiusz

*Dzięki Tobie znów mogę to poczuć!*

Obejrzała kopertę, ale nadawca się nie ujawnił.

– No cóż, wygląda na to, że mam nieśmiałego wielbiciela. – Uśmiechnęła się. – Albo jakiś polityk zaczyna oryginalną kampanię przedwyborczą...

Karteczka razem ze stosem pozostałej korespondencji wylądowała w kuchennej szufladzie i szybko wyleciała Justynie z głowy. Przypomniała sobie o niej dopiero w walentynki, za sprawą kuriera z poczty kwiatowej, który w samo południe zapukał do jej gabinetu w Konsultraku, wręczając ogromny bukiet róż. Do kwiatów dołączona była karteczka z wierszem Leśmiana:

*Nie obiecuję ci wiele...*

*Bo tyle, co prawie nic...*

*Najwyżej wiosenną zieleń...*

*I pogodne dni...*

*Najwyżej uśmiech na twarzy...*

*I dłoń w potrzebie...*

*Nie obiecuję ci wiele...*

*Bo tylko po prostu siebie...*

Przeszukała bukiet, żeby znaleźć adresata, ale nie było ani słowa. Zapytany o nadawcę kurier uśmiechnął się szeroko, nachylił do Justyny i szepnął jej do ucha:

– Święty Walenty!

Justyna nigdy nie przepadała za tym nowym świętem i ogarniającą wszystkich wokół histerią czerwonych serduszek, ale zrobiło jej się miło, że ktoś o niej pomyślał, kupił piękne kwiaty i wyszukał niebanalny tekst. Zastanawiała się przez chwilę, czy ten bukiet i wcześniejsza korespondencja to nie próba przeprosin ze strony byłego narzeczonego, ale uznała, że to



zupełnie nie w stylu Kamila.

„Kamil i Leśmian? W życiu!” – pomyślała. „No i róże też do niego nie pasują... Zawsze mówił, że to najbardziej banalne kwiaty”.

Kiedy jeszcze byli razem, nie czcili walentynek jakoś szczególnie – zwykle po prostu spotykali się w restauracji, wymieniali zabawnymi prezentami, jedli razem kolację i wracali do domu. W tym roku Justyna zamierzała spędzić ten wieczór z sześciorgiem przyjaciół – singli. Zaplanowali wspólne oglądanie musicalu *Notre-Dame de Paris*, który wszyscy uwielbiali, i składkową kolację, spieszyła się więc, bo musiała przygotować sałatkę pieczarkową, która wychodziła jej po mistrzowsku.

Opuszczała firmę w pośpiechu, nie rozglądając się wokół, nie zauważyła więc, że przed budynkiem Konsultraku stał Eryk, trzymając bukiet kwiatów. On spostrzegł ją od razu i uśmiechnął się, ale kiedy jego wzrok padł na niesione przez nią okazałe róże, uśmiech zamarł mu na ustach. Mężczyzna schował się szybko za kioskiem i z ponurą miną patrzył, jak Justyna zatrzymuje się na przystanku i wsiada do tramwaju. Gdy tramwaj odjechał, Eryk wrzucił swój bukiet do kosza na śmieci i wolnym krokiem ruszył w kierunku parku.

## Rozdział 9

---

W kolejnym tygodniu w pensjonacie pojawiła się rodzina z dwojgiem dzieci, która zażyczyła sobie zamieszkać w apartamencie na strychu. Trochę marudzili na brak śniegu, ale kiedy Michalina wręczyła im mapkę okolicy oraz kartkę z opisem związanych z Drzewiem wydarzeń, wydawali się zadowoleni. W każdym razie nie zgłaszali więcej żadnych uwag, co Michasia przyjęła z ulgą. Rano zadzwonił ktoś z pytaniem o ilość wolnych pokoi w pensjonacie. Michalina podała mu liczbę, podkreślając wyraźnie słowo liczba, bo nie znosiła, kiedy ktoś używał pojęcia „ilość” w stosunku do rzeczy policzalnych.

- A który pokój jest zajęty? – dopytywał gość.
- Apartament na strychu.
- I tylko on?
- Tak.
- I nikt się więcej nie zapowiadał na dzisiaj z przyjazdem?
- Nie.

– Okej, dzięki. Jeszcze się odezwę.

Wieczorem Michalina siedziała w recepcji, przeglądając stronę ulubionego portalu, gdy usłyszała warkot samochodu. Po chwili drzwi otworzyły się i do holu wszedł nieziemsko przystojny ksiądz. Kruczoczarne włosy były lekko zmierzwione i wilgotne, bo znów rozpadał się deszcz, a niebieskie oczy lśniły tak intensywnie, że Michasia pomyślała, że mężczyzna z pewnością nosi szkła kontaktowe.

– Dobry wieczór! – powiedział, zbliżając się do biurka. – Nazywam się Igor Michalski. Czy znajdzie się u pani wolny pokój, ale taki jak najbardziej oddalony od innych gości?

„Pewnie chce tutaj z kochanką zamieszkać! Mógł sobie chociaż sutannę i koloratkę darować...” – przebiegło przez głowę Michalinie, ale nic nie powiedziała, tylko twierdząco pokiwała głową.

Ksiądz odetchnął z ulgą i pochylił się bliżej nad jej biurkiem, aż poczuła piżmowy, seksowny zapach jego wody toaletowej.

– Mam tutaj dwoje dzieci – powiedział cicho. – Dziewczynka ma szesnaście lat, a chłopiec osiem i jest dzieckiem autystycznym. Zdarza mu się krzyczeć i piszczeć bez powodu, nie chciałbym, żeby inni goście przychodzili do nich albo do pani z pretensjami. Siostra dobrze się nim zajmuje, nie powinni sprawić kłopotów. Ja nie mogę ich zostawić na plebanii, bo mam tam tylko pokój z kuchnią, a zresztą...

Machnął ręką i popatrzył na Michalinę z powagą, a ona skierowała spojrzenie w okolice jego nasady nosa, bo z doświadczenia wiedziała, że rozmówca miał wówczas wrażenie kontaktu wzrokowego, z którego utrzymaniem zawsze miała trudności.

– To mała wioska, plotki rozchodzą się z prędkością światła – mówił dalej mężczyzna. – Do rana wszyscy będą gadali, że ksiądz jakąś dziewczynę sobie na noc sprowadził, a głupie plotki to ostatnie, czego im teraz potrzeba. To moi nowi parafianie... Sprowadzili się do Drzewia kilka miesięcy temu, bo lekarze powiedzieli, że Tomek powinien mieć możliwość przebywania dużo na świeżym powietrzu, obcowania z przyrodą... I rzeczywiście, wydawało

się, że ataki krzyków i agresji są coraz rzadsze... Ale niezbyt długo cieszyli się z jego postępów... – dodał ze smutkiem. – Wczoraj wieczorem mieli wypadek samochodowy. Ich tata jest w śpiączce w bardzo ciężkim stanie, właściwie lekarze nie dają mu prawie żadnych szans, mama leży na intensywnej terapii, a im na szczęście nic się nie stało. Tylko parę zadrapań...

Westchnął ciężko i spojrzał na Michasię z powagą.

– W każdym razie na zewnątrz, bo psychicznie Wiola trzyma się tylko dlatego, że musi zajmować się bratem... – Odgarnął z czoła wilgotną grzywkę i pokręcił głową bezradnie. – Pojutrze powinni przyjechać ich dziadkowie, są właśnie na wczasach w Singapurze, nie znaleźli wcześniej lotu do Polski, więc dzieciaki zostałyby tutaj tylko na dwie noce.

– Nie ma problemu – szepnęła Michalina.

– Dziękuję!

Ksiądz uśmiechnął się do niej i wyszedł z recepcji. Po chwili wrócił, prowadząc przed sobą złotowłosą śliczną dziewczynę i podobnego do niej chłopca. Oboje mieli ciemnoniebieskie oczy i delikatnie wykrojone usta. Chłopiec kiwał się miarowo, kurczowo ściskając lewą dłoń siostry. Wzrok wbijał w podłogę, ani razu nie patrząc w stronę Michaliny. Za to dziewczyna popatrzyła na nią swymi pięknymi, przepelnionymi głębokim smutkiem oczami i kiwnęła głową na powitanie.

– Kochani, zostaniecie tutaj na noc – powiedział ksiądz, zwracając się do dziewczyny. – Będzie wam tutaj wygodnie. Jak się obudzicie, wyślij mi sygnał, to przyjadę po was i zabiorę was na śniadanie.

– Nie ma takiej potrzeby! – Michalina dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że głos, który to powiedział, należy do niej! I co dziwne, choć wcześniej sobie tego nie ułożyła, słowa płynęły same, a głos brzmiał pewnie i prawie wcale nie drżał, kiedy kontynuowała:

– Nasz kucharz nie będzie miał problemu, żeby zrobić kilka kanapek więcej. A i obiad się na pewno znajdzie! Na koszt pensjonatu!

– Nie, nie, dziękuję bardzo, ale na obiad to już na pewno przyjadą do mnie

– zaproponował ksiądz. – Bo przed południem pojedziemy do ich rodziców do szpitala.

Michalina pokiwała głową i podała księdzu klucz do pokoju znajdującego się na samym końcu korytarza na parterze. Pozostali goście zajmowali apartament na strychu, więc nikt nie będzie sobie wchodził w drogę.

Ksiądz zaprowadził dzieci do pokoju i wrócił do recepcji, dziękując Michalinie za dobre serce. Kiedy chciał zapłacić za pokój, dziewczyna pokręciła głową.

– Konsultrak nie zbiednieje od tego, że dwoje dzieciaków prześpi tu za darmo dwie noce – stwierdziła stanowczo.

– Dziękuję z całego serca! – Uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się ciepło. – Jadę teraz do szpitala, może będzie już coś wiadomo...

Michalina siedziała przez długą chwilę w recepcji, wciąż jeszcze oszołomiona liczbą słów wypowiedzianych przez nią bez żadnego przygotowania i niemal bez drżenia w głosie. Później poszła do jadalni i poprosiła o duży talerz kanapek, po czym wróciła do dworku, zapukała do drzwi wynajętego rodzeństwu pokoju, a gdy otworzyła je bledziutka i smutna Wiola, wręczyła jej tacę z kolacją.

– Pomyślałam, że będziecie woleli zjeść tutaj, razem. Gdybyście czegoś potrzebowali, przyjdź do mnie, do recepcji, albo do pokoju numer dziesięć.

Wiola uśmiechnęła się z wdzięcznością i zniknęła w pokoju.

Nocą Michalina długo nie mogła zasnąć, rozmyślając nad smutnym losem, jaki spotkał tę rodzinę, która chciała przecież tylko pomóc choremu dziecku. Wreszcie zrezygnowała z przewracania się z boku na bok, założyła na piżamę flanelową koszulę, wsunęła na stopy adidas i poszła do recepcji, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych e-maili. Kiedy przechodziła obok pralni, usłyszała dziwny stłumiony odgłos, jakby ktoś przesuwiał coś ciężkiego. Zatrzymała się, nasłuchując. Odgłos powtórzył się.

„Ktoś wszedł przez korytarz w piwnicy!” – pomyślała. Oblał ją zimny pot, ale czując się odpowiedzialna za bezpieczeństwo gości, wzięła głęboki

oddech, weszła do pralni i ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, zeszła do piwnicy. Zatrzymała się tuż obok wejścia do korytarza, nasłuchując.

„Może lepiej od razu wezwać policję?” – przeszło jej przez myśl. Jednak wyobraziła sobie, że „włamywaczem” okaże się jakiś borsuk albo lis i uznała, że lepiej się upewnić, zanim zrobi z siebie pośmiewisko.

„Spokojnie...” – powtarzała sobie.

Serce biło jej tak głośno, że miała wrażenie, że słyszczyć je nawet na piętrze. Przez kilka minut panowała cisza i Michasia pomyślała, że to rzeczywiście może tylko jakieś dzikie zwierzę, ale w tej samej sekundzie coś stuknęło i męski głos powiedział dość głośno: „O kurwa!”, po czym rozległo się syknięcie. Miała więc już pewność, że ktoś z zewnątrz dostał się do pensjonatu. Czuła napięcie w całym ciele. Przeklęła w duchu, że nie wzięła ze sobą komórki, choć dzwonienie stąd i tak nie wchodziło w grę – intruz na pewno by ją usłyszał. Zaczęła się wolno cofać, żeby wrócić na górę i wezwać policję, ale w tym momencie ktoś zaświecił latarkę i strumień światła wyłowił z mroku sylwetkę Michaliny.

– A kogo my tu mamy?

Dziewczyna stanęła w lekkim rozkroku, czując, jak pot spływa jej pomiędzy napiętymi do granic możliwości łopatkami. Kilka metrów przed nią stało trzech mężczyzn: krępy brodac, wysoki i dość tęgi rudzielec oraz ogolony na łyso mięśniak z łomem w ręce.

– Zgubiłaś się, dziewczynko? – zapytał drwiąco mięśniak, na co jego kumple zareagowali głośnym rechotem. – To my ci pomożemy się odnaleźć!

– Nie zbliżajcie się! – Jej głos zabrzmiał cienko i żałośnie, co powitali kolejnym wybuchem śmiechu.

– Chyba się jednak zbliżymy, kotku!

Mięśniak chwycił ją za ramię żelaznym uściskiem. Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie. Michalina pochyliła się, zrobiła szybki zwrot i w okamgnieniu znalazła się za plecami zdezorientowanego mięśniaka, wymierzając mu mocne kopnięcie pod kolana i jednocześnie wbijając łokieć

w jego krzyż. Zanim mężczyzna znalazł się na ziemi, jego brodaty towarzysz otrzymał silne kopnięcie w pierś, które rzuciło go na ścianę. Michasia odbiła się od ziemi i tym razem jej stopa wylądowała na jego policzku.

– Taka z ciebie zawodniczka?! – Trzeci z napastników chwycił ją od tyłu w pasie i podniósł do góry, ale nie miał możliwości założenia jakiejś bardziej skutecznej blokady, bo Michalina gwałtownie odrzuciła głowę w tył, rozbijając mu w ten sposób nos, a gdy mężczyzna osłabił chwyt, wyrwała się z jego objęć i wymierzyła mu cios kolaniem w krocze. Kantem dłoni uderzyła w szyję zbierającego się z ziemi mięśniaka, pozbawiając go przytomności, po czym chwyciła łom, który – wypuszczony z rąk przez napastnika – leżał pod ścianą i zamierzyła się nim na próbującego wstać brodacza.

– No już, leżeć, gnoju! – wrzasnęła, a jej oczy ciskały gromy. – Daj mi tylko pretekst, a tak was stłukę, że będą was w szpitalu składać jak puzzle!

Mężczyzna łypnął na nią i położył się na ziemi, obok nieprzytomnego mięśniaka. Już więcej nie próbował wstawać. Michalina zobaczyła wystający z tylnej kieszeni jego dzinsów smartfon, wyjęła go i wybrała numer alarmowy. Poinstruowała policjantów o wejściu od strony starej kopalni, bo nie chciała, żeby wyrwali ze snu wszystkich gości, a nie mogła zostawić swoich jeńców, żeby podejść do domofonu.

Po kilku minutach, w trakcie których mięśniak ocknął się na tyle, żeby próbować wstać, w wyniku czego otrzymał cios łokciem w potylicę, w korytarzu rozbłysły światła latarek i do piwnicy wkroczyli trzej policjanci. Jeden trzymał odbezpieczoną broń. Na widok drobniutkiej, chudej dziewczyny i powalonych trzech osiłków parsknęli śmiechem.

– No no, Łysy – zawołał jeden z funkcjonariuszy, zakładając mięśniakowi kajdanki. – Wróciłeś do nas na gościnne występy, ledwie cię z mamra zwolnili? Aż tak tęskniłeś za kolegami z celi?

Mięśniak o jakże oryginalnym pseudonimie warknął i szarpnął się w kajdankach, rzucając wściekłe spojrzenia na policjantów i Michalinę.

– Jeszcze cię kiedyś dopadnę! – wysyczał w jej kierunku.

Prychnęła i przewróciła oczami.

– To radzę w pace trochę poćwiczyć koordynację i refleks, bo następnym razem pani nie będzie taka pobłażliwa – odpowiedział mu aspirant Wir, po czym odwrócił się w stronę Michasi.

– A to wejście koło kopalni, to będzie trzeba jakoś zabezpieczyć, bo jak już się o nim zwiedzieli miejscowi, to pani tu spokoju nie będzie miała. Każdy wlezie, choćby po to, żeby sprawdzić, czy się da! – stwierdził. – Jak pani chce, to zadzwonię do mojego przyjaciela, on ma firmę budowlaną, zresztą pracował tutaj przy remoncie, to pani doradzi, co z tą jamą zrobić.

Michasia pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– A na razie to proszę tylko porządnie zamknąć piwnicę, jeden z naszych zostanie tutaj, na wypadek gdyby te łajzy miały jakiegoś wspólnika. Choć, szczerze mówiąc, nie sędzę, bo już to, że się we trzech zdołali jakoś dogadać, to jest sukces niewyobrażalny...

Michasia wróciła do łóżka, dwa razy upewniając się, że drzwi prowadzące do piwnicy są zamknięte.

Rano zapukała delikatnie do pokoju rodzeństwa i podała Wioli tacę ze śniadaniem. Jeszcze wczoraj wyjaśniła kucharzowi sytuację (trzy razy przećwiczyła, co ma mówić, więc poszło jej całkiem dobrze, tym bardziej że pan Janek nie przerywał) i widać było, że personelowi też żal się zrobiło dzieciaków, bo oprócz pięknie udekorowanych kanapek zauważyła na tacy także dwa spore kawałki szarlotki.

Po śniadaniu w recepcji pojawił się wysoki, potężny mężczyzna, który przedstawił się jako Jakub Midas, znajomy aspiranta Wira.

– Jak pani chce, to obejrzę ten nieszczęsny korytarz, bo to przecież tak się nie da, żeby byle menda mogła wleźć. Tym bardziej że jak pani wyjedzie, to następna osoba może już nie być takim ninja jak pani!

Zaprowadziła go na dół i wróciła do recepcji, aby wysłać e-maila do prezesa. Opisała nocne zdarzenie i zapytała, czy może zatrudnić kogoś, kto zabezpieczy wejście. Ku jej niezadowoleniu prezes, zamiast odpisać,



zadzwoił, ale na szczęście nie zadawał zbyt wielu pytań.

– Oczywiście, pani Misiu, koniecznie trzeba ten korytarz zamknąć! Ale tak sobie myślę, żeby go nie zamurowywać, tylko drzwi solidne dać. Może znajdziemy jakieś fajne zastosowanie do tego przejścia? Zaraz kadry prześlą pani e-mailem wzór umowy, no i niech pani poprosi o możliwość zapłaty przelewem, to my tu wszystko załatwimy!

Midas pojawił się po półgodzinie.

– Najprościej byłoby zamurować! – powiedział.

– Prezes woli drzwi – szepnęła Michasia.

– Dobra. – Kiwnął głową. – Nie wiem, jakie atrakcje planujecie w związku z tym korytarzem, ale ja bym się nie bawił w takie zwyczajne drzwi, bo jak już się we wsi zwiedzieli, to tak jak mówił Dominik, różni będą się chcieli spróbować... Wstawiłbym tam solidne stalowe drzwi, takie, co z daleka będzie widać, że z nimi łatwo nie pójdzie. I sztabę żelazną od środka. No i tu w pensjonacie będziecie mogli spać spokojnie, że wam po piwnicy nie będzie się nikt kręcił.

– Dobrze – zgodziła się Michalina, podając mu umowę.

– Wszystko sobie pomierzyłem, to przygotuję w warsztacie, żeby tutaj nie hałasować bez potrzeby, no i wrócę przed wieczorem. Teraz mamy martwy sezon, ludzie nie remontują, więc czasu mam od cho... Dużo. No i pracownika ze sobą wezmę, takiego o mniejszych gabarytach, bo ja to się tam na końcu prawie zaklinowałem. To do zobaczenia – rzucił już od drzwi i wyhamował gwałtownie, bo omal nie staranował księdza, który właśnie zamierzał wejść do holu.

– Joł, ziomal! – Przywitał go Midas i zmierzwił mu włosy jak niesfornemu dzieciakowi.

Ksiądz Igor pokręcił głową z dezaprobatą, ale widać było wyraźnie, że obaj mężczyźni znają się i lubią. Duchowny wyglądał jeszcze atrakcyjniej niż wczoraj, bo tym razem oczy mu wesoło błyszczały i uśmiechał się szeroko. Wiola i Tomek, którzy musieli wypatrywać go przez okno, natychmiast

pojawił się w recepcji, ubrani w kurtki.

– Dzień dobry! – zawołał ksiądz od progu. – Przynoszę dobre wiadomości! Wasza mama pokonała kryzys i przenieśli ją na zwyczajny oddział!

Michalina rozpromieniła się.

– A co z tatą? – zapytała Wiola. W jej głosie słychać było strach.

– Wczoraj mówili, że ta noc będzie decydująca, więc skoro ją przetrwał, to możemy mieć nadzieję... Dzisiaj będą mu robić dodatkowe badania, ale już teraz powiedzieli, że wygląda to wszystko znacznie lepiej niż tuż po wypadku. Nie poddaje się! Więc jeśli zjedlicie już śniadanie, możemy jechać odwiedzić mamę!

W tym momencie Tomek niespodziewanie zaczął piszczeć wysokim, trudnym do zniesienia głosem. Ksiądz spojrział na niego bezradnie, ale Wiola objęła dłońmi twarz brata i zmuszając, by spojrział jej w oczy, powiedziała:

– Teraz musisz być grzeczny. Jedziemy do mamy. Rozumiesz? Mama na nas czeka. Mama czeka!

– Mama czeka – powtórzył chłopiec i zaczął miarowo poruszać głową w górę i w dół.

Wyszli wszyscy troje, a Michasia patrzyła za nimi, modląc się w duchu, żeby wszystko dobrze się skończyło.

Wieczorem solidne drzwi zostały założone i Michalina mogła spać spokojnie. Tym bardziej że odwiedził ją policjant i poinformował, że trzej włamywacze są recydywistami, więc szybko na wolność nie wyjdą, a na dodatek w mieszkaniu jednego z nich znaleziono plany napadu na pensjonat.

– Rozrysowali sobie nawet, jakie fanty zabiorą, uwierzy pani? – śmiał się aspirant Wir. – Takie to bystre chłopaki, że gdyby nie mieli na tych swoich planach komputera, to za nic by go nie zwinęli, choćby się prosił... No i sprawdziliśmy ostatnie połączenia z telefonu stacjonarnego tego gagatka. Na porządne bilingi jeszcze czekamy, ale z ostatnich dziesięciu połączeń cztery były tu, do pensjonatu.

Michasia energicznie pokiwała głową.

– Kilka razy ktoś dzwonił i pytał, ile pokoi jest zajętych – szepnęła. – I czy mamy telewizory...

– Nieźle to sobie obmyślili – podsumował Dominik. – A pani dostanie od nas nagrodę za niesamowitą postawę! Co pani trenuje? Bo muszę powiedzieć, że kiedy tam weszliśmy i zobaczyłem takie chucherko stojące nad tymi trzema osiłkami, to miałem wrażenie, że gdzieś jest ukryta kamera! Ale ich pani urządziła! Łysy ma złamany nos, a Psychol, ten z brodą, wybity bark i pęknięte dwa zębra.

– Trenuję od ósmego roku życia – odpowiedziała Michasia. To był tekst, który powtarzała tak wiele razy, że nie miała problemu z wypowiedzeniem go płynnie, nawet do zupełnie obcej osoby. – Zawsze byłam drobna i chciałam umieć się bronić. Najpierw chodziłam na kurs samoobrony, a tam trener powiedział, że jestem dobra i zaproponował mi zajęcia z karate i dzudo, potem doszła jeszcze krav maga i sambo.

Dominik gwizdnął z uznaniem.

– Dobrze, że jesteśmy oboje po tej samej stronie! I szkoda, że niedługo pani wyjeżdża, bo chętnie bym wziął u pani parę lekcji! A jakby pani szukała pracy w policji, to niech pani o nas pomyśli! – powiedział i pożegnał się, zapraszając ją na spotkanie na komendzie następnego dnia.

Ledwie wyszedł, do pensjonatu przyjechał ksiądz Igor z wielkim bukietem kwiatów. Wręczył je zaczerwienionej po same uszy Michasi i serdecznie podziękował za nocleg i opiekę nad rodzeństwem.

– Jestem twoim dłużnikiem, dziewczyno! Będę się za ciebie modlił!

– Dziękuję... A Tomek i Wiola nie przyjdą na drugą noc?

– Ich dziadkowie zdołali znaleźć jakieś loty z pięcioma przesiadkami, żeby tylko jak najszybciej wrócić, więc tę noc dzieciaki spędzą już w domu! – wyjaśnił. – Wygląda na to, że ich mama wyjdzie ze szpitala jeszcze w tym miesiącu, a i z tatą nie jest tak źle, jak przewidywali. Walczy i nie poddaje się, więc jest nadzieja na poprawę. Dobranoc i jeszcze raz serdeczne Bóg zapłać!

– Dobranoc! I... proszę pozdrowić Wiołę i Tomka!

\*\*\*

Kiedy Justyna szła po południu do domu, zadzwonił do niej Jakub Midas i opowiedział jej o brawurowej akcji Michasi w piwnicach pensjonatu.

– Mówię ci, dziewczyna jest niesamowita! – zakończył. – Dominik powiedział, że do końca życia nie zapomni widoku trzech napakowanych zbirów leżących u stóp tej kruszynki.

– O rany! Aż żałuję, że tego nie widziałam!

Ta historia sprawiła, że wpadła jej do głowy myśl, będąca rozwiązaniem dylematu związanego z pragnieniem rozpoczęcia jakichś treningów, a zarazem – uniknięcia siłowni. Na jej osiedlu powstał niedawno klub sportowy i wielokrotnie mijając go, obiecywała sobie, że zajrzy i zapozna się z ofertą. Teraz wreszcie to zrobiła i przekonała się, że oprócz standardowych zajęć z zumbi, aerobiku i ćwiczeń siłowych oferują też kurs samoobrony i walki wręcz.

– Od kiedy chce pani zacząć? – zapytał ją młody recepcjonista, kiedy zapłaciła za miesiąc z góry.

– Najlepiej od dzisiaj, zanim się rozmyślę albo pokona mnie moje lenistwo.  
– Uśmiechnęła się.

– Zajęcia nowej grupy zaczynają się za godzinę – odpowiedział. – Zdąży pani zaopatrzyć się w jakiś sportowy strój. Polecam nasz sklepik na dole, ceny są przyzwoite, a jakość naprawdę dobra!

Rzeczywiście, udało jej się kupić wygodny czarny strój do ćwiczeń i sportowe buty, przebrała się w szatni i poczekała, aż pojawią się pierwsze kursantki i kursanci – bo także mężczyźni pragnęli nauczyć się bronić. Wracała z treningu odprężona i zrelaksowana, czując przyjemne napięcie w mięśniach.

„Może nie będę takim ninja jak Michasia, ale przynajmniej rozruszam się

po ośmiu godzinach siedzenia w biurze” – uznała.

\*\*\*

Luty dobiegł końca i zakończyła się też misja Michasi w pensjonacie Leśna Ostoja. Dziewczyna spakowała swoje rzeczy do małego plecaka, bo dzień wcześniej wysłała część ubrań pocztą do domu. Usiadła na werandzie, czekając na przyjazd Karoliny – ładnej, przebojowej brunetki z działu marketingu, dziewczyny o bujnych, kobiecych kształtach i donośnym głose, który nie raz rozbrzmiewał na korytarzach Konsultraku, zwykle wyrażając niezadowolenie.

# MARZEC



*Oskarżasz kobietę, że przechodzi od jednego do drugiego;  
nie krytykuj jej, ona szuka tylko stałego mężczyzny.*

JOHANN WOLFGANG GOETHE

## Rozdział 10

---

Karolina oparła głowę o szybę samochodu i poddała się łagodnemu kołysaniu, które jednak wcale jej nie uspokajało. Była wściekła. I to tak, że aż się w niej gotowało! Przez cholernego prezesa i jego durne pomysły miała spędzić Wielkanoc na jakimś zadupiu, pilnując głupiego pensjonatu. Na dodatek do Drzewia musiał ją odwiedzić tata, bo Karolina jeszcze nie dorobiła się swojego samochodu, a jej chłopak – Mikołaj – akurat ten okres wybrał sobie na wyjazd z kolegami. Jej drugiego chłopaka – Wojtka (Karolina rzadko spotykała się tylko z jednym chłopakiem) – zmogła natomiast grypa żołądkowa.

„Niech to szlag!” – pomyślała dziewczyna, zamykając oczy, żeby nie widzieć tych wszystkich zapyziałych wiosek, które mijali po drodze. „Prawie miesiąc bez seksu! Ja chyba zwariuję!”.

Karolina – wbrew temu, co mówili o niej koledzy ze studiów i zawistne koleżanki z pracy – wcale nie była łatwa i puszczańska. Ona po prostu szukała idealnego mężczyzny, z którym chciała związać się na zawsze. A jak niby miała sprawdzić, czy wybranek jest ideałem, jeśli nie – idąc z nim do łóżka?

A że robiła to zwykle na pierwszej, góra drugiej randce, to w jej mniemaniu była po prostu kwestia oszczędzania czasu. Raz już wydawało jej się, że spotkała ideał: wysoki, przystojny student prawa, przestrzegający podstawowych zasad higieny, obyty w towarzystwie. Zanim przeszli do spraw łóżkowych, spotykali się przez tydzień i sądziła, że to jej poszukiwany doskonały partner, dopóki podczas pierwszej wspólnej nocy nie poprosił jej w łóżku, by włożyła mu w odbyty sznur z kulkami. Karolina nie była pruderyjna, ale żeby prosić o coś takiego podczas pierwszego zbliżenia? Zresztą, to jeszcze może by przełknęła, ale gdy jej wybranek stanowczo odmówił założenia prezerwatywy, tłumacząc, że wówczas nie odczuwa w pełni przyjemności, Karolina się wycofała. Wizja zarażenia się jakimś paskudztwem skutecznie wygasła w niej resztki namiętności i kazała jej opuścić mieszkanie niedoszęłego kochanka.

– Wygląda, że to tutaj! – Głos taty wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła oczy i spojrzała na okazały budynek. Zawieszony nad werandą szyld głosił „Pensjonat Leśna Ostoja”, a na werandzie siedziała ta stażystka z drugiego piętra, która wyglądała jak mała dziewczynka.

– Cześć! – zawołała Karolina, krzywiąc się niechętnie, gdy obcasy jej kozaczków zapadły się w żwirowym podłożu.

– Zapraszam!

Michasia pokazała jej recepcję, instrukcję, mapki i historię okolicy. Karolina zarzuciła ją gradem pytań o to, jak wcześnie trzeba wstawać, ilu w pensjonacie jest gości i czy są bardzo upierdliwi. Wyrzucała z siebie kolejne pytania z prędkością światła, nie dając Michasi szans na odpowiedź.

– Jest tu gdzieś jakaś knajpka? Bar? Pub? Można na piwo albo drinka wieczorem wyskoczyć?

Michasia spojrzała na nią zdziwiona, a Karolinie najwyraźniej skończyły się pytania, bo zamilkła i spojrzała na nią wyczekująco.

– Wieczorem to nie bardzo – powiedziała cichutko Misia. – Bo pokojówka wychodzi o szesnastej, personel kuchenny o dziewiętnastej i zostajesz tylko ty, a przecież recepcja nie może być bez obsady.



– O kurwa, no to niezła jazda... Całą dobę w robocie, znaczy się?!

– Nie jest tak źle...

– Pokaż mi ten cały majdan! – zażądała Karolina i Michasia poprowadziła ją korytarzem.

Karolinie niezbyt podobał się staroświecki wystrój. Prychała pogardliwie na widok masywnych drewnianych mebli, rzeźbionych poręczy i koronkowych firanek.

– Straszna wiocha, nie? – skomentowała, patrząc na drewniane wykusze okienne. – Przydałoby się tu trochę nowoczesności wpuścić, jakiś metal, szkło...

Michasia bez słowa otworzyła apartament utrzymany w wersji chromowano-metalowo-szklanej i Karolina aż gwizdnęła z zadowolenia.

– No, to rozumiem, wreszcie coś dla ludzi! Mogę się tu wprowadzić? Tato, pomożesz mi tutaj wnieść walizki?!

Tata Karoliny, który podążał krok w krok za dziewczynami, wyszedł z pensjonatu i po chwili pojawił się ponownie, ciągnąc trzy walizki na kółkach. Michalina, która miała tylko plecak, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Głodna jestem! – oznajmiła Karolina, kiedy już walizki znalazły się w jej pokoju. – Obiadów chyba nie muszę sama gotować? Bo byłaby kicha, ja to tylko parówki ugotować umiem!

– Nie, jest tutaj stołówka...

Wszyscy troje poszli do jadalni, gdzie kucharz zaserwował im pierogi z serem.

– Pizzę bym wolała, ale jak na pierogi, to nawet ujdzie – stwierdziła Karolina.

Po obiedzie tata Karoliny zwrócił się do Michasi:

– Czy pani jest już spakowana? Bo ja bym chciał teraz wyjechać, żeby przed wieczorem móc jeszcze zajrzeć do firmy.

– Yyyy, tak – bąknęła Michalina, patrząc na niego pytająco.

– No to chodźmy. Karola mówiła, że pani mieszka dwie przecznice od nas, więc podwiozę panią pod sam dom.

Uniósł brwi ze zdziwienia na widok plecaka Michaliny.

– To cały pani bagaż?

Wzruszyła ramionami i wrzuciła plecak do bagażnika, a potem usiadła obok kierowcy. Chciała jakoś się wymigać, bo perspektywa spędzenia dwóch godzin w towarzystwie obcego człowieka i konieczność prowadzenia luźnej konwersacji budziła w niej grozę, ale nie bardzo wiedziała, jaką wymówkę wymyślić. Zresztą wszystko potoczyło się tak szybko, że postanowiła, że jeśli będzie bardzo źle, najwyżej uda, że śpi. Okazało się, że wcale nie ma takiej potrzeby, bo ojciec Karoliny mówił za dwoje, a nawet za troje. Komentował wszystko, co dzieje się na drodze, mijane krajobrazy, oceniał sytuację polityczną w Polsce i na świecie, a w przerwach pomiędzy snuł plany na temat Karoliny.

– Konsultrak to dla niej duża szansa! Wielka firma, międzynarodowe kontrakty. Mam nadzieję, że uda jej się szybko awansować i zacznie zarabiać niezłe pieniądze.

Michalina pomyślała, że zdobycie w wieku dwudziestu kilku lat etatu w prestiżowym dziale w międzynarodowej korporacji to wystarczająco duży sukces, ale najwyraźniej taty Karoliny to nie satysfakcjonowało. Roztaczał przed dziewczyną plany kariery dla swojej córki, a Michasia słuchała go jednym uchem, patrząc na las.

„Będę tęsknić za tym miejscem...” – pomyślała, nieoczekiwanie dla samej siebie. W pewnym momencie jej uwagę przykuł jakiś ruch pośród drzew. Wytężyła wzrok i szczęka jej opadła ze zdumienia i podziwu – jakieś sześć metrów od drogi, pomiędzy pozbawionymi liści drzewami, przechadzał się wolnym krokiem potężny żubr. Justyna kiedyś jej o nim opowiedziała i Michasia przez cały czas pobytu w Drzewiu miała nadzieję, że także jej uda się zobaczyć to wspaniałe zwierzę.

„Boże, niesamowity!” – Michasia aż jęknęła z zachwytu i gorączkowo sięgnęła po telefon, żeby uwiecznić to niezwykle spotkanie, jednak tata Karoliny jechał zbyt szybko i zanim wyjęła aparat, straciła zwierzę z oczu. Miała ochotę poprosić kierowcę, żeby zawrócił, ale wymagało to nie tylko znalezienia chwili przerwy w jego monologu, co samo w sobie było szalenie trudne, ale do tego jeszcze – powiedzenia co najmniej kilku zdań, więc zrezygnowała.

„Może lepiej nie...” – uznała. „Jeszcze zrobiłby wokół tego wielką aferę i ktoś by biedaka zamknął z powrotem w hodowli”.

Dojechali do miasta w ciągu nieco ponad dwóch godzin. Michalina podziękowała i weszła do swojego bloku, zastanawiając się poniewczasie, czy nie wypadało zaprosić taty Karoliny na kawę albo herbatę.

\*\*\*

Tymczasem w Drzewiu Karolina rozejrzała się po swoim apartamencie i zrobiła kilka zdjęć, które od razu wrzuciła na Facebook i Instagram. Po kilku minutach pojawiły się pierwsze lajki i komentarze. Do wieczora siedziała w pokoju ze swoim smartfonem i rozmawiała wirtualnie ze znajomymi, aż poczuła głód. Zeszła na kolację, kiwnęła głową siedzącym w jadalni gościom i delektowała się naleśnikami z dżemem, które zaserwował szef kuchni. Początkowo zamierzała zjeść tylko jeden, bo starała się nie objadać na noc, ale smakowały jej tak, że skończyło się na czterech.

Po kolacji wróciła do recepcji, sprawdziła pocztę, wyłączyła komputer i poszła do swojego apartamentu, żeby kontynuować rozmowy i dyskusje na Facebooku.

Rano obudziło ją pukanie do drzwi. Natarczywe i niecierpliwe. Otworzyła oczy i zerknęła na wyświetlacz telefonu – było wpół do dziesiątej.

– No już, już – wymamrotała, idąc w stronę drzwi i po drodze wkładając szlafrok. Za drzwiami stała pani Wandzia, dość mocno zaniepokojona.

– Goście spod piątki wyjeżdżają – powiedziała, mierząc Karolinę

zdziwionym spojrzeniem. – I chcą dostać fakturę. Czekają już pół godziny i zaczęli się niecierpliwić, a ja nie umiem obsługiwać tych programów.

– Zaraz zejdem!

Karolina w biegu założyła sukienkę, spięła włosy w niedbały kucyk i zeszła na dół, złorzecząc w duchu na klientów w gorącej wodzie kąpanych, którzy nawet nie pozwolą się porządnie wyspać.

Turyści czekali w recepcji: młode małżeństwo z małym chłopcem, który spał na rękach siedzącej w fotelu matki, podczas gdy jego ojciec stał przy biurku, bębniąc palcami w blat.

– Przepraszam, przyjechałam dopiero wczoraj, nie zdążyłam się jeszcze wkręcić w nowe obowiązki i zasnęłam. – Karolina uśmiechnęła się rozbrawiająco, włączając komputer.

Po kilku minutach goście otrzymali fakturę i wyjechali, a Karolina wróciła do siebie, żeby wziąć prysznic i zrobić makijaż. Kiedy skończyła, było już dobrze po godzinie jedenastej, uznała więc, że daruje sobie dziś śniadanie. Wypiła za to filiżankę mocnej kawy, po czym obesza cały pensjonat w poszukiwaniu jakichś atrakcji. Kiedy doszła do bramki, minął ją młody mężczyzna na rowerze.

– Dzień dobry! – zawołał wesoło, machając do niej.

Wzruszyła ramionami i kiwnęła mu głową, myśląc w duchu: „A co w nim niby dobrego?”.

Wróciła do recepcji i skrzywiła się z niechęcią, bo na biurku zaczął dzwonić telefon.

– Halo? – rzuciła do słuchawki.

– No cóż, widzę, że nie przeczytała pani jeszcze instrukcji mówiącej o tym, jak należy się zgłaszać, odbierając połączenie. – Usłyszała głos prezesa Konsultraku i odruchowo wyprostowała się na krześle.

– Och, przepraszam – wyjąkała. – To dlatego, że miałam już trzy głuche telefony i myślałam, że to kolejny... – zmyśliła na poczekaniu.

– Za parę dni proszę się spodziewać kuriera, bo zamówiłem dekoracje wielkanocne. Trzeba przecież przygotować pensjonat dla gości, którzy zechcą spędzić tutaj święta. Jak się pani pracuje?

– W porządku, na razie tylko dwa pokoje są zajęte, nowych chętnych nie ma, ale na Wielkanoc mamy cztery rezerwacje.

– Tylko cztery? To trochę kiepsko... Ale może jeszcze ktoś się skusi... Musimy pomyśleć o jakiejś reklamie i ofercie, która zachęci turystów. To miłej pracy! – Rozłączył się, a Karolina siedziała przez chwilę, wpatrując się w monitor komputera. Tak zastał ją pan Janek.

– Jest pani zajęta? – zapytał. – Bo ja chciałem ustalić menu na święta.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– A co tu ustalać? Jajka i żurek, co nie?

– I tak przez trzy albo cztery dni? – Kucharz przyjrzał się jej uważnie. – Myślałem o tym, żeby w niedzielę podać gościom śniadanie w koszyczkach, że niby to święconka, a w środku jajka, kiełbasa, chrzan, jakaś babeczka, no słowem w miarę tradycyjny zestaw. Te koszyczki można zamówić u jednego takiego gościa z Drzewia, który wypłata, już z nim gadałem, tanio policzy. A na obiad...

– Dobra, pan się na tym zna, niech pan zrobi, jak pan uważa. – Karolinę znudziła ta rozmowa. – Jeśli ten gościu da fakturę na koszyczki, to prezes na pewno nie będzie się rzucał. A dania może pan przygotować, jakie chce, u mnie zawsze mama wszystko szykuje, ja tylko jem, więc nie będę się panu wtrącać.

– No to w porządku. – Pan Janek skierował się do wyjścia, ale już w progu o czymś sobie przypomniał i odwrócił się do Karoliny:

– A ilu gości mamy zapowiedzianych? – zapytał.

Popatrzyła w ekran.

– Dwie rodziny po cztery osoby, jeden samotny facet i jakaś para.

– Gdyby się ktoś jeszcze zgłosił, proszę mi dawać znać na bieżąco, bo

muszę wiedzieć, ile czego zamówić.

– Dobra.

Karolina została sama. Rozejrzała się po recepcji i pokręciła głową z niedowierzaniem.

„Co ja tu robię?” – pomyślała.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Bardzo mi się pani podoba – wyszeptał męski głos, kiedy już wygłosiła wymaganą formułkę. – Bardzo, bardzo.

– No to super – skwitowała. – Mdleję z zachwytu!

Zniesmaczona, odłożyła słuchawkę.

„Jeszcze jakiegoś zboka telefonicznego mi tu brakowało...” – pomyślała.

\*\*\*

Tego dnia Justyna wracała z pracy trasą, którą kiedyś pokazał jej Eryk. Szła wolno, przyglądając się budzącej się do życia przyrodzie. Pod krzewem w parku spostrzegła białe główki przebiśniegów, a na drzewach – pierwsze pąki.

„Przed akcją w Leśnej Ostoji rzadko zauważałam takie rzeczy...” – pomyślała. „Najczęściej dostrzegałam, że przyszła wiosna, dopiero gdy kwitły bzy... Kolejna rzecz, za którą powinnam podziękować Cruelli...”.

Spacer wprowadził ją w świetny nastrój, tym bardziej że po drodze minęła małą przytulną księgarnię, z której wyszła z pełną torbą. Kupiła dwa skandynawskie kryminały i najnowszą książkę uwielbianego przez nią Macieja Siembiedy oraz dla równowagi – optymistyczną i pogodną powieść Doroty Milli, o której słyszała wiele dobrych opinii. Przyspieszyła kroku, bo miała ochotę od razu usiąść do lektury, a zresztą torba zaczęła jej mocno ciążyć. W skrzynce na listy czekała na nią czerwona koperta – znów nadana z jej miasta, i znów bez adresata. Wiadomość, którą w niej znalazła (napisana tą samą elegancką czcionką na blad różowym papierze), nieco ją zaskoczyła:

*Miłość to akt nieustannego przebaczenia, czułe spojrzenie, które wchodzi w nawyk.*

*Peter Ustinov*

*Wybaczam Ci. Spróbujmy jeszcze raz!*

– O co tu chodzi?

Przeczytała tekst ponownie, po czym wzruszyła ramionami i wrzuciła karteczkę do kuchennej szuflady, w której zwykle zbierała pocztówki i listy – dopóki nie zaczynał się problem z jej domykaniem. Wówczas segregowała papiery – i część wyrzucała.

„Dobrze wiedzieć, że mi wybaczasz... Ciekawe tylko, jakiego przewinienia się dopuściłam... I czego niby mamy spróbować jeszcze raz...” – pomyślała, ale coraz bardziej skłonna była przypuszczać, że za tymi liścikami stoi jej były narzeczony. „Nic z tego nie będzie, kolego...”.

## Rozdział 11

---

Kolejne dni były podobne do siebie jak dwie krople wody i Karolina czuła, że ma serdecznie dość tego całego pensjonatu, ciszy i spokoju.

– Co za beznadzieja... – narzekała. – Zwariuję w tej cholерnej dziurze!

Miała ochotę wybrać się na wielkie zakupy, popływać w basenie, posiedzieć w knajpie ze znajomymi, a nie – gapić się w ekran monitora i uśmiechać do jakichś nawiedzonych gości, którzy przyjeżdżają na takie zadupie, żeby wypoczywać – i jeszcze za to płacą... Patrzyła ze zdumieniem na dwie turystki, które przechadzały się po ogrodzie i robiły zdjęcia jakimś kielkującym kwiatkom i pączkom na drzewach i codziennie spacerowały po lesie, a potem szczebiotały w recepcji:

– Jak tu ślicznie! Tak cicho!

– A w lesie pachnie tak, że żadne perfumy się do tego nie umywają!

Karolina nie rozumiała zachwytów nad przyrodą. Lubiła miasto, kawiarnie, gwar, ruch uliczny.

„Takie spacerki to są dobre dla emerytów” – myślała sobie, przyglądając się



przyjezdnym, wśród których byli jednak ludzie w różnym wieku.

Ogród wokół pensjonatu zaczynał budzić się z zimowego uśpienia. Gdzieś tam kiełkowały przebiśniegi, w najbardziej nasłonecznionym miejscu wyłonił spod ziemi fioletową głowę pierwszy krokus, na krzewach i drzewach pojawiły się drobne pąki, wzbudzając zachwyty gości.

Pod koniec tygodnia przyjechał obiecany przez prezesa kurier i Karolina załamała ręce, patrząc na wielkie kartony, które wyładował z samochodu. W jednym znalazła krzaki bukszpanu w doniczkach, w drugim – mnóstwo gałązek bazi i drewniane wazoniki z ludowym wzorem, jakieś pisanki, kolorowe palmy i „inne pierdoły rodem z zapadłej wiochy” – jak to potem opisała znajomym.

– I co ja niby mam z tym wszystkim zrobić? – westchnęła.

Pani Wandzia popatrzyła na dekoracje z zachwytem.

– Ale śliczne te wazoniki! Wystarczy do każdego pokoju! – zawołała. – I baze się do nich powkłada, od razu będzie świąteczna atmosfera!

Karolina popatrzyła na nią jak na kosmitkę.

– Poustawia to pani jakoś? – zapytała. – Bo ja to zupełnie nie mam zmysłu do takich dupereli...

– Pewnie, że poustawiam! – Uśmiechnęła się pokojówka. – Pracy za wiele ostatnio nie ma, a ja nie umiem się tak beczynnie kręcić... Ale ten bukszpan to chyba bym zostawiła tutaj, na zewnątrz, bo on tak niezbyt przyjemnie pachnie. Ewentualnie w recepcji i w jadalni można dać po kilka, bo tam są duże pomieszczenia.

– Jak pani chce! – Karolina zostawiła ją z całym inwentarzem i poszła do recepcji, żeby sprawdzić, co słychać w sieci. Zrobiła przy okazji trochę zakupów w sklepach internetowych.

Tymczasem pani Wandzia krzątała się po pensjonacie, rozkładając kupione przez prezesa dekoracje. W ciągu godziny pensjonat był już gotowy na przyjęcie wielkanocnych gości – w każdym pokoju czekały wazoniki z baziami i palmy wielkanocne, w jadalni – miseczki z kolorowymi

pisankami i pluszowymi kurczakami, a na parapetach jadalni i recepcji oraz na werandzie – krzaki bukszpanu w ozdobnych donicach, z powbijanymi pomiędzy zielone gałązki baziami i palmami. Po południu dołączyły do nich jeszcze przywiezione przez kuriera z centrum ogrodniczego koszyczki z żywymi roślinami. Kompozycje złożone z hiacyntów, żonkili, tulipanów i szafirków wyglądały pięknie, mimo że kwiaty były jeszcze w pączkach.

Karolina sfotografowała efekty starań pani Wandzi i wysłała zdjęcia do prezesa, który zadzwonił i pochwalił ją za wspaniałą pracę i świetny gust.

– Nie spodziewałem się po tak młodej osobie takiego dobrego wyczucia! Zaraz wrzucimy zdjęcia na stronę, na pewno zachęcą gości!

Kiedy Karolina przedstawiła mu pomysł na wielkanocne śniadanie w koszyczkach, prezesa na moment zatkało, a gdy przemówił ponownie, jego głos brzmiał wyjątkowo entuzjastycznie.

– Wspaniały pomysł, pani Karolino! No po prostu genialny! Informację o tym również zamieścimy na stronie! Dobra robota!

\*\*\*

Dwa dni później przed obiadem do recepcji pensjonatu wkroczyła zamaszyście kobieta w długiej spódnicy i dzierganym na drutach sweterku.

– Dzień dobry! – zawołała donośnie, bo nikogo w pobliżu nie było. Po chwili z piętra wychyliła się pani Wandzia, a zobaczywszy, że Karoliny nie ma w recepcji, zastukała do jej apartamentu. Karolina z ciężkim westchnieniem odłożyła smartfon i poszła do holu, żeby powitać gościa.

– Nazywam się Marta Kowal – przedstawiła się kobieta. – Jestem animatorką i tak się zastanawiałam, czy nie byłaby pani zainteresowana zorganizowaniem warsztatów dla gości pani pensjonatu.

– Animatorką? – powtórzyła Karolina. – Znaczy się, bajki jakież chce im pani puszczać?

Kobieta zerknęła na nią spod oka.

– Bajki? – zapytała zdziwiona, po czym jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.  
– Ach, chodzi pani o animacje? Nie, nic z tych rzeczy! Jestem animatorką czasu wolnego – czyli pomagam ludziom zorganizować sobie czas, uczę ich fajnych rzeczy, angażuję w różne warsztaty. Jako że zbliżają się święta, pomyślałam o warsztatach zdobienia pisanek i w ogóle robienia dekoracji wielkanocnych. Mam tutaj foldery, a tu – podała jej pendrive – baner do wrzucenia na stronę. Gdyby pani zamieściła to na stronie Leśnej Ostoi, goście mogliby od razu zgłaszać chęć uczestnictwa, a ja bym się zorientowała, ile czego kupić i przywieźć.

– Dobra, wyślę to szefowi, jak mu się spodoba, to informatycy zamieszczą – stwierdziła obojętnie Karolina. – A foldery może pani tu zostawić, zobaczymy, czy ktoś się zainteresuje...

Nie minął kwadrans od wyjścia animatorki, gdy do Karoliny zadzwonił prezes Konsultraku. Był zachwycony i podekscytowany.

– Ma pani świetne pomysły, pani Karolino! Zaraz to rzucę informatykom! Tak trzymać!

Po odłożeniu telefonu prezes spojrzał na Justynę, która właśnie weszła do jego gabinetu z najnowszym raportem, wskazał jej miejsce w fotelu i powiedział:

– No, przyznam, że dziwna sprawa z tą panią Karoliną... Ten wyjazd miał być dla niej testem – ostatnim, zanim ją wywalimy. Jej bezpośredni przełożeni nie są z niej zbyt zadowoleni. Twierdzą, że nie angażuje się w pracę, nie bierze na siebie nowych wyzwań, wiecznie jest niezadowolona, nie ma żadnych pomysłów i tylko dużo opowiada o tym, co zrobiła. Ja jednak widzę, że potrafi się wykazać inicjatywą i myślę, że już w tej chwili mogę powiedzieć, że test zdała pomyślnie. Niech pani zobaczy, jakie rzeczy wymyśliła!

Justyna była pod wrażeniem pomysłów Karoliny i zdziwiła się tak samo jak prezes, bo nie przepadała za tą dziewczyną, która – ilekroć się spotykały na korytarzu – miała cierpiętniczą minę i na coś narzekała.

– Tak sobie myślę, że skoro w swoim dziale się nie sprawdza, to może

problemem jest dla niej praca w dużym zespole – dodał prezes. – Trzeba będzie dać jej bardziej samodzielne stanowisko, takie gdzie nie można się za nikim chować i trzeba samemu błyszczeć. Pani Agata potrzebuje nowej asystentki i wydaje mi się, że to będzie właściwe miejsce dla pani Karoliny.

„Taaa, z pewnością się ucieszy z awansu na mięso armatnie dla Cruelli” – pomyślała w duchu Justyna i aż żal się jej zrobiło Karoliny.

– A wobec tego na jej miejsce możemy przesunąć któregoś ze stażystów. Myślę o panu Krystianie, bo to wyjątkowo obrotny chłopak. No i ta Michalina świetnie sobie poradziła w pensjonacie, chyba też należy jej się u nas etat, jak pani myśli?

– Zgadzam się z panem, to solidna dziewczyna. A Krystian na pewno wniesie sporo życia do zespołu.

\*\*\*

Wieczorem, kiedy Karolina wróciła z kolacji do recepcji, zadzwonił telefon. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, aż wreszcie, gdy po raz trzeci zapytała: „O co chodzi?!”, męski głos wyszeptał:

– Pani jest piękna! Odkąd panią zobaczyłem, nie mogę przestać o pani myśleć! Nie śpię po nocach i...

– No to współczuję – przerwała mu Karolina, która nie była w nastroju do takich żarcików. – Ja natomiast śpię bardzo dobrze i właśnie zamierzam położyć się do łóżka, więc dobranoc.

Następnego wieczoru tajemniczy wielbiciel zadzwonił jednak ponownie, tym razem wkładając w komplementy nieco więcej inwencji:

– Pani oczy tak błyszczą, że mogłyby być moim życiowym drogowskazem! A pani uśmiech rozjaśnia nawet najbardziej pochmurny dzień... Znów dziś przez panią nie zasnę...

Rozłączył się, zanim zdążyła coś odpowiedzieć. Siedziała przez chwilę zamyślona. „Ciekawe, co to za jeden tak wydzwania. Pewnie jakiś małorolny,

któremu się nudzi... Właściwie, taki zdrowy wiejski facet mógłby być niezłą odmianą po tych wszystkich metroseksualnych chłopaczkach z miasta” – stwierdziła. „Ale to by musiał być jakiś prawdziwy osiłek, taki w stylu nieokrzesanego drwala, a nie jakiś wymoczek od kosy...”.

Tej nocy przed zaśnięciem fantazjowała o ostrym seksie z mrukliwym drwalem o dzikim spojrzeniu, z klatką piersiową porośniętą gęstymi, czarnymi włosami.

Kolejnego wieczoru Karolina była już dobrze przygotowana. Tajemniczy wielbiciel zadzwonił tym razem po dwudziestej i wyszeptał:

– Chyba przez panią zwariuję! Ja...

– No dobrze – weszła mu w słowo Karolina. – Te telefony na pewno panu w niczym nie pomogą, proponuję więc, żeby zamiast dzwonić bez sensu, przyszedł pan tu do mnie. Może coś zaradzimy na tą pana bezsenność...

Mężczyznę zatkało. Milczał przez długą chwilę, aż Karolina znecierpliwiła się i odłożyła słuchawkę. Nie cierpiała nieśmiałych mężczyzn.

– To nie śpij dalej, ciółku – powiedziała do milczącego telefonu i wyłączyła komputer.

Telefon już więcej nie zadzwonił, ale kiedy Karolina po kolacji, na którą złożyły się grzanki i dwa piwa, wracała następnego wieczoru do recepcji, między drzewami ujrzała jakąś sylwetkę. Potężną! Zaintrygowana zawróciła i podeszła do bramy, wpatrując się w ciemność.

– Ej, to ty? – zawołała w mrok, a wtedy sylwetka się poruszyła i spomiędzy drzew wyszedł... drwal. Dokładnie taki, jak w jej fantazji! Wielki, niedogolony, w rozchełstanej koszuli, spod której wystawało bujne owłosienie. Miał nawet siekierę zawieszoną na ramieniu! Karolina poczuła taką żądzę, jakby stał przed nią ostatni przedstawiciel męskiego gatunku na tej planecie. Chwyciła go za rękę i pociągnęła do świetlicy. Na szczęście nie było w niej żadnych gości.

– No to pokaż, jak bardzo ci się podobam! – powiedziała, zamykając drzwi na klucz, a ponieważ mężczyzna nie wykonał żadnego gestu, tylko wpatrywał

się w nią dzikim wzrokiem, zrzuciła kurtkę, rozpięła bluzkę i popchnęła go na skórzany fotel. Szybko poradziła sobie z jego koszulą i spodniami, po czym dosiadła go, tak jak w swojej fantazji, tuląc jego głowę do swoich piersi. Mężczyzna wydał jakiś dziwny, nieartykułowany dźwięk, który tak ją podniecił, że nie potrafiła powstrzymać jęku. Odrzuciła głowę do tyłu i przez całe jej ciało przebiegły dreszcze rozkoszy.

Pozostała potem na jego kolanach, mokra od potu, wtulona w szeroką klatkę piersiową, oszołomiona i zaskoczona, bo wkrótce był gotów do drugiej rundy, którą odbyli częściowo na stole bilardowym i częściowo pod nim.

– Brałeś coś? – zapytała i roześmiała się. – To jest naprawdę niezłe!

Kiedy rzucił się na nią po raz trzeci (tym razem na wielkiej sofie pod oknem), pomyślała, że sporo dotąd traciła, unikając wyjazdów na wieś.

– Praca na świeżym powietrzu naprawdę daje moc!

W końcu jej dziki drwal zasnął, a ona leżała jeszcze przez długą chwilę, przygnieciona jego ciężarem, słuchając szybkiego bicia jego serca, i zastanawiała się, czy poczekać i sprawdzić, czy szybko będzie gotowy na kolejną powtórkę, czy też jakoś pozbyć się go i wrócić do łóżka. Po namyśle uznała, że jest nasycona jak jeszcze nigdy, spełniła swoją fantazję, a czwarty raz to byłaby przesada na pierwszej randce, nawet jak na nią. Poza tym dziki drwal roztaczał woń jakiejś oldskulowej wody po goleniu, co mocno ją drażniło. No i lada dzień miał przyjechać jej chłopak, który pewnie nie byłby zachwycony nowym przyjacielem Karoliny. Zepchnęła więc z siebie jego potężne ciało, wstała i zaczęła się ubierać, jednocześnie rzucając mężczyźnie jego spodnie. Obudził się i spojrzał na nią pytająco.

– Aniuu? – wychrypiał.

– Ja ci dam Anię, draniu jeden! – Karolina znakomicie odegrała oburzenie, choć w głębi duszy wiedziała, że jej pretensje są bez sensu, jako że sama też nie znała jego imienia. Niemniej uznała, że dał jej świetny pretekst, aby szybko się go pozbyć. – Bierz swoje ciuchy i wynoś się stąd!

Dla wzmocnienia efektu wskazała ręką na drzwi. Mężczyzna przez moment

wpatrywał się w nią, mrugając intensywnie, wreszcie wstał, zapiął spodnie, sięgnął po siekierę, która leżała w kącie pokoju, i wolno ruszył do wyjścia, raz po raz spoglądając w stronę dziewczyny. Karolina otworzyła drzwi i rzuciła za nim jego koszulę. Kiedy upewniła się, że sobie poszedł, wyszła ze świetlicy i zamknęła drzwi. Zadowolona wróciła do swojego pokoju, wspominając dotyk szorstkiej skóry i czując na piersiach lekkie pieczenie po tym, jak podrapał ją jego ostry zarost.

„Szkoda, że w *Rolnik szuka żony* nie pojawiają się takie typki... Na pewno wzrosłaby oglądalność...” – pomyślała przed zaśnięciem.

Rano przekonała się, że podjęła dobrą decyzję, bo o dziesiątej pod bramę pensjonatu podjechał czarny passat Wojtka.

– Wyzdrowiałem, kotku! – zawołał chłopak, trzaskając drzwiczkami. – Tęskniłem za tobą jak wariat!

Kiedy już porządnie się przywitani, testując przy okazji wytrzymałość kuchennego stołu na chromowanych nóżkach, Wojtek zasnął, a Karolina ubrała się i zeszła na dół. Odprężona i zadowolona usiadła na werandzie, otulając się bluzą polarową. Wystawiła twarz do słońca i przez chwilę napawała się ciepłym dotykiem jego promieni, ale niedługo dane jej było tak się delektować, bo wkrótce niebo zasnuło się ciemnymi chmurami i lunął rześisty deszcz. Już miała schować się do domu, gdy ujrzała pędzącego od strony lasu rowerzystę. Po paru minutach mężczyzna zatrzymał rower tuż obok werandy, zgrabnie z niego zeskoczył i zmierzwił mokre włosy, uśmiechając się do Karoliny.

– Ale żywioł! – skomentował. – Zanim dojechałbym do wsi, chyba nawet rower byłby nasiąknięty wodą. Mam na imię Irek! Czy mogę się tutaj schronić?

Karolina uśmiechnęła się i pokiwała głową, po czym weszła do recepcji. Jeszcze wczoraj oceniałaby go w swojej prywatnej dziesięciostopniowej skali atrakcyjności na sześć, co dawałoby mu spore szanse. W tej chwili jednak, mając za sobą dwie gorące sesje erotycznych harców, oceniła go na cztery, co praktycznie oznaczało dyskwalifikację, bo Karolina nigdy nie schodziła

poniżej piątki. Przynajmniej na trzeźwo, bo po paru drinkach zdarzało się, że dziewiątka, z którą wychodziła z pubu, następnego ranka okazywała się zaledwie trójką albo nawet dwójką! Irek, nieświadomy swoich słabych notowań, uśmiechnął się do niej szeroko.

– Moja mama mi mówiła, żebym nigdzie dzisiaj nie wychodził, bo śniły jej się zęby, a to oznacza pecha! A tu przeciwnie – spotkało mnie szczęście, bo poznałem ciebie.

Karolina zmierzyła go od stóp do głowy, ale nie zmieniło to jego położenia w rankingu.

– No sama pomyśl! – Irek spojrzał jej głęboko w oczy. – Chyba bardziej romantycznych okoliczności nie można sobie wyobrazić: nawałnica, żywioły szaleją, ty udzielasz mi schronienia... Na dodatek zbliżają się święta wielkanocne, czas odrodzenia i nadziei! Nie wydaje ci się, że to coś znaczy? Wierzysz w przeznaczenie?

Karolina prychnęła z pogardą.

– To bzdury! Naprawdę sądzisz, że każdemu jest przypisana tylko jedna, jedyna osoba? Na całym świecie – tylko jedna?! To byłoby straszne marnotrawstwo!

– Marnotrawstwo? – popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– No pewnie! I skąd niby byś wiedział, że to jest ta najlepsza, najwspanialsza, jeśli nie miałbyś żadnego porównania?!

– Eeeee – Irek na moment stracił rezon, ale po krótkim namyśle postanowił postawić wszystko na jedną kartę. – Słuchaj, no to może sprawdzisz, jak wypadnę w porównaniu z innymi?

– Ja cię zaraz porównam, gnoju jeden! – Wojtek stał na schodach, marszcząc brwi i starając się wyglądać groźnie. Trochę się obawiał konfrontacji z jakimś wioskowym osiłkiem, ale Irek nie wyglądał na siłacza, co dodało mu pewności siebie. – I wypadniesz, ale na zbity pysk!

– Wyluzuj, nie wiedziałem przecież... – Irek wzruszył ramionami i szybko opuścił recepcję.



„Może za miesiąc mi się poszczęści...” – pomyślał, wsiadając na rower i jadąc w deszczu w kierunku wsi.

\*\*\*

Justyna wpakowała zakupy do bagażnika samochodu i z niepokojem przebiegła wzrokiem sporządzoną wcześniej listę. Wyglądało na to, że o niczym nie zapomniała. Od tygodnia planowała wszystko szczegółowo, bo w tym roku zaprosiła rodziców i Łukasza (chwilowo bez dziewczyny) do siebie na Wielkanoc i chciała ich ugościć po królewsku. Spodobał jej się pomysł Karoliny na śniadanie w koszyczkach, kupiła więc cztery białe wiklinowe koszyki, a także baze, żonkile i całe mnóstwo innych kwiatów, żeby udekorować mieszkanie.

„Jak mi nie wyjdzie jakaś potrawa, to przynajmniej wewnątrz będzie robiło dobre wrażenie” – pomyślała.

Zaopatrzyła się też oczywiście w całe mnóstwo jedzenia, żeby przygotować prawdziwie tradycyjne dania, choć miała poważne wątpliwości, czy poradzi sobie z paschą i mazurkiem.

– Ja ci upiekę makowiec! – obiecała Agnieszka, gdy Justyna zwierzyła jej się ze swojej niepewności. – Jestem w tym mistrzynią! Jakby pascha nie wyszła, zawsze będziesz miała coś na podorędziu!

Przydzwigała zakupy do mieszkania w dwóch turach, z ulgą przyjmując fakt, że tym razem nigdzie nie czekał na nią Eryk. Od jakiegoś czasu spotykała go niemal za każdym razem, gdy wracała z pracy. Szedł wówczas ze śmieciami albo właśnie skądś wracał. Zawsze uśmiechał się szeroko i rzucał jakiś komplement pod jej adresem lub tylko życzył jej miłego dnia. Zaczynała już czuć się nieco osaczona tymi „przypadkowymi” spotkaniami, tym bardziej że także wychodząc do pracy, kilka razy zauważyła, że Eryk przygląda się jej zza firanki.

Zatrzymywana przez niego na klatce schodowej, rozmawiała z nim niezobowiązująco o pracy albo książkach, ale nie przyjmowała zaproszeń na

kawę czy spacer, zawsze wymawiając się brakiem czasu. Zauważała wówczas w jego spojrzeniu zaciętość i jakiś dziwny mrok, który ją niepokoił.

– A, nieważne... – mówiła sobie. – Może ma jakiś przedwczesny kryzys wieku średniego...

## Rozdział 12

---

Kampania reklamowa prezesa Konsultraku okazała się nadzwyczaj skuteczna, bo w ciągu trzech dni pensjonat został zasypany e-mailami i telefonami od gości pragnących spędzić Wielkanoc w tak klimatycznym miejscu. Doprowadziło to Karolinę na skraj załamania.

– Człowiek nie ma ani chwili dla siebie! – narzekała, a Wojtek kiwał głową w milczeniu, nie chcąc jeszcze bardziej jej rozzłościć. – Że też ludzie nie mogą po prostu siedzieć w święta w domu i obżerać się żurkiem i szynką, zamiast jeździć nie wiadomo gdzie...

Na cały okres świąt, a także tydzień przed nimi i kilka dni po zapowiedział się komplet gości. Ku zdziwieniu Karoliny wielu z nich było zainteresowanych warsztatami zaproponowanymi przez Martę Kowal. Prezes polecił na te warsztaty udostępnić świetlicę, więc – złożycząc na nawał prac – Karolina wysłała SMS-a animatorce, podając liczbę chętnych. Ustaliły, że warsztaty odbędą się w trzech turach.

– Nie martw się, kochanie – łagodził wzburzenie dziewczyny Wojtek. – Ja ci tutaj we wszystkim pomogę! Posiedzę teraz w recepcji, a ty idź sobie

odpocząć!

Dziewczynie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Natychmiast zniknęła w swoim pokoju i zanurkowała w świat mediów społecznościowych. Gdyby wiedziała, co się święci, nie ruszyłaby się na krok z recepcji...

Kiedy Karolina lajkowała w najlepsze zdjęcia i posty koleżanek, do pensjonatu przyjechał jej drugi chłopak – Mikołaj, który postanowił zrobić jej niespodziankę. Niespodzianka rzeczywiście była ogromna, zwłaszcza dla niego samego, kiedy rozmówił się z siedzącym w recepcji Wojtkiem, zaskoczonym, że ktoś inny nazywa Karolinę swoją dziewczyną. Gdy kobieta wyszła wreszcie z pokoju, po tym jak opowiedziała jednej z koleżanek najbardziej pikantne szczegóły jej szalonej nocy z dzikim drwalem, czekała ją nieprzyjemna konfrontacja, która zakończyła się tym, że obaj panowie wyjechali, obrzucając ją przedtem gradem wyzwisk.

– Wygląda na to, że święta spędzę sama – westchnęła rozdzierająco Karolina, coraz bardziej użalając się nad sobą.

Goście, którzy zaczęli każdego dnia napływać do pensjonatu, zastawali ją często stojącą wieczorem przy bramie. Wyglądała, jakby kogoś wypatrywała – i tak było w istocie. Miała nadzieję, że jej dziki drwal wróci na jeszcze jeden gorący seans, jednak tak się nie stało.

Nie mogła wiedzieć, że Głupi Maciek po powrocie z pensjonatu pamiętnego wieczoru był tak niespokojny i pobudzony, że jego rodzice zawieźli go do lekarza, który zrobiwszy szereg badań, stwierdził, że nastąpiła niespodziewana poprawa i dołączył go do grupy, wobec której stosowano eksperymentalną, bardzo chwaloną w Japonii nowoczesną terapię. Po jej zakończeniu miał coraz więcej przeblysków pełnej świadomości, choć nadal zdarzały mu się ataki – i wówczas znów pędził nocą w las z siekierą. Lekarz uspokajał jednak rodziców Maćka, że w połowie roku powtórzą terapię i wówczas ataki nie powinny się już zdarzać, a ich syn być może wróci do normalnego funkcjonowania.

\*\*\*

Warsztaty wielkanocne okazały się prawdziwym hitem. Wielu gości zapisało się na nie ponownie i w efekcie w całym pensjonacie można było natknąć się na ręcznie robione palmy, pisanki czy koszyczki. Było kolorowo i wiosennie i nie mogła tego zepsuć nawet coraz bardziej pochmurna mina Karoliny.

W Wielki Czwartek zadzwonił do niej proboszcz z parafii w Drzewiu, proponując, że w sobotę przyjedzie w samo południe, żeby poświęcić pokarmy i pomodlić się wraz z gośćmi pensjonatu, którzy będą mieli ochotę uczestniczyć w takim spotkaniu. Karolina zdziwiła się, że o tym pomyślał, ale ponieważ zapytany o cenę wizyty ksiądz ze śmiechem stwierdził, że usługa jest gratis – uznała, że to może spodobać się gościom. No i odpadnie jej problem podawania każdemu z osobna wskazówek, jak dojechać do kościoła.

– Jakież gadżety mam przygotować? – zapytała i wydawało się jej, że usłyszała stłumiony chichot.

– Jakie gadżety?

– No chyba tą... wodę święconą, palmy jakież, kurczaczki? – Teraz chichot był już wyraźny.

– Nie – odpowiedział ksiądz, kiedy już przestał się śmiać. – Wszystkie potrzebne gadżety przywiozę ze sobą. To do zobaczenia.

Poinformowany o planowanym święceniu kucharz Janek wywiesił na drzwiach jadalni zaproszenie na uroczystość i zaczął wraz ze swoją ekipą przygotowywać wszystko, co zaplanowali. Karolina wysłała też e-maila do prezesa, żeby zaprezentować mu „swój” nowy pomysł.

– Genialnie, pani Karolino! – odpisał prezes, kręcąc ze zdumienia głową nad pomysłowością pracownicy.

W sobotę wielkanocną Karolina gorzko pożałowała, że przy okazji rozmowy telefonicznej nie zaprosiła księdza na niedzielne śniadanie, bo Igor zrobił na niej ogromne wrażenie. Zresztą nie tylko na niej. Wiele pań spośród gości pensjonatu robiło mu zdjęcia smartfonami, pod pozorem fotografowania przygotowanych przez kucharza koszyczków ze święconką.

– Życzę wam wszystkim, żeby to piękne święto odrodzenia i zmartwychwstania obudziło w waszych sercach wiosenną radość i nadzieję i żebyście nieśli je w sobie przez cały rok! – powiedział Igor, uśmiechając się do zgromadzonych.

Po poświęceniu pokarmów Karolina rozpięła trzy guziki swojej i tak już mocno wydekoltowanej sukienki i z gracją popłynęła w stronę księdza, by podziękować mu za przybycie i spróbować go zaprosić na kawę, jednak niespodziewanie między nią a Igorem wyrósł jak spod ziemi trzyletni synek gości pensjonatu, zajmujących jeden z pokoi na piętrze. Chłopiec przyjrzał się z uwagą Igorowi i pociągnął go za sutannę.

– Panu! – powiedział, zadzierając głowę. – Jesteś niewolnikiem boskim?

Rozbawiony Igor stłumił śmiech i kucnął naprzeciw niego.

– Nie, służę Bogu, bo sam tego chcę – odpowiedział wesoło. – Nie jestem niczym niewolnikiem.

– A lubis jabłka? – zapytał malec.

– Bardzo lubię!

– To daj rękę!

Igor wysunął dłoń i chłopiec ostrożnie, z namaszczeniem, położył na niej małą brązową pestkę.

– Zasadź to sobie! – powiedział poważnie. – Wyrośnie ci z tego drzewo, a na nim będą pysne jabłka! Tylko musis podlewać!

– O rany, dzięki! – Igor wyjął z kieszeni chusteczkę, pieczołowicie zawinął w nią pestkę i schował z powrotem. Chłopiec z uwagą śledził całą operację.

– Słodki chłopiec!

Karolina pochyliła się nad malcem, starając się przy tym jak najlepiej eksponować biust, jednak ku jej rozczarowaniu ksiądz odwrócił się na pięcie i nawet jeden raz nie zerknął na jej kuszące krągłości. Jeszcze raz życzył wszystkim pogodnych świąt, zaprosił gości na niedzielną mszę, podając przy tym dokładną trasę do kościoła, i pożegnał się, tłumacząc, że ma jeszcze do

odwiedzenia chorych parafian.

Święta upłynęły gościom w miłej atmosferze, a wielkanocne śniadanie w koszyczkach zostało obfotografowane i umieszczone na dziesiątkach profili na Facebooku, Instagramie czy Twitterze, zbierając setki lajków. Jedyną osobą, która wyjeżdżała z Leśnej Ostoi w złym humorze, była Karolina. W milczeniu pakowała swoje walizki do samochodu taty i niechętnie odpowiadała na pytania zmieniającej ją w obowiązku w pensjonacie pani Bożenki. Ta ostatnia, pełna obaw, chciała dowiedzieć się wielu rzeczy, ale słysząc burkliwe odpowiedzi Karoliny, szybko straciła zapał i uznała, że jakoś sama do wszystkiego dojdzie.

\*\*\*

Obawy i trema Justyny przed przyjęciem wielkanocnym okazały się zupełnie nieuzasadnione. Zarówno pascha, jak i mazurek udały jej się świetnie, żurek podany w bochenkach chleba smakował wspaniale, a własnej roboty majonez zachwycił nawet dbającą o linię mamę.

– Ależ się napracowałam! No i trzeba przyznać, że było warto!

– Nie wiedziałem, że masz takie talenty kulinarne, siostra! – przyznał z uznaniem Łukasz.

– Ja też nie! – śmiała się Justyna.

Wielkanoc upłynęła im w przyjemnej atmosferze. W powietrzu czuć już było wiosnę, za oknami świeciło – odrobinę jeszcze senne – słońce, które z wolna budziło do życia całą przyrodę, a w ludziach – jak co roku – rodziła się nadzieja, że to, co złe, odejdzie i stopnieje wraz z ostatnim tchnieniem zimy.

# KWIECIEŃ



*Młode jeszcze gałęzie tęzą się pokrótce  
W zielonej, pniom dla znaku przydanej obwódce.  
Kwiaty, kształt swój półsennie zgadując zawczasu,  
Nikłym pękiem wkraczają w nieznaną głąb lasu.*

BOLESŁAW LEŚMIAN



## Rozdział 13

---

Pani Bożenka, pięćdziesięcioletnia brunetka pracująca na co dzień jako księgowa w Konsultraku, wysiadła z busa na ryneczku w małej wiosce Brzózeczka, kiedy kierowca oznajmił koniec trasy. Rozejrzała się bezradnie, rejestrując mały sklepik z narzędziami, piekarnię i spożywczy. Westchnęła ciężko i z rozpaczą wpatrzyła się w wyświetlacz telefonu, jakby chciała wzrokiem wyczarować choć jedną kresczkę zasięgu, jednak nawet gdyby się udało, to uznała, że taksówki i tak tutaj raczej nie znajdzie. Wreszcie schowała telefon do torebki i podeszła do kierowcy busa, który korzystał z przerwy w pracy, drzemiąc na przednim siedzeniu. Zapytany o pensjonat w Drzewiu, wzruszył ramionami i wskazał ścieżkę prowadzącą do lasu.

– O, tędy pani pójdzie!

– Daleko?

– E, nie, tak z sześć, siedem kilometrów będzie.

Pani Bożenka westchnęła i spojrzała na swoje dwie walizki, do których spakowała wszystko, co przez miesiąc pobytu na końcu świata może się jej

przydać.

– A są tu jakieś taksówki? – zapytała z nadzieją.

Kierowca busa, niski, chudy mężczyzna z rozczochranymi włosami i imponującym czarnym wąsem, przyjrzał się jej uważnie. Ubrała się dzisiaj na sportowo, wiedząc, że czeka ją niełatwa droga. W jej wydaniu oznaczało to plisowaną spódnicę, bluzkę w kwiatki i ciepłą kurtkę z polarem oraz najwygodniejsze buty, jakie znalazła w swojej garderobie – czyli czółenka na czterocentymetrowych obcasach.

– Jak pani zapłaci dwie dychy, podrzucę panią – powiedział litościwie, podnosząc się z prowizorycznego posłania i wskazując jej miejsce. Pani Bożenka odetchnęła z ulgą i wpakowała się do samochodu.

– Dziękuję!

Po kilku minutach wysadził ją przed otwartą bramą imponującego dworku, otoczonego dużym ogrodem, który o tej porze roku coraz wyraźniej budził się z zimowego snu. Drzewa i krzewy wypuściły małe listki, pierwiosnki złociły się na rabatkach, tuż obok kobierca różnobarwnych krokusów i bielejących na obrzeżach przebiśniegów, które wychylały delikatne główki w stronę słabego jeszcze kwietniowego słońca. Krzewy forsycji zaczynały już z wolna wypuszczać żółte kwiaty i kobieta stała przez chwilę przed bramą, z zachwytem patrząc na rozpoczynającą właśnie swoje panowanie wiosnę.

– No to miłego pobytu! – zawołał wąsaty kierowca i zapalił silnik.

– Dziękuję! – powtórzyła, pomachała kierowcy i ruszyła w stronę dworku, taszcząc swoje ciężkie walizki, których kółka grzęzły na wysypanym kamieniami podjeździe. Kiedy dotarła do werandy, była spocona i zdyszana, jednak musiała przyznać, że dworek wygląda pięknie i przytulnie i chętnie by tutaj przyjechała na wypoczynek.

– Dzień dobry! – przywitała ją siedząca w recepcji nadąsana Karolina.

Obszerny hol ciągle jeszcze przystrojony był wielkanocnymi dekoracjami: stroiki z hiacyntów i tulipanów roztaczały upojne zapachy i dodawały kolorów wnętrzu, a pokryte baziemi gałęzie w drewnianych wazonach

zdobiły okienne parapety.

Pani Bożenka wtaszczyła swoje dwie walizki do pokoju na poddaszu – dużego, jasnego pomieszczenia z ładnie urządzonej łazienką i maleńkim aneksem kuchennym, w którym stała minilodówka, płyta grzewcza i czajnik oraz kilka naczyń. Nowoczesny apartament, który dotąd zajmowała Karolina, zupełnie jej nie odpowiadał.

– Tak tu jakoś... Czy ja wiem... Zimno – wyjaśniła.

– Ma pani szczęście, bo gości na razie nie ma – powiedziała Karolina, tonem, w którym brzmiała jakaś uraza. – To znaczy jest jeszcze jedno małżeństwo, ale dzisiaj po południu się wyprowadzają. Wszystko już opłacili, więc niczego pani nie musi z nimi załatwiać, tylko proszę pokój obejrzeć, czy czegoś nie zniszczyli. Ludzie w takich miejscach myślą, że im wszystko wolno.

Dziewczyna z naburmuszoną miną omówiła najważniejsze sprawy organizacyjne, pokazała pobieżnie, jak działa program komputerowy, po czym pożegnała się, wsiadła do samochodu taty i odjechała.

Pani Bożenka rozejrzała się po pustej recepcji. Wszystko wydało jej się tak ogromne i przytłaczające, że poczuła się nagle przeraźliwie samotna, choć słyszała panią Wandzię krzątającą się w pokoju obok. Poszła się jej przedstawić i ucieszyła się, że to kobieta w jej wieku, z którą można całkiem miło pogadać. Wyszła też przywitać się z ekipą kuchenną, która zrobiła na niej również bardzo dobre wrażenie.

– Zapraszam na kawę, szefowo! – zawołał kucharz Janek, stawiając na stoliku ładną filiżankę z parującym aromatycznym napojem oraz talerzyk z apetycznie wyglądającym ciastem.

– Dziękuję! Tego właśnie potrzebowałam!

Po południu w recepcji pojawiła się para starszych ludzi, którzy wylewnie podziękowali za miły pobyt, po czym opuścili pensjonat. W godzinę po ich wyjściu pożegnała się także pokojówka. Pani Bożenka usiadła w kurtce na werandzie, patrząc na ogród. Było tu bardzo pięknie, ale czuła się coraz

bardziej nieswojo, wiedząc, że zostanie tutaj sama na noc.

Zeszła do jadalni, żeby choć przez chwilę cieszyć się jeszcze towarzystwem ludzi, ale widząc krzątające się w kuchni trzy młode osoby, zdobyła się na heroizm i zaproponowała, żeby poszli wcześniej do domu.

– Z kolacją sobie poradzę, ze śniadaniem zresztą też, nie trzeba mnie obsługiwać – zapewniła. – Wiem, gdzie są lodówki i gdzie trzymacie pieczywo. A skoro na razie nie ma żadnych gości, to mogą państwo podzielić się jakoś i przychodzić na przykład pojedynczo. Nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli we czwórkę!

Kucharz i pomocnice spojrzeli na siebie.

– To może jutro tylko ja przyjdę, żeby obiad ugotować – odezwał się Janek.  
– A dziewczyny niech mają wolne. Ale myślę, że jeden dzień takiego odstępstwa wystarczy, bo jak już jest taki spokój, to można by było zrobić trochę bardziej czasochłonnych rzeczy, pierogów na przykład. I zamrozić na wypadek, gdyby znów zrobiło się tak tłoczno, jak w grudniu czy w Wielkanoc!

Kiedy ekipa kuchenna odjechała, pani Bożenka zamknęła służbówkę, po czym znów usiadła na werandzie, patrząc, jak zachodzące słońce ozdabia niebo ponad lasem tysiącem odcieni czerwieni i żółci.

„Pięknie tu...” – pomyślała, ale w sercu czuła coraz większy niepokój przed pierwszą samotną nocą w tym wielkim, starym domu.

Podziwiała jeszcze przez kilka minut zachód słońca, po czym wróciła do dworku, dwukrotnie upewniając się, że zamknęła drzwi. Sprawdziła też wszystkie okiennice i po namyśle wyszła jeszcze raz na zewnątrz, żeby obejść całe ogrodzenie w poszukiwaniu jakiejś luki w zabezpieczeniach. Znalazła na tyłach dworku furtkę wychodzącą prosto do lasu. Była otwarta, ale na szczęście w drzwiach tkwił klucz. Zamknęła furtkę, zabrała ze sobą klucz, dokończyła sprawdzanie ogrodzenia i wróciła do pensjonatu, znów starannie zamykając drzwi do holu.

„Wszystko będzie dobrze...” – przekonywała samą siebie.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się w nocną koszulę i położyła się w miękkiej, pachnącej świeżością pościeli. Mimo zmęczenia, długo nie mogła zasnąć. Dom wydawał się być żywą istotą, zewsząd dochodziły odgłosy skrzypienia, stłumione trzaski i szelesty, które wywoływały u pani Bożenki szybkie bicie serca. Żałowała teraz, że wypytywała Justynę tak szczegółowo o historię mieszkającego tutaj w czasie wojny nazistowskiego zbrodniarza, bo świadomość, że ktoś taki spędzał dni i noce pod tym samym dachem, wywoływała w niej jeszcze większy niepokój.

„Co za bzdury...” – strofowała się w myślach. „Justynka jakoś tutaj przetrwała prawie trzy miesiące i żadna zła energia jej nie zaszkodziła...”.

Zamknęła oczy i zaczęła odmawiać różaniec, jednak nawet to nie przyniosło jej spodziewanego spokoju. Aż do drugiej nad ranem przewracała się z boku na bok, podnosząc głowę na każdy szmer, który docierał z różnych części domu. Kiedy od strony lasu dobiegło ją złowrogie pohukiwanie puszczyka, łzy napłynęły jej do oczu. Nakryła się szczelnie kołdrą i wróciła do odmawiania różańca. Zasnęła w połowie tajemnic bolesnych...

## Rozdział 14

---

Pani Bożenka obudziła się po godzinie ósmej, co przyjęła z dużym zaskoczeniem, bo jak do tej pory od jakichś dwudziestu lat jej wewnętrzny zegar budził ją o szóstej rano, nawet podczas dni wolnych od pracy. Leżała przez chwilę w łóżku, szczęśliwa, że udało jej się przetrwać pierwszą noc.

„Jeszcze dwadzieścia dziewięć...” – pomyślała, jednak ta myśl jakoś nie natchnęła jej optymistycznie.

Po ciężkiej nocy czuła się brudna i spocona, więc długo stała pod prysznicem, napawając się przyjemnym, ciepłym masażem z deszczownicy. Wysuszyła włosy, ubrała się i dopiero wówczas ogarnęła ją panika.

„Przecież w recepcji nie ma nikogo!” – pomyślała zdenerwowana i czym prędzej opuściła pokój. „A co, jeśli ktoś dzwonił, żeby wynająć pokój?!”.

Ku jej rozczarowaniu telefon nie pokazał jednak żadnych nieodebranych połączeń. Wzięła go więc ze sobą do jadalni, przygotowała sobie śniadanie i zjadła je w samotności. Kucharz, pan Janek, pojawił się o dziesiątej, razem z pokojówką, której pani Bożenka wcale nie kazała przychodzić, jednak

obowiązkowa kobieta wolała zajrzeć choć na chwilę. Kucharz przygotował na obiad placki ziemniaczane z sosem pieczarkowym, i to w takiej ilości, że pani Bożenka podzieliła się z obojgiem pracowników, a resztę zostawiła sobie na następny dzień, dając tym samym kucharzowi wolne i umawiając się z nim, że zadzwoni do niego, jeśli pojawiliby się jacyś turyści.

– To bez sensu, żebyśmy tu wszyscy siedzieli i patrzyli na siebie, skoro nie ma żadnych gości – tłumaczyła. – Niech pan odpocznie, bo pewnie ten spokój nie potrwa długo. – Dodała z nadzieją w głosie.

Z jednej strony żałowała, że pozbawia się jakiegokolwiek towarzystwa na cały dzień, z drugiej pomyślała, że po wielkim oblężeniu, jaki przeżywał pensjonat podczas świąt, na pewno wszyscy są zmęczeni i dwa dni oddechu dobrze im zrobią. Modliła się w duchu, żeby budząca się wiosna przyciągnęła do pensjonatu spragnionych ciszy i spokoju ludzi, ale telefon nadal milczał, a skrzynka e-mailowa zawierała tylko reklamy.

„Na pewno ktoś się w końcu odezwie...” – pocieszała się, ale jakoś bez przekonania.

Resztę dnia spędziła, spacerując po ogrodzie lub przesiadując na werandzie z książką. Wieczorem pogodne dotąd niebo zasnuły ołowiane chmury i znad lasu słychać było ponury pomruk burzy. Pani Bożenka zrobiła obchód wokół ogrodu, upewniła się, że obie furki są solidnie zamknięte, po czym, czując pierwsze krople deszczu na twarzy, schroniła się w dworku. Burza rozszalała się na dobre dopiero nocą, kiedy pani Bożence właśnie udało się zasnąć. Głuchy łoskot i wycie wiatru wyrwały ją ze snu, wywołując szybsze bicie serca.

„Mój Boże, co za koszmarny żywioł” – myślała, patrząc na szalejącą za oknem nawałnicę, która gięła niemal do ziemi korony drzew i szarpała gałęziami.

Po raz kolejny udało jej się zasnąć dopiero nad ranem, ale tym razem wewnętrzny budzik nie miał dla niej litości. Obudziła się o szóstej, jednak postanowiła pozwolić sobie na leniwy poranek w łóżku. Poczytała książkę, zeszła na śniadanie i znów usiadła na werandzie, otulona ciepłym kocem, bo

poranek był wyjątkowo chłodny. Z nadzieją wpatrywała się w telefon, który uparcie milczał. Raz po raz sprawdzała też pocztę, ale pojawiły się tylko dwa e-maile z ofertami tanich walizek i powiększenia penisa. Zadzwoiła do syna, ale miał akurat w pracy bardzo intensywny okres, więc porozmawiali tylko chwilkę.

– To chyba dobrze, że nie ma turystów – stwierdził, kiedy opowiedziała mu o pustym dworku. – Przynajmniej trochę odpoczniesz...

Nie chciała go zarzucać swoimi zmartwieniami, więc powiedziała, siląc się na wesoły ton:

– Tak, bardzo pięknie tutaj. Cisza, spokój – nie to, co w Konsultraku...

Kiedy zakończyła rozmowę, znów pobiegła do komputera, ale poczta e-mailowa była pusta.

Nieprzyzwyczajona do takiej beczynności pani Bożenka czuła, że zaraz zwariuje. Snuła się po domu, oglądając pokoje i łazienki. Każdy z pokoi wyposażony był w telewizor, zaczęła więc oglądać serial, który uśpił ją na ponad godzinę. Odkryła też w korytarzu na strychu piękną biblioteczkę wypełnioną książkami, więc odetchnęła z ulgą, bo po pierwszym dniu pobytu w Drzewiu zaczęła się obawiać, że jak tak dalej pójdzie, to zabrane z domu trzy lektury wystarczą jej ledwie na tydzień. Tak dotrwała do wieczora, czując coraz większą nerwowość na myśl o kolejnej nocy w pustym dworku. Miała nadzieję, że tym razem nareszcie uda jej się zasnąć, bo czuła się wyczerpana i rozbita.

Noc nie była dla niej jednak łaskawa. Mimo zmęczenia i senności, znów leżała, przewracając się z boku na bok i nasłuchując jęków starego domu. W końcu wstała, by otworzyć okno, w nadziei, że świeże, chłodne powietrze ułatwi jej zaśnięcie, kiedy jednak spojrzała przez szybę, serce podeszło jej do gardła. Przy bramie pensjonatu stał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, dzierżący w dłoniach siekiere. Rozglądał się, szczególną uwagą obdarzając budynek świetlicy.

– O mój Boże! Tylko nie to! – jęknęła pani Bożenka, gorączkowo szukając telefonu i numeru na miejscowy posterunek. Drżącymi rękami wystukała



cyfry i niecierpliwie czekała na połączenie, raz po raz niespokojnie zerkając w okno. Mężczyzna nadal stał przy bramie, nie wyglądało jednak na to, żeby zamierzał ją sforsować. Chociaż kto wie?

Policja, ku jej zdumieniu, zbagatelizowała sprawę. Usłyszawszy, że chodzi o mężczyznę z siekierą, dyżurny policjant wyjaśnił jej, że to miejscowy, nieszkodliwy i niegroźny wariat, który nikomu nigdy krzywdy nie zrobił.

– NIESZKODLIWY WARIAT?! – Pani Bożenka nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Niegroźny?! Wielki facet z siekierą?! Co pan wygaduje?!

– Niech pani śpi spokojnie – łagodził policjant, jakby nie słyszał narastającej paniki w jej głosie. – On tak chwilę połazi i jak zmarznie, to pójdzie do domu.

Rozłączyła się i stała przy oknie, dopóki wysoka postać nie odwróciła się na pięcie, by zniknąć w lesie. Wówczas pani Bożenka schowała się z powrotem pod kołdrę i rozplakała się. Łkała tak przez długą chwilę, nie mogąc się uspokoić. Emocje kotłowały się w niej, znajdując ujście w bezradnym, rozpaczliwym płaczu. W końcu zmorzył ją sen, który jednak nie przyniósł oczekiwanej ulgi. Obudziła się z potwornym bólem głowy i zapuchniętymi oczami. Przez cały dzień snuła się po ogrodzie pensjonatu niczym zombie, w nadziei, że świeże powietrze sprawi, że tym razem łatwiej jej będzie zasnąć.

Wieczorem, kiedy już pozamykała wszystkie okiennice i upewniła się, że zamknęła drzwi, panującą wokół niej ciszę przerwał dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę, ciesząc się w duchu, że dzwoni jakiś turysta, który wkrótce przerwie jej samotność, ale czekało ją duże rozczarowanie.

– Jest pani piękną kobietą – usłyszała męski głos. – Widziałem panią w ogrodzie pensjonatu. Takie dojrzałe owoce smakują najlepiej...

„Jeszcze mi tu tylko zboczeńca telefonicznego brakowało! A może to ten wariat z siekierą tak się zabawia?!” – jęknęła w duchu, a do słuchawki warknęła, starając się, by nie usłyszał zaniepokojenia w jej głosie:

– Jeśli jeszcze raz pan tutaj zadzwoni, zawiadomię policję!

Telefon wytrącił ją z równowagi i sprawił, że ponownie obeszała cały dworek, sprawdzając okna i drzwi. Mimo zatrzaśniętych okiennic miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Położyła się do łóżka i próbowała czytać książkę, ale nie była w stanie się skupić. Włączyła więc telewizor w nadziei, że jakiś nudny serial uśpi ją, ale nic z tego. Leżała do rana, wpatrując się w migający ekran, aż oczy zaczęły jej łzawić.

Kolejnej nocy również niemal nie zmrzyła oka, raz po raz zerkając w okno, czy intruz z siekierą nie powrócił, i zrywając się na każde skrzypnięcie i szmer, jakie rozlegały się w pustym dworze. Nad ranem zmorzył ją sen, który szybko przerwało natarczywe dzwonicie do bramy.

Na ekranie domofonu pojawiła się jakaś staruszka i zanim pani Bożenka zdołała wykrztusić słowa powitania, wrzasnęła w stronę kamery:

– Pierogi żem przywiezła! Niech se pani kupi na obiad, bo pychota!

– Nie, dziękuję – odparła pani Bożenka, przecierając zaspane oczy. – Mamy tutaj kucharza, który świetnie gotuje.

– O, już ja widziałam, jak gotuje! – warknęła starowina. – Do ust bym tych jego pomyjów nie wziena! Bierz pani pierogi, z serem są, świeżutkim, bez chemii żadnej.

– A niechże mi pani da święty spokój i nie obraża naszego kucharza! – Zwykle łagodna i spokojna pani Bożenka zdenerwowała się nie na żarty. – I kto to widział, o tej godzinie do ludzi dzwonić! Proszę stąd iść i więcej nie wracać! Bo policję wezwę!

Odłożyła słuchawkę domofonu, nie zwracając uwagi na wygrażającą jej pięścią kobietę, która stała tak jeszcze przez dłuższą chwilę, aż w końcu dała za wygraną i odjechała na motorze, wzniecając ogromne kłęby kurzu.

Po tej pobudce pani Bożenka nie była już w stanie zasnąć, choć dopiero dochodziła szósta. Głowa znów ją rozbolała, a oczy zmieniły się w wąskie szparki. Poleżała jeszcze przez chwilę, mając nadzieję, że sen jednak nadejdzie, ale głowa bolała coraz bardziej i kobieta uznała, że chyba nie obejdzie się bez jakiejś tabletki. Posiedziała chwilę w recepcji, pijąc zieloną

herbatę, a kiedy zobaczyła nadjeżdżający samochód pana Janka, postanowiła do niego dołączyć w kuchni. Gdy zeszła do jadalni, kucharz aż złapał się za głowę.

– Co się pani stało?! – zapytał, wpatrując się w sine podkiewki pod jej oczami i przeraźliwie bladą twarz.

– Mam problemy ze snem – powiedziała cicho pani Bożenka, starając się nie rozpląkać. Czuła, że jest na granicy wytrzymałości.

– Jak pani chce, to podrzucę panią do wioski, do apteki. Kupi sobie pani jakieś kropelki albo coś... Ja tu już nastawiłem obiad, wystarczy, że Wandzia raz na jakiś czas zamieszka...

Już chciała odmówić, ale po chwili pomyślała, że spędzenie beczynnie kolejnego dnia doprowadzi ją chyba do szaleństwa. Umówiła się więc, że pojedą do wioski, jak przyjdzie pani Wandzia, żeby recepcja nie została bez personelu i żeby ktoś przypilnował obiadu. Pokojówka pojawiła się przed dziewiątą, więc pani Bożenka wsiadła z panem Jankiem do samochodu i oparła głowę o zimną szybę.

– Wszystkim się zajmę! – zapewniła pani Wandzia. – Może pani spokojnie pospacerować po wsi, wstąpić do sklepów. Bardzo pani jest bledziutka...

Do wioski dojechali w ciągu kwadransa. Pani Bożenka kupiła w aptece tabletki na bezsenność i ziołową herbatkę uspokajającą, a potem wybrała się na spacer, żeby obejrzeć okolicę. Na końcu drogi zobaczyła kościół i nogi same ją tam poniosły. Weszła do pogrążonego w półmroku wnętrza i wolnym krokiem podeszła do ołtarza. Przyjrzała się pięknej rzeźbie Madonny z Dzieciątkiem i niezwykłym obrazom, po czym usiadła w ławce i ukryła twarz w dłoniach. Z jej oczu znów popłynął strumień łez. Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, zupełnie straciła rachubę czasu. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszała przepełniony współczuciem szept:

– Czy wszystko w porządku? Mogę jakoś pomóc?

Podniosła wzrok i ujrzała tak piękną twarz, że poczuła się oszołomiona. Niebieskie oczy, otoczone firaną długich rzęs, wpatrywały się w nią z troską

i życzliwością. Pani Bożenka pomyślała w pierwszej chwili, że dobry Bóg wysłuchał jej modlitw i zesłał anioła, który pomoże jej przetrwać trudne chwile. Przyglądała się w milczeniu pięknej twarzy, dopiero po długiej chwili rejestrując, że mężczyzna, który się nad nią pochylał, miał na sobie sutannę.

– Chciałaby pani porozmawiać? – zapytał, a współczucie, jakie brzmiało w jego głosie, sprawiło, że po twarzy pani Bożenki znowu potoczyły się łzy. Łkając, wyjaśniła mu swoją sytuację, a on siedział obok w ławce, raz po raz uspokajająco ściskając jej dłoń.

– Widzi ksiądz, ja nigdy nie mieszkałam sama! – zakończyła, nie zdając sobie sprawy z tego, że jej twarz jest czerwona z emocji i mokra od łez. – I jeszcze na takim pustkowiu! Najpierw z rodzicami, potem z mężem, a po jego śmierci – z synem i synową. Ostatnio urodziły im się bliźniaki, więc babcia się bardzo przydaje. Zresztą mam duże mieszkanie, a oni wynajmowali kawalerkę. Teraz wszyscy jesteśmy zadowoleni, młodzi mogą odkładać na własne mieszkanie, a ja mam zawsze towarzystwo. Nigdy nie bywam sama, nawet do pracy jeżdżę razem z koleżanką, która mieszka na tym samym osiedlu.

Znów się rozpląkała, a ksiądz siedział w milczeniu, pozwalając jej wyrzucić z siebie wszystkie żale.

– A tutaj jestem samiutka w dzień i w nocy! I bardzo źle się z tym czuję! Ten dom w nocy ożywa, jakby był jakiś nawiedzony... Wszystko skrzypi, szeleści, jęczy...

– To stare drewno, zawsze tak reaguje...

– No może i tak... Ale w nocy przed bramą kręcił się jakiś bandzior z siekierą, a policja mi powiedziała, żebym spokojnie spała, bo on jest, rozumie ksiądz, niegroźny... Niegroźny to może być króliczek miniaturka, a nie wielki chłop z siekierą w łapie! Ja tam już nie wrócę, niech mnie nawet zwolnią, trudno!

– Wróci pani i poradzi sobie ze wszystkim! – Głos księdza był stanowczy i niósł w sobie jakąś dziwną moc, która sprawiła, że pani Bożenka poczuła się silniejsza. – Nie da pani przecież satysfakcji tej całej Cruelli! Skoro ona dała

sobie radę, to pani tym bardziej.

– No nie wiem... – odpowiedziała, dziwiąc się w duchu, że ksiądz zna przewisko kierowniczkę z Konsultraku.

– Za to ja wiem! – odrzekł z przekonaniem. – A ten wariat z siekierą to faktycznie jest znany w okolicy, to taki miejscowy chłopak, Maciek ma na imię, nie musi się go pani bać, chociaż wygląda groźnie. Ostatnio coraz częściej ma przebłyski świadomości, jest wyraźna poprawa i w połowie miesiąca ma jechać na jakąś nową terapię. Ale porozmawiam z policją, znam jednego aspiranta, i poproszę, żeby przynajmniej raz dziennie przejechali obok pani pensjonatu i sprawdzili, czy wszystko jest w porządku.

– Dziękuję...

Ksiądz spojrział na zegarek.

– Jeśli pani chce, odwiozę panią do dworku, bo za chwilę mam wizytę u kilku starszych parafian.

– Dziękuję... – wyszeptała znowu, jakby się zacięła. – Przyjechałam tu z naszym kucharzem i zupełnie straciłam poczucie czasu. On pewnie już dawno pojechał do domu...

Kiedy wyszli z kościoła, przekonali się jednak, że pan Janek wcale nie odjechał bez swojej pasażerki. Stał, zdyszany, rozglądając się rozpaczliwie, a na widok pani Bożenki na jego twarzy odmalowała się wielka ulga.

– Mój Boże! – krzyknął. – Szukam pani od godziny! Już się bałem, że gdzieś pani zemdląca...

– Przepraszam i dziękuję za troskę – odpowiedziała, ocierając łzy, które znów napłynęły jej do oczu. Tym razem były to łzy wzruszenia, że ktoś, i to zupełnie obcy, aż tak się przejął jej losem. – Może pan już jechać do domu, ksiądz obiecał, że mnie odwiezie. Do zobaczenia jutro!

Kiedy dotarła do pensjonatu, czekała ją wspaniała wiadomość, bo podekscytowana pani Wandzia poinformowała ją, że dzwonili jacyś młodzi ludzie i zapowiedzieli swój przyjazd na popołudnie. Pani Bożenka aż klasnęła w dłonie z radości i zadzwoniła do kucharza, że od jutra będzie już potrzebna

cała ekipa.

Młode małżeństwo, które pojawiło się koło godziny szesnastej, zostało powitane po królewsku. Pani Bożenka, cała w uśmiechach, wręczyła im klucze do luksusowego apartamentu, licząc jak za zwykły pokój.

Tej nocy nareszcie zasnęła i to od razu jak tylko przyłożyła głowę do poduszki. Świadomość, że kilka metrów dalej śpią inni ludzie, dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

\*\*\*

Justyna stała przed lustrem, bezskutecznie próbując ujarzmić loki, które dzisiaj wyjątkowo wymykały się jej spod kontroli. Gdy wygładzany kosmyk po raz kolejny wy dostał się spod klamry, opadając na czoło, zdecydowała się pójść z rozpuszczonymi włosami. Kiedy w jej drzwiach stanął Eryk, zyskała pewność, że była to dobra decyzja, bo mężczyzna popatrzył z zachwytem na jej swobodne loki.

– Ślicznie wyglądasz! – powiedział, wręczając jej bukiet kwiatów.

– Dziękuję! – odpowiedziała, choć poczuła się nieswojo. Nie sądziła, że on potraktuje ich spotkanie jak randkę, a najwyraźniej tak było.

Dwa dni temu spotkali się na schodach i Eryk, zamiast minąć ją z obojętnym „cześć”, jak to ostatnio miał w zwyczaju, zatrzymał się i zapytał, czy nie poszłaby z nim na koncert Męskie Granie.

– Dostałem w pracy dwa bilety, szkoda, żeby drugi się zmarnował, a ja tu nikogo oprócz ciebie nie znam – wyjaśnił. Zabrzmiało przekonująco.

Justyna uznała, że wyjście wieczorem dobrze jej zrobi, tym bardziej że już jakiś czas temu wybierała się na ten koncert, tylko zgapiła się i wszystkie bilety zostały wyprzedane. Umówili się, że pojedą jej samochodem, bo Eryk dysponował tylko rowerem.

Z koncertu wyszli w świetnych nastrojach.

– Okropnie zgłodniałem przy tej muzyce! Zapraszam cię na kolację! – Eryk

wskazał dłonią neon wegetariańskiej knajpki.

– Ty załatwiłeś bilety, więc to ja zapraszam. A jeśli zamierzasz się kłócić o takie pierdoły – dodała, widząc, że otwiera usta, żeby zaprotestować – to lepiej wracajmy do domu.

Zamówili sałatkę i białą herbatę. Kelner zapalił stojące na ich stoliku świece i zrobiło się bardzo nastrojowo. Justyna przyglądała się twarzy Eryka, kiedy z ożywieniem opowiadał o swojej pracy. Jego oczy błyszczały intensywnie. Był bardzo atrakcyjny, a jednak Justyna nie czuła tej ekscytacji, jaka zwykle towarzyszyła spotkaniu z interesującym mężczyzną – było w nim coś, co wywoływało w niej jakiś dziwny niepokój.

Wrócili na osiedle dobrze po północy. Przed drzwiami mieszkania Justyny Eryk zbliżył ku niej twarz, chcąc ją pocałować, ale udała, że tego nie dostrzegła. Pochyliła szybko głowę, nieco zbyt gorliwie szukając w torebce kluczy. Kiedy podniosła wzrok, mężczyzna stał o krok dalej, patrząc na nią badawczo, z lekko zmrużonymi oczami.

– Dziękuję ci za fajny wieczór – powiedziała swobodnie.

– To ja ci dziękuję! – odparł żarliwie. – Dawno już tak dobrze się nie bawiłem... I... tak sobie pomyślałem... – zająknął się. – Jakie masz plany na weekend? Bo gdybyś chciała, moglibyśmy pojechać gdzieś za miasto albo...

– To mój ostatni weekend przed wyjazdem, więc mam trochę spotkań i rzeczy do załatwienia – weszła mu w słowo.

Wyprostował się i popatrzył jej w oczy.

– Wyjeżdżasz?

– I to na cały miesiąc! – W maju przypadała jej kolej na zarządzanie Leśną Ostoją, ale nie zamierzała tłumaczyć tego Erykowi.

– Aha. – Splótł ręce na piersiach. Jego spojrzenie było teraz chłodne, podobnie jak głos. – No to baw się dobrze.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Justyna wzruszyła ramionami i weszła do mieszkania. Nie zamierzała

zawracać sobie głowy fochami sąsiada.

\*\*\*

Do końca kwietnia przez pensjonat przewinęło się kilkanaście osób, tak że pani Bożenka już nie musiała znosić samotności. W przedostatni weekend jej pobytu w Drzewiu spotkała ją prawdziwa niespodzianka: syn i synowa wpadli z krótką wizytą, przywożąc ze sobą bliźniaki, za którymi pani Bożenka zdążyła się już bardzo stęsknić.

– Tak się cieszę, że znaleźliście czas, kochani! – uśmiechała się radośnie, tuląc do siebie dzieci.

Maluchy rozglądały się z dużą ciekawością po całym terenie, pełnym nieznanym dźwięków, zapachów i kolorów, i gaworzyły wesoło w sobie tylko znanym języku.

– Tak tu pięknie, mamo! – zachwyciła się synowa. – I powietrze takie czyste, że aż pachnie!

Wizyta rodziny minęła zbyt szybko, jednak dodała pani Bożence sił do sprostania zadaniu, które jeszcze pod koniec marca wydawało jej się nie do udźwignięcia. Kolejni goście przybywający na wypoczynek do pensjonatu zastawali w recepcji uśmiechniętą i radosną kobietę – nie został żaden ślad po przerażeniu i niepewności z pierwszych nocy spędzonych w Leśnej Ostoi. Kilka razy zaglądał też do niej ksiądz Igor, żeby sprawdzić, czy nie grozi jej kolejne załamanie, a znajdując w niej wdzięczną słuchaczkę, opowiedział o swoim życiu w parafii oraz o historii Drzewia. Mimo wszystko, przyjazd pod koniec miesiąca Justyny, która miała ją zmienić w zarządzaniu pensjonatem, pani Bożenka powitała z nieukrywaną ulgą.

– Piękne jest to miejsce, ale nie mogę się już doczekać, gdy znajdę się w moim mieszkaniu i zobaczę moich najbliższych! – powiedziała, pakując bagaże do samochodu Justyny, która zaproponowała, że podwiezie ją do drugiej wioski, skąd kursują busy. – I przyznam szczerze, że nie wierzyłam, że wytrwam tutaj do końca!



Przez całą drogę opowiadała jej o swoich przeżyciach w Drzewiu, a Justyna słuchała, w pełni ją rozumiejąc, bo pamiętała jeszcze własne odczucia i emocje z pierwszego pobytu w dworku. Zaskoczyła ją natomiast opowieść o Igorze.

– Wie pani, ja się nie spodziewałam, że jeszcze tacy księża istnieją! – wyznała pani Bożenka. – Skromny, życzliwy i taki... no... sama nie wiem... Ludzki po prostu... Nie żyje jak jakiś hrabia, nie ma nawet gosposi – sam sobie sprząta, sam gotuje, do sprzątania kościoła też nie szuka pomocy. I jeszcze najbiedniejszych wspiera, jeździ, pomaga...

– Poważnie? – zdziwiła się Justyna. – Szczerze mówiąc, sądziłam, że po prostu wygodnie sobie żyje, wykorzystując swoją pozycję wiejskiego proboszcza.

– Nie, w jego przypadku to prawdziwe powołanie! Gdyby nie on, chyba bym się poddała! A on tak życzliwie mnie wysłuchał, doradził, podniósł na duchu...

Z Brzózczyki do miasta wiozł ją ten sam wąsaty kierowca, wypytyjąc, jak podobał się jej pobyt i czy dobrze wypoczęła, więc podróż upłynęła jej przyjemnie. Na progu mieszkania powitał ją syn i stęsknione wnuki.

– Nareszcie jesteście!

Pani Bożenka usiadła na kanapie, słuchała opowieści o wszystkim, co zdarzyło się w domu pod jej nieobecność, i czuła, jak z każdą minutą jej ciało i umysł odprężają się i znika stres związany z podróżą.

– Tak sobie myślę – powiedziała, tuląc do siebie dzieci – że może wybierzemy się do Leśnej Ostoi podczas wakacji. Pobyt w tym miejscu dobrze nam wszystkim zrobi, a przyznam szczerze, że czuję, że należy mi się teraz solidny wypoczynek!

# MAJ

---

*brnąłem do ciebie maju  
przez zawieje listopada  
i styczniowe zasy  
przez szpitalne białe  
korytarze zimy  
w których słońca  
tyle co na lekarstwo  
teraz blaskiem oślepiony  
(...)  
zapomniałem o zmęczeniu  
maj tylko i maj dookoła  
płyną przeze mnie*

*majowe dmuchawce*

JÓZEF BARAN

## Rozdział 15

---

Justyna wracała do pensjonatu leśną drogą, jadąc z minimalną prędkością, bo chciała się przywitać z widokami, za którymi bardzo się stęskniła. Na co dzień, w pracy, o tym nie myślała, ale jej spojrzenie często kierowało się ku zdjęciom zrobionym podczas pobytu w Drzewiu. Teraz, mając je znów na wyciągnięcie ręki, poczuła wzruszenie i spokój, jakby wracała do domu. Na widok dworku tonącego w kwiatach łzy napłynęły jej do oczu.

„Nie no, chyba się starzeję... Żeby beczeć na widok starej chałupy...” – zbeształa się w myślach, ale musiała przyznać, że perspektywa spędzenia tutaj całego miesiąca napawa ją szczęściem.

– Szybko ci przejdzie, jak ci się na głowę zwałą hordy turystów – stwierdziła, wysiadając z samochodu.

Przywitała się z całą ekipą, rozpakowała bagaże i wyszła do ogrodu, żeby popatrzeć na dzieło Natalki. Ogród wyglądał imponująco – wiosna na dobre już się w nim rozpanoszyła, zachwycając gości kwiatami jabłoni, odurzając zapachem bzów i konwalii, urzekając kwiatami hortensji, piwonii i drobniutkich, słodko pachnących fiołków.

„Wiedziałam, że to będzie pięknie wyglądało, ale nie spodziewałam się, że aż tak!” – Justyna usiadła na werandzie w swoim ulubionym fotelu bujanym i napawała się pięknem otoczenia.

Jeszcze tego samego wieczoru odwiedzili ją trzej muszkietierowie drzewieccy – Igor, Jakub i Dominik, a ona, słuchając ich opowieści o wszystkim, co się pod jej nieobecność wydarzyło w wiosce, uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało ich śmiechu i pogody ducha. Miała nadzieję, że będą mieli w maju jeszcze wiele okazji do spotkań i rozmów, ale tak się nie stało.

W długi weekend majowy Leśna Ostoja przeżywała istne oblężenie – wszystkie pokoje były zajęte i Justyna nie miała ani chwili dla siebie. Kiedy weekend się skończył, pensjonat opustoszał i przez jeden dzień Justyna i cała ekipa pensjonatu mogli trochę odetchnąć. Jedynym gościem był ponury i smutny pisarz, który przyjechał tutaj w poszukiwaniu natchnienia w cichej i spokojnej okolicy.

– Mam nadzieję, że tutaj będę mógł się skupić – powiedział, biorąc od Justyny klucze do pokoju.

Wkrótce jednak atmosfera w pensjonacie przestała sprzyjać skupieniu... A stało się to za sprawą filmu. *Czarci jar* – polska superprodukcja filmowa – zaistniał w świadomości widzów na długo przed trafieniem do kin. Zaangażowanie czołówki najprzystojniejszych i najlepszych polskich aktorów oraz cieszących się największą sympatią widzów i najpiękniejszych aktorek gwarantowało zainteresowanie fanów i dziennikarzy. Kolejne etapy powstawania filmu były szeroko komentowane w mediach, analizowano dobór postaci, spekulowano na temat fabuły, wytykano reżyserowi pominięcie w obsadzie kilku ważnych gwiazd. Wrzawa wokół filmu była rekordowa, co wróżyło także rekordową frekwencję w kinach.

Justyna przeżyła więc ogromną niespodziankę, kiedy reżyser *Czarciego jaru* zapragnął wraz z całą ekipą zatrzymać się w Leśnej Ostoi i nakręcić w okolicy kilka scen.

Przyjazd ekipy filmowej, zamieszanie związane z przygotowaniem planu

i pokrzykiwania reżysera, który strofował dźwiękowców i specjalistów od oświetlenia, zupełnie nie sprzyjały skupieniu się na twórczości literackiej.

– Ja tego nie wytrzymam! – wykrzyczał pisarz Justynie, cały czerwony na twarzy. – Reklamujecie ciszę i spokój, a dostałem hałasy i zamieszanie! Ja jestem artystą, a nie jakimś filmowym błaznem!

– Rozumiem pana. – Próbowała łagodzić jego wzburzenie. – Ale ci ludzie są takimi samymi gośćmi jak pan i dopóki stosują się do zasad i nie zakłócają nocnej ciszy, nie mogę im zabronić pracować. Podpisali umowę z kierownictwem pensjonatu, więc...

– Oczywiście! Kasa na pierwszym miejscu! – Zachnął się pisarz. – Ja w takich warunkach mieszkać nie będę. Tak się nie da tworzyć! Jeszcze dziś wyjeżdżam!

Wyjazd pisarza Justyna i cała ekipa pensjonatu powitała z ulgą, bo wszyscy mieli dość patrzenia na jego cierpiętniczą minę. Filmowcy tworzyli swoje dzieło w znacznie lepszych humorach i bez pozowania na męczenników.

Jednak obecność gwiazd filmowych i możliwość przyglądania się ich pracy – choć ekscytująca – okazała się również dużym obciążeniem, tak że cała ekipa praktycznie nie miała czasu na nic poza obsługą gości. Justyna straciła nadzieję na spędzenie choć kilku wieczorów w towarzystwie trzech muszkieterów oraz na odbycie wyprawy na swoje ukochane wzgórze, bo nie miała ani jednej wolnej chwili. Wieczorami zaś padała na łóżko i zasypiała jak kamień. Zresztą Jakub Midas dostał akurat duże zlecenie w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów od Drzewia miasteczku i zniknął z wioski na całe trzy tygodnie, a spotkanie się tylko z dwójką muszkieterów nie miało już takiego uroku...

– Tylko nie waż się stąd zniknąć, zanim się nie pożegnamy! – powiedział jej przed swoim wyjazdem do pracy. – Ostatni weekend maja musisz zarezerwować dla nas, choćbym miał cię porwać z recepcji!

– Na białym koniu? – zainteresowała się Justyna.

Zastanowił się.

– Białego konia to ma chyba kuzyn naszej aptekarki, ale to taka chuda chabeta, ten koń znaczy, że to raczej ja musiałbym ją przynieść na własnym grzbiecie... A bez konia być nie może? Bo wiesz, ja jestem stworzony do tego, żeby nosić jakąś damę na rękach!

– No dobra, wobec tego może przymknę oko na brak wierzchowca... I obiecuję, że nie wyjadę, zanim ci nie pomacham!

Na cztery dni przed końcem miesiąca ekipa filmowa zakończyła prace. Justyna dostała zgodę na obfotografowanie wszystkich na tle pensjonatu i w jego wnętrzach, aktorki, aktorzy i reżyser wpisali się również w księdkę pamiątkowej, zapełniając ją pochwałami i miłymi komentarzami. Para zajmująca się zdjęciami z planu udostępniła jej także pendrive z najlepszymi scenami, jakie nakręcono na terenie Drzewia i za zgodą artystów Justyna wysłała kilkanaście zdjęć do informatyków Konsultraku, żeby umieścili je na stronie pensjonatu.

– Genialnie, pani Justyno! – ekscytował się prezes Konsultraku. – Co za reklama, co za prestiż! Założymy osobną zakładkę, pod hasłem „Gwiazdy w Leśnej Ostoi”, jestem pewien, że teraz już zupełnie nie opędzimy się od turystów!

Przedostatni dzień swego pobytu w Drzewiu Justyna – tak jak obiecała Jakubowi – spędziła w towarzystwie trzech muszkieterów, którzy zaprosili ją na wycieczkę do zamkowych ruin, bo jak dotąd nie miała okazji ich zwiedzić. Można było do nich dojechać od strony Drzewia, ale wybrali trasę pieszą, wiodącą przez puszcę i okoliczne wzgórza, długą i bardzo piękną. Szli w milczeniu, podziwiając krajobraz i ciężko dysząc, bo podejścia w kilku miejscach były naprawdę strome.

– Kurczę, sapiemy tak, że chyba przepłoszyliśmy zwierzynę w promieniu paru kilometrów! – jęknął Dominik Wir.

– No, ja to przynajmniej wykonuję pracę w większości intelektualną, ale muszę przyznać, mój przyjacielu, że jeśli wszyscy nasi stróże prawa mają taką kondycję jak ty, to nie dziwię się, że macie taką marną wykrywalność... – dociał mu Igor.

– Marną wykrywalność?! – oburzył się Dominik. – Żebyś ja ci zaraz nie wytknął, jaką prasę ma twoja instytucja!

Pierwsze takty piosenki *Jaśniej* Krzysztofa Zalewskiego przerwały dalszą dyskusję. Justyna odebrała telefon i przez chwilę słuchała w milczeniu, a jej towarzysze przyglądali się z rosnącym zainteresowaniem grze emocji na jej twarzy: od niedowierzania, przez złość, po pogardę. I to właśnie to ostatnie uczucie dominowało, kiedy wreszcie się odezwała.

– Chyba sam w to nie wierzysz! Daj mi święty spokój, nie mam ci nic do powiedzenia – powiedziała zimno. – I nie dzwoń do mnie więcej. Nigdy!

Rozłączyła się i wyciszyła telefon. Trzej panowie patrzyli na nią wyczekująco. Ruszyła w górę, ale oni zostali, rozsiadając się na pniu zwalonego drzewa. Ręce splekli na piersiach i przyglądali się jej.

– No co? – zapytała, cofając się o kilka kroków.

– Gadaj! – zażądał Dominik.

Wzruszyła ramionami.

– To stare dzieje – stwierdziła. – Mój eks. Uznał, że od naszego rozstania minęło dość czasu, żebyś zapomniała o tym, co złe, i chciała do niego wrócić.

– A dlaczego nie chcesz? – zapytał Midas. – Bo nie chcesz, prawda?

Jego głos brzmiał swobodnie, ale w twarzy widać było napięcie, które nie uszło uwadze Igora. Spojrzał na przyjaciela, po czym przeniósł wzrok na Justynę i uśmiechnął się pod nosem.

– Nie chcę – odpowiedziała Justyna, siadając na pniu obok Dominika. – Nie umiałabym udawać, że nic się nie stało. Zdradził mnie.

– Bęcwał – podsumował Jakub.

– Baran – ocenili jednocześnie Igor i Dominik.

Justyna uśmiechnęła się.

– I tak dobrze, że to się stało przed ślubem – powiedziała. – Ale muszę



powiedzieć, że byłam totalnie zaskoczona. I czułam się jak ślepa idiotka. Znałam go od dziewięciu lat, długo mieszkaliśmy razem, sądziłam, że wiem o nim wszystko...

– Witaj w klubie – powiedział gorzko Dominik Wir. – Też przez to przechodziłem... Tylko że ja niestety już po ślubie...

Zaczął się podnosić, jakby chciał kontynuować wycieczkę, ale nikt inny się nie ruszył, a Justyna splotła ręce na piersiach i popatrzyła na niego wyczekująco.

– Gadaj! – zażądała, naśladowując jego ton sprzed kilku minut.

Dominik westchnął i ponownie usiadł na pniu.

– Byłem na ostatnim roku w szkole policyjnej. – Zapatrzył się gdzieś w dal.  
– Ewelina rozpoczęła pracę w naszej stołówce. Kiedy ją zobaczyłem, przepadłem. To było jak grom z jasnego nieba! Zaczęliśmy się spotykać, a po trzech miesiącach oświadczyłem się i ona mnie przyjęła. Ślub wzięliśmy po pół roku znajomości...

Midas prychnął i wzniosł oczy do nieba.

– Nie, żebyśmy go nie ostrzegali – mruknął.

– Tak, tak, ostrzegaliście! – wybuchnął Dominik. – Dwaj wybitni specjaliści od spraw sercowych...

– Mów dalej! – zachęciła go Justyna.

– Byliśmy przeszczęśliwi – powiedział Wir. – Przez... jakieś dwa miesiące. Później ja zdałem egzamin, zostałem policjantem i – tak jak się umawiałem z tutejszym komendantem – miałem wrócić do Drzewia i objąć stanowisko po odchodzącym na emeryturę gościu. Tylko że Ewelina nie miała najmniejszego zamiaru wyprowadzać się z miasta na jakieś pieprzone zadupie – jak to łagodnie określiła...

– Nie rozmawialiście o tym wcześniej? – spytała ze zdziwieniem Justyna.

– Ta-dam! – Midas rozłożył ręce. – Poznaj naszego kolegę, Romea, który myślał, że trzeba żyć chwilą i czerpać radość z życia, a nie gadać

o przyszłości i jakichś tam planach!

Dominik rzucił mu urażone spojrzenie.

– A żebyś wiedział! – warknął, a potem znów spojrzął na Justynę. – Miałem dwadzieścia cztery lata i po raz pierwszy się zakochałem tak naprawdę, do szaleństwa... Myślałem, że jak ludzie się kochają, to niczego więcej nie potrzeba! Że wszystko się samo ułoży! A upór Eweliny był jak kubek zimnej wody, chociaż miałem jeszcze nadzieję, że jakoś to będzie.

– To jego dewiza życiowa – uśmiechnął się Igor.

– Wróciłem do Drzewia, a Ewelina podjęła pracę w restauracji w mieście. Jeździłem tam w każdy wolny dzień, ale jako policjant mam te dni różnie, nie tak jak wszyscy, w sobotę i niedzielę. Ona też w restauracji pracowała w podobnym systemie – w efekcie widywaliśmy się rzadko. Ale myślałem sobie, że może taka tęsknota dobrze nam zrobi, że nie znudzimy się sobą tak jak to się zdarza różnym parom...

Dominik westchnął ciężko.

– Aż kiedyś zadzwoniła do mnie i powiedziała, że kogoś poznała. No i to już prawie cała historia.

Rozłożył bezradnie ręce.

Igor wstał z pieńka i zarzucił plecak na ramię.

– Chodźmy, bo do ruin jeszcze spory kawałek. Resztę życia opowiesz Justynie po drodze!

Wspinali się gęsiego. Dominik idący przed Justyną spojrzął na nią przez ramię i powiedział:

– W zasadzie niewiele już do opowiadania zostało. Rozwiedliśmy się, chociaż zajęło to więcej czasu niż ślub. Ale bilans zysków i strat wychodzi mi i tak na plus. No bo okej, niby straciłem żonę, ale przeżyłem parę miesięcy prawdziwego bujania w obłokach, a poza tym – mam własny dom.

– O, to całkiem wymierna korzyść! – skomentowała Justyna.

– No! Moi rodzice, jak ich zawiadomiłem o planowanym ślubie, dogadali

się z moim ojcem chrzestnym, bratem mojej mamy. To był stary kawaler, miał spory dom, w którym czuł się coraz bardziej samotny. No i przepisał go na mnie, a sam zajął mój pokój w domu rodziców. Wyszło mu to na dobre, bo nie musiał sam gotować, no i towarzystwo miał od rana do nocy. Umarł trzy lata temu.

– No a od czasu rozwodu nie próbowałaś związać się z kimś innym?

Wir pokręcił głową ze zniechęconą miną.

– Rozejrzyj się! – powiedział. – W pracy sami faceci, a we wsi mam łątkę rozwodnika. Zresztą z moim zawodem ciężko jest znaleźć dziewczynę.

– Ej, chyba przesadzasz – zwątpiła Justyna. – Przecież laski lubią mundurowych!

– Taaaa – odparł z przekąsem. – Dopóki się nie okazuje, że nie przyszedłeś na randkę, bo musiałeś jechać do wypadku. Albo że w sylwestra czy inne walentynki masz dyżur... Szkoda gadać...

– Weź przestań, bo zaczynasz brzmieć jak Ireneusz – zaśmiał się Midas.

– A co to za jeden? – zainteresowała się Justyna.

– Nasz lokalny Don Juan, czy raczej Desperado, ale nie dlatego, że do Banderasa podobny, tylko dlatego, że z desperacji, żeby tylko przed czterdziestką się ożenić, to już chyba każdej niezamężnej lasce z wioski się oświadczył. Nawet wdowie po Klemensie, chociaż babka ma prawie siedemdziesiątkę! A jakie teksty im serwuje! – Zarechotał, aż echo poniosło się po lesie. – Nie wiem, skąd je bierze, ale kiedyś w knajpie słyszałem, jak mówił jakiejś lasce przez telefon, że taki dojrzały owoc jak ona smakuje najlepiej... Ostatnio zaczął podobno na turystki z pensjonatu polować, więc uważaj, Justynko!

– A co tam, może właśnie dam się upolować! – Roześmiała się.

Dalej szli już w milczeniu, mocno pochyleni, dysząc coraz głośniej, bo droga wiodła teraz niemal pionowo w górę. Ale kiedy stanęli na szczycie, Justyna uznała, że warto było się tak męczyć, bo roztaczał się stamtąd niesamowity widok. U ich stóp królowała zieleń lasu, gdzieś

poprzetykana błękitno-srebrnymi wstęgami potoków, a w oddali majaczyły skaliste szczyty Tatr, błyszczące w słońcu tak mocno, że aż zmrużyli oczy. Po prawej stronie wznosiło się zielone wzgórze, na szczycie którego stał przed wiekami wspaniały zamek. Dziś pozostały po nim tylko ruiny, które z tej odległości wyglądały tajemniczo i trochę złowrogo.

– To nasz cel! – powiedział Jakub.

Dominik zrzucił plecak i usiadł na trawie, wyciągając opakowane w aluminiową folię bułki z kotлетem i sałata. Rzucił każdemu po jednej i – odgryzając pierwszy kęs – zwrócił się do Midasa.

– Teraz, mój drogi kolego, twoja kolej, żeby opowiedzieć Justynie swoją historię!

Midas zaczerwienił się i łypnął na niego gniewnie, marszcząc brwi.

– Ja nie mam żadnej historii! – zaprotestował, na co jego przyjaciele zareagowali prychnięciem.

– Taaa, jasne! Nasz miły kolega, który nie ma żadnej historii, wdał się w romans z żoną szefa i wyleciał z roboty na zbity pysk! – wypalił Dominik. – I nie myśl sobie, że to była jakaś słodka kicia! Babka pod pięćdziesiątkę, która wcale nie wyglądała jak Marilyn Monroe!

Midas przewrócił oczami.

– Kiedy masz osiemnaście lat, a babka ubrana w sukienkę z dekoltem głębszym niż szyb naftowy mówi ci, że jesteś wspaniały, męski, silny i w ogóle naj, to nie musi wyglądać jak gwiazda, żeby ci zawrócić w głowie – odpowiedział.

– Zwłaszcza jeśli ta głowa znajduje się w spodniach! – skomentował z pobłażliwym uśmiechem Igor.

– A pokaż mi osiemnastolatka, którego głowa się tam nie znajduje! – zaperzył się Midas.

Igor chrząknął i zamrugął rzęsami.

– Przyszłych błogosławionych nie liczę! – Jakub machnął ręką i popatrzył

na Justynę. – Igor już jako nastolatek wiedział, że jest stworzony do wyższych celów, ale ja miałem bardziej przyziemne potrzeby... No i faktycznie, tak to mniej więcej wyglądało. Jak skończyłem budowlankę, załapałem się do dużej firmy, która miała zlecenia w całej Polsce. Jeździliśmy do różnych miast, uczyłem się wszystkiego, bo szef przerzucał mnie do różnych prac, żeby zobaczyć, do czego najlepiej się nadaję.

– No i zobaczył! Aż mu mina zrzęda! – Zaśmiał się Wir.

Jakub popatrzył na niego z niesmakiem i kontynuował:

– Jego żona też była zatrudniona w firmie i wszędzie z nami jeździła. Później kumple z pracy mi powiedzieli, że nie byłem pierwszym, który tak skończył...

– A skąd szef się dowiedział? Ktoś mu doniósł?

– Przyłapał nas... – Midas skrzywił się na to wspomnienie. – Pojechał na jakiś przetarg, miało go nie być dwa dni, a w drodze dostał telefon z bardziej opłacalnym zleceniem, no i zawrócił.

– A Kubuś i pani kuguar spędzali właśnie beztrosko czas w sypialni. I jak się domyślasz, nie grali w warcaby... – dopowiedział Dominik.

– No ale wyszło mu to wszystko na dobre, bo pewnie do dzisiaj byłby zwykłym robolem na budowie, a tak – ma swoją firmę – zakończył Igor.

– W sumie tak – potwierdził Jakub. – Chociaż początki były marne. Łapałem zlecenia, gdzie się tylko dało, przyjmowałem się na czarno przy budowach, a i tak babcia utrzymywała mnie ze swojej emerytury, bo by mi nie starczyło na te wszystkie ZUS-y i podatki. Aż zjawiły się Buczki ze swoimi planami wyremontowania pensjonatu, zatrudnili mnie, nie patrząc na to, że moja firma ma ledwie parę miesięcy. Zarobiłem niezłą kasę, zamówiłem billboard z reklamą, no i zaczęło się kręcić. Po roku zatrudniłem pierwszego pracownika, potem kolejnych. Teraz mam czterech, ale jak się trafia większa akcja, tak jak u ciebie w Leśnej Ostoi, to zwołuję większą ekipę.

– Ale od lasek od tej pory trzyma się z daleka! – stwierdził Wir.

– Zaraz tam z daleka! – zachnął się Midas. – A gdzie ja niby te laski mam spotykać? Na budowie? A te, co mieszkają w Drzewiu, to przecież wiedzą, jak jest.

– A jak jest? – zainteresowała się Justyna.

– No jakbyś nie wiedziała! Niby mam firmę, ale nie siedzę za biurkiem, tylko sam muszę zasuwać w drelichach i z młotkiem. Niby mam dom, ale mieszka ze mną babcia, a ona... – Spuścił głowę. – Szkoda mówić... Nie ma co, zbyt wybitna partia to ze mnie nie jest... Chociaż, jak mówiłem, jestem stworzony do noszenia kobiet na rękach!

Zerwał się z miejsca i zanim Justyna zdążyła się zorientować, co się szykuje, chwycił ją i unióśł do góry, kręcąc się wokół własnej osi.

– Proszę o zdjęcie z moją księżniczką! – zawołał do Igora, zatrzymując się pod bujnym świerkiem.

Justyna zarzuciła mu rękę na szyję i uśmiechnęła się w stronę aparatu.

– A teraz mnie postaw, zanim ci jakiś dysk wyskoczy – powiedziała, kiedy Igor pstryknął zdjęcia.

– E tam, mam żelazną kondycję, mógłbym cię zanieść nawet na samo wzgórze!

Postawił ją jednak na ziemi, a ona usiadła z powrotem na trawie, śmiejąc się i kręcąc głową.

– No i sama zobacz, jacy fajni faceci się tutaj marnują w samotności! – zawołał Dominik. – Już nawet nie muszkietierowie, tylko rycerze gotowi nosić swą damę na rękach!

– A mnie tak się wydaje, moi rycerze, że trochę kokietujecie – odpowiedziała. – Nie wierzę, że dzisiaj, w dobie Tindera i randkowych aplikacji, ktoś może być sam nie z własnej woli. Po prostu tak wam jest wygodnie!

Popatrzyli na siebie.

– Może w mieście jest tak jak mówisz, ale tu u nas, na zadupiu... – zaczął

Jakub, jednak Dominik przerwał mu, kiwając głową.

– A ja myślę, że Justyna ma trochę racji, wiesz? Bo prawda jest taka, że ja lubię Drzewie i dobrze mi się tu żyje, a laski zwykle chcą więcej i uważają, że jeśli nie chcesz awansować i przenieść się do jakiejś komendy w centrum dużego miasta, to jesteś bez ambicji. Więc niby chciałbym kogoś poznać, ale z drugiej strony, nie chciałbym niczego zmieniać...

– No a jak jest z tobą, Justynko? – zainteresował się Jakub. – Po tym głupim baranie z nikim się nie związałaś?

Justyna zamyśliła się, a on patrzył na nią z uwagą.

– Jakby to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało zbyt cynicznie... – Zaczęła, marszcząc czoło. – Widzicie, jakiś czas po tym, jak wyprowadziłam się od Kamila, dostałam w spadku mieszkanie po babci. Urządziłam je sobie tak, jak zawsze mi się marzyło i... uwielbiam te chwile, kiedy wracam do domu, wita mnie święty spokój i cisza i mam świadomość, że jeśli tylko zechcę, mogę sobie nawet leżeć na kanapie do następnego ranka i nikt nie będzie nosem kręcił... I że mogę dziesięć razy z rzędu puścić tę samą piosenkę i nikt od tego bzika nie dostanie – najwyżej ja. A jak chcę gdzieś wyjechać czy wyjść z przyjaciółmi – to po prostu wyjeżdżam czy wychodzę, i nikomu nic do tego. Nie chcę sobie tego komplikować. Oczywiście nie wykluczam, że kiedyś ta cisza i spokój zaczną mi przeszkadzać i wtedy...

Dominik posepnie pokiwał głową.

– No i właśnie przez takie samowystarczalne dziewczyny jak ty jest tak wielu samotnych facetów jak my – powiedział.

– E, przestałbyś już kwękać – stwierdziła Justyna i rzuciła w niego szyszką.

Przez następny kwadrans cała czwórka toczyła zacięty bój na szyszki, dopóki nie przerwało im chrząknięcie i pełne politowania i wyższości spojrzenie pary turystów z kijkami trekkingowymi, którzy nadeszli od strony ruin. Minęli ich ostentacyjnie szerokim łukiem i poszli z godnością, raz po raz odwracając się i szepcząc coś do siebie.

– No to zawieszenie broni! – zawołał Igor. – I chodźmy dalej, bo się te

ruiny do reszty rozsypią, zanim się tam doczołgamy!

Nie rozsypały się. Trwały w niezmiennym stanie, z bliska równie piękne i tajemnicze, jak obserwowane z odległego wzgórza. Justynę zachwyciły pozostałości po jakimś tarasie, obwiedzione resztkami pięknie rzeźbionych kolumn.

– Wiadomo, kto tu mieszkał? – zapytała. – Jest jakaś legenda czy coś?

– Hrabia Bolesław, który zakochał się w córce możnowładcy z sąsiedniej wsi, Henriecie. Ona też go pokochała, ale ponieważ tatuś zamierzał wydać córkę za samego księcia, nie chciał słyszeć o takich rzeczach. W efekcie panna dała się porwać i zamieszkała w pałacu hrabiego, poślubiając go potajemnie. Ojciec Henrietty wraz z niedoszłym zięciem najechali zamek, żeby odbić dziewczynę. Zabili hrabiego Bolesława, a Henrietta widząc to, przebiła się sztyletem.

– Beznadzieja – uznała Justyna. – Wszystkie legendy muszą się tak dennie kończyć? Nie może być happy endu?

– Jaki możesz mieć happy end, jak z zamku zostały tylko ruiny?

Zastanowiła się.

– A choćby taki: Henrietta i Bolesław, wiedząc, że ojciec dziewczyny nie pogodzi się z tym, co się stało, spakowali swoje najcenniejsze rzeczy do pięknej karocy, rozwalili zamek, pozorując napaść jakichś drani, i odjechali w siną dal. Osiedlili się w jakiejś pięknej krainie, na przykład na szwedzkim wybrzeżu, i żyli sobie spokojnie jako Heidi i Lasse Christiansen.

– Dobrze! – pochwalił Igor. – Od dzisiaj, jak ktoś zapyta, będę podawał twoją wersję.

\*\*\*

Ostatniego dnia maja Justyna z żalem pożegnała Drzewie. Trzej muszkieterowie wyściskali ją i wymusili przyrzeczenie, że będzie się częściej odzywać.



– I nie tylko wtedy, jak chcesz kogoś do pensjonatu przyjąć albo o jakiś remont zapytać! – Pogroził jej palcem Jakub, wręczając jej ogromny bukiet polnych kwiatów. Przytuliła się do niego, bo nie chciała, żeby zauważył, jak wzruszyła ją wizja tego wielkiego faceta, zbierającego na łące kwiatki, żeby ją pożegnać.

Mijając znak „Drzewie wita”, Justyna odwróciła się, żeby sprawdzić, czy z gęstwiny nie wyłoni się głowa żubra, ale najwyraźniej potężny zwierzak urzędował w innej części lasu.

Kiedy dotarła pod drzwi mieszkania, czekała ją niespodzianka: ktoś przyczepił do klamki czerwoną różę z załączoną karteczką o treści: „Witaj w domu!”. Uśmiechnęła się, wstawiła kwiat do wazonu, w drugim umieściła bukiet od Midasa, wyłożyła na kuchenny stół zrobione po drodze zakupy, tworząc przy tym dość chwiejną piramidę, i poszła pod prysznic. Gdy wyszła z łazienki, usłyszała pukanie do drzwi. Przez wizjer zobaczyła Eryka i skrzywiła się, bo nie miała dziś ochoty na towarzystwo.

„Przecież i tak słyszał, jak lejesz wodę w łazience...” – pomyślała. „No i róża z klamki zniknęła...”.

Otworzyła drzwi, czując za plecami lekki przeciąg.

– Cieszę się, że już wróciłaś – powiedział Eryk, zerkając ponad jej ramieniem do salonu. Na widok wielkiego bukietu kwiatów stojącego obok jego skromnej róży zmarszczył brwi.

W tym momencie chwiejna konstrukcja zostawiona w kuchni przez Justynę nie wytrzymała i rozsypała się. Eryk cofnął się o krok, a w jego oczach błysnął gniew.

– Och, słyszę, że nie jesteś sama – powiedział zimno, patrząc na nią z wyrzutem. – To nie będę wam przeszkadzać. Chciałem się tylko przywitać... No to cześć.

Pognał do siebie, nie dając jej szans na odpowiedź.

„Chyba zacznę go nazywać Pan Foch” – pomyślała Justyna i poszła do kuchni, żeby pozbierać zakupy.

# CZERWIEC

---

*Leżę na łące,*

*Nikogo nie ma: ja i słońce.*

*(...)*

*Wiatr ciągnie po trawach z szelestem,*

*A u góry*

*Siostry moje, białe chmury,*

*Wędrują na wschód.*

*Czy nie za wiele mi, że jestem?*

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

## Rozdział 16

---

Po tym, jak grający w *Czarcim jarze* aktorzy – przy okazji różnych wywiadów – z entuzjazmem wypowiedzieli się na temat pensjonatu Leśna Ostoja, w którym mieszkali przez kilka tygodni podczas kręcenia filmu, maleńka miejscowość Drzewie przeżywała istny najazd turystów, a jedyny w Drzewiu pensjonat dosłownie pękał w szwach. Fani i fanki zasypywali recepcję e-mailami i telefonami, pragnąc spędzić choć jedną noc w miejscu, gdzie nocowała ich ulubiona gwiazda filmowa, a dziennikarze próbowali wyciągnąć od personelu rozmaite ciekawostki i plotki. Ci drudzy na szczęście szybko zrezygnowali, ponieważ personel pensjonatu nie miał nic ciekawego do powiedzenia: aktorzy i aktorki zachowywali się w porządku, nikt nie gwiazdorzył, nikt nie miał ekscentrycznych żądań, nikt nie zdemolował pokoju, nie odbyła się żadna orgia.

Wobec tak ogromnego zainteresowania szefostwo Konsultraku uznało, że należy zatrudnić więcej personelu, tym bardziej że oddelegowana do kierowania Leśną Ostoją kadrowa bombardowała prezesa rozpaczliwymi telefonami i nawet wysłanie jej z pomocą stażysty Adriana nie rozwiązało

problemu.

– Prezes cię prosi od razu do siebie! – Usłyszała Justyna od recepcjonistki Kaśki, gdy tylko przekroczyła próg biura we wtorkowy poranek. Poczowała ucisk w żołądku, choć nie przypominała sobie, żeby coś zaważyła. Szybko pokonała schody i zapukała do gabinetu.

– Pani Justyno! – Prezes Konsultraku podniósł się zza biurka, ledwie Justyna stanęła w drzwiach jego pokoju. – Nie mogłem się doczekać, kiedy pani przyjdzie! Sytuacja wymaga błyskawicznego działania!

Aby podkreślić dramatyzm tego stwierdzenia, prezes ukrył twarz w dłoniach.

– Pensjonat, który pani dla nas założyła, przeżywa istne oblężenie! Mamy rezerwacje do końca przyszłego roku!

– To chyba dobrze? – zapytała ostrożnie.

– Wspaniale! – Uśmiechnął się szeroko. – Zyski przekroczyły wszelkie prognozy! Koszty inwestycji zwrócą się znacznie szybciej niż oczekiwaliśmy! Ale mamy też problem, bo trzeba zatrudnić więcej osób do pomocy. I nie ukrywam, że tu widziałbym zadanie dla pani!

Justyna popatrzyła na niego niepewnie. Chyba nie chce jej przenieść na stałe do Drzewia?

– Pani zna tych ludzi najlepiej, a biorąc pod uwagę, jaką świetną ekipę zatrudniła pani do tej pory, nie mam wątpliwości, kto powinien zająć się werbowaniem kolejnych pracowników. Zdaję sobie sprawę z tego, że cały maj spędziła pani w Drzewiu i ledwie ponad tydzień jest pani z powrotem w mieście, ale błagam, niech pani nie odmawia! Proponuję, aby pojechała pani tam jeszcze na dwa tygodnie, płatne jak delegacja. Parę dni poświęci pani na zatrudnienie osób do pomocy, a resztę proszę potraktować jak dodatkowy urlop. Czeka na panią w Drzewiu luksusowy apartament, który sobie pani wybierze, wyżywienie oczywiście zapewni pensjonat, wszystko na koszt firmy, więc będzie pani miała dobre warunki do wypoczynku. No i gwarantuję pani wysoką premię! Co pani na to?

Miała ochotę podskoczyć z radości, ale zachowała powściągliwość i udała, że trochę się waha. W końcu powiedziała z miłym uśmiechem (starła się, żeby nie był zbyt szeroki):

– Dobrze, panie prezesie. Pojadę, jeśli trzeba, i załatwię wszystko.

– Wiedziałem, że na panią zawsze można liczyć! – Jego twarz rozjaśniła się. – Da pani radę jutro wyjechać?

– Myślę, że tak.

\*\*\*

W ten sposób Justyna po raz kolejny trafiła do Drzewia, choć tak naprawdę sprawę zatrudnienia załatwiła, zanim jeszcze opuściła biuro Konsultraku. Wróciwszy z gabinetu prezesa, zadzwoniła do Mikołaja Szczęsnego, który – jak pamiętała – świetnie radził sobie w pensjonacie ze sprzątaniami po budowie.

– Panie Mikołaju, jak tam praca w stolarni? – zapytała, kiedy już wymienili formułki grzecznościowe.

– Ech, szkoda gadać – jęknął Szczęsny. – Wysocki trzyma mnie z litości, dobrze o tym wiem, bo stolarz ze mnie jak z koziej dupy trąba! O, przepraszam...

– Nie szkodzi!

– I ja tę jego litość wykorzystuję, bo nic innego tutaj znaleźć nie mogę, a pieniędzy potrzeba. Myślałem nawet, żeby wyjechać z Drzewia, ale tak zostawić rodzinę... Nie wyobrażam sobie takiego rozstania...

– A interesuje pana praca w pensjonacie? – Justynie udało się w końcu wstrzelić w jego potok słów. – Szukamy personelu, od recepcjonistki, przez pokojówki, po złotą rączkę – do wyboru, do koloru.

– Och, pani Justyno! Z nieba mi pani spada! Na złotą rączkę to ja się nie nadaję, ale sprzątam świetnie! Wysockiego warsztat aż lśni!

– To zapraszam jutro na podpisanie umowy!

Zaparzyła sobie kawę i ponownie sięgnęła po telefon. Jakub Midas odebrał po dłuższej chwili, mocno zdyszany, ale w jego głosie słychać było radość.

– Stęskniłaś się za mną? – zapytał wesoło.

– I to jak! Rozważam nawet, czy nie rzucić pracy, żeby zatrudnić się w twojej ekipie budowlanej, bo nie mogę wytrzymać kilku dni, nie widząc ciebie!

– No, na pewno wzrósłby wtedy poziom kultury i atrakcyjności!

Midas oczywiście nie miał problemu z poleceniem Justynie kilku osób do pomocy w pensjonacie – obiecał przysłać je do Leśnej Ostoi następnego dnia w południe. Zanim Justyna wspomniała, że sama przyjeżdża do Drzewia, rozległ się potworny harmider, ktoś wrzasnął: „O kurwa, szefie!”, a Midas wyjąkał tylko:

– Muszę kończyć. – I rozłączył się.

„Będzie niespodzianka!” – pomyślała Justyna, zastanawiając się, jaką katastrofę spowodowali pracownicy Jakuba.

Po przyjeździe do pensjonatu rozgościła się w apartamencie i zeszła do recepcji, aby porozmawiać z przyszłymi pracownikami. Mikołaj Szczęsny już czekał na werandzie, wyszła więc do niego i szybko podpisali umowę. Dwie kobiety koło czterdziestki, które przysłał Midas, przyznały, że nigdy nie pracowały zawodowo, ale po odchowaniu dzieci cierpią na nadmiar wolnego czasu i chętnie się podejmą pomocy w prowadzeniu pensjonatu. Na koniec pojawił się starszy mężczyzna, który zadeklarował, że umie naprawić prawie wszystko – został więc przyjęty na etat „złotej rączki”. Kompletowanie ekipy Justyna zakończyła o godzinie piętnastej i oficjalnie rozpoczęła urlop.

## Rozdział 17

---

Pierwsza myśl, jaka wpadła Justynie do głowy po przebudzeniu, brzmiała: „NICZEGO nie muszę!”. Może mało odkrywczą, ale z pewnością – bardzo przyjemną. Pokrzepiona nią leżała przez chwilę w łóżku, napawając się błogą ciszą, zakłócaną jedynie świergotem ptaków za oknem.

„Cudownie...”.

Poczuła pokusę, aby ten pierwszy dzień niespodziewanego urlopu spędzić, wylegając się w łóżku do południa, ale zaglądające przez okno promienie słońca sprawiły, że nasza ją nagła chęć na wyprawę na ulubione wzgórze. Odrzuciła kołdrę i rażno ruszyła pod prysznic. Kilkanaście minut później, już ubrana, wyciągnęła z minilodówki kanapki, które zostały jej po wczorajszej kolacji i usiadła do śniadania. Kuchnia przygotowała wieczorem dla niej tak dużą porcję, że nie była w stanie wszystkiego zjeść, odłożyła więc część jedzenia, na wypadek gdyby poczuła głód, zanim jadłodajnia rozpocznie pracę – i jak widać, był to dobry pomysł.

Zerknęła na zegarek i aż ją zamurowało. Było piętnaście po szóstej! Kto wstaje o tej godzinie w pierwszy dzień urlopu?!

– Chyba mi odbiło!

Przez chwilę kusiło ją, żeby wrócić do łóżka, ale perspektywa oglądania panoramy rozciągającej się ze wzgórza, u stóp którego stał pensjonat, za bardzo ją pociągała. Zresztą czuła się wyspana, rześka i pełna energii – darowała sobie nawet poranną kawę, która była jednym z jej ulubionych rytuałów, wynikającym raczej z zamiłowania niż potrzeb.

– No to w drogę! – powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

Spakowała resztę kanapek do plecaka, wzięła butelkę wody i aparat fotograficzny i ruszyła na dół. Buty założyła dopiero na werandzie, bo nie chciała o tak niehumanitarnej porze budzić pozostałych gości pensjonatu. Wczoraj, kiedy przyjechała, miała sporo pracy, nie było więc okazji do podziwiania ogrodu, a teraz, kiedy rozejrzała się wokół, poczuła zachwyt i dumę, bo w pewnym stopniu było to także jej dzieło. Mimo że wyjechała stąd niespełna dwa tygodnie temu, dostrzegła pewne zmiany. Przekwitły już konwalie i fiołki, ustępując miejsca kolorowym łubinom i irysom, które rozrosły się wokół werandy, tworząc przepiękną kompozycję jak z obrazów Van Gogha.

„Może ja też zacznę malować?” – pomyślała, patrząc na otaczające ją piękno natury.

Ogród oszałamiał mnóstwem kwiatów, których kolory i aromaty mieszały się ze sobą, tworząc prawdziwie upajającą kompozycję. Napawała się przez kilka minut tym widokiem i zapachem, po czym ruszyła wolno przed siebie, żeby dać mięśniom szansę na rozgrzewkę.

Ścieżka wiodąca na wzgórze mocno zarosła – najwyraźniej turyści wybierali inne kierunki, co było jej na rękę, bo lubiła ciszę i poczucie, że całe to piękno wokół ma tylko dla siebie. Szła niezbyt szybko, starając się równo oddychać i znaleźć swoje tempo. Początkowo droga biegła stromo, przez gęsty las, w którym panował półmrok – przez to miało się niezbyt przyjemne wrażenie przechodzenia przez tunel, które na szczęście szybko zniknęło, bo las się przerzedzał, odsłaniając malowniczy strumyk.

„Witaj ponownie...” – pomyślała, patrząc na wijącą się wśród drzew wstęgę.



Po kilkunastu minutach marszu Justyna dotarła do polany, z której roztaczał się widok na pensjonat. Stała przez chwilę, wpatrując się w okazały budynek i przypomniała sobie dni spędzone na urządzaniu go. Pamiętała swój niepokój, niepewność i strach, które miały ją, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg pustego dworku, wysłana z misją stworzenia tu pensjonatu. Pamiętała noce, które spędziła z głową schowaną pod kołdrą, przerażona żywiołami szalejącymi za oknem albo dochodzącymi z domu odgłosami. Wspomniała długie godziny spędzone nad dziennikiem Zygmunta Drzewieckiego i odnalezienie ciał poprzednich właścicieli dworku. I wreszcie – trzech przyjaciół, których tutaj zyskała – Jakuba, Dominika i Igora (na myśl o tym ostatnim trochę mocniej zabiło jej serce, ale skarciła się w myślach).

„Spokój tam!” – powiedziała w duchu.

Po wspólnych przeżyciach związanych z urządzaniem pensjonatu, rozwiązaniem zagadki zniknięcia dawnych właścicieli i zdemaskowaniem kłusownika, który od lat zabijał zwierzęta w okolicy, ich czwórkę połączyła silna więź. Choć niedawno się widzieli, już tęskniła za nimi i cieszyła się, że niedługo znów się spotkają.

„Zaproszę ich wieczorem na kolację” – postanowiła.

Ruszyła ponownie w górę, z rozbawieniem śledząc kowalika, który skacząc obok ścieżki, towarzyszył jej we wspinaczce, cicho pogwizdując. Raz po raz przystawał, przekrzywił łeppek i przyglądał się jej, jakby chciał powiedzieć:

– No, ruszaj się! Kto pierwszy na szczycie?!

Po kilku minutach zabawa widocznie mu się znudziła, albo wezwały go jakieś pilne sprawy właściwe kowalikom, bo zaśpiewał jeszcze raz i odleciał. Szła więc samotnie, raz po raz przecierając twarz, do której przyklejały się pajęczce nici rozłożone ponad ścieżką – ewidentny znak, że nikt tędy przed nią nie szedł. Czuła się trochę jak biegacz, który jako pierwszy przebiega linię mety, zrywając wstęgę, tylko w jej przypadku były to setki drobnych niteczek.

Tuż przed szczytem Justyna zatrzymała się, aby wyrównać oddech i odsunąć trochę w czasie przyjemność pierwszego spotkania

z rozpościerającym się stąd obłądnym widokiem. Nie wątpiła, że w tak pogodny poranek na horyzoncie zobaczy Tatry – i rzeczywiście: ich szczyty lśniły w słońcu tak mocno, że wyglądały jak wykute z żelaza. Patrzyła z zachwytem i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie jest tu sama. Kilka metrów dalej, na złamanym pniu, siedział Igor, wpatrując się w nią z niedowierzaniem. Wyglądał pięknie. Jakby zszedł prosto z obrazu któregoś z dawnych mistrzów. Czarne włosy rozwiewał łagodny podmuch wiatru, niebieskie oczy lśniły intensywnym blaskiem, podkreślanym przez zieloną koszulę, ciasno opinającą jego klatkę piersiową. Jego skóra miała piękny, złocisty odcień.

– Co ty tu robisz? – zapytali równocześnie i roześmiali się. Napięcie, jakie Justyna poczuła na jego widok, nagle zniknęło. Uściskała go serdecznie, ku swemu zdumieniu, nie czując przy tym szalonego bicia serca.

– Jestem na urlopie!

– I o siódmej rano, zamiast gnić w łóżku, stoisz już na szczycie wzgórza?

– Tak wyszło... A co ciebie tu sprowadza?

– Często tu przychodzę po natchnienie lub wytchnienie – wyjaśnił. – Wczoraj zacząłem remont takiego małego kantorka na plebanii, bo mi się już książki nie mieszczą. Moi poprzednicy traktowali go jak magazyn rupieci... Myślałem, że mi szybko pójdzie, ale chyba trochę się przeliczyłem...

– Sam remontujesz? – zdziwiła się.

Igor przewrócił oczami.

– Błagam cię, ty też? – zapytał z irytacją.

– Co: ja też?

– W naszym pięknym kraju wszelkie prace wykonywane przez księży traktowane są jak osiągnięcie na miarę Nobla! Patrzcie, ma zaledwie trzydzieści sześć lat, a już sam trzyma pędzel!

Pokręcił głową.

– Dominik sam prowadzi swój dom i jakoś nikt nie wygaduje: ojejku,

policjant i sam sobie obiad ugotował! A jak to samo robi ksiądz, a na dodatek jeszcze potrafi obsługiwać pralkę i żelazko, a nawet szmatę do podłogi, to już zaczyna być materiał na dziennikarskie śledztwo!

Justyna roześmiała się i uniosła ręce w obronnym geście.

– Nie unoś się tak, księżu dobrodziej, bo zupełnie nie o to mi chodziło! – zawołała. – Miałam na myśli to, że sam robisz remont, kiedy twój najlepszy przyjaciel jest budowlańcem.

– Aha... – Igor z zakłopotaniem podrapał się po głowie. – Sorry, chyba trochę drażliwy jestem na tym punkcie...

– E, coś ty, najwyżej odrobinę... A wracając do twojego pełnego pasji monologu, to takie podejście nie bierze się znikąd. Przedstawiciele twojego zawodu przez całe stulecia sobie na tę opinię pracowali...

– No przecież wiem... Ale nie lubię, jak się tak wszystkich do jednego wora wrzuca.

Pokiwał głową i przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się pięknej okolicy.

– Tam przy strumieniu widziałam kiedyś żubra! – wskazała ręką Justyna.

Igor uśmiechnął się.

– Ja go miałem okazję zobaczyć dopiero podczas akcji w garażu! – Oboje roześmiali się na wspomnienie próby spacyfikowania żubra, a potem zapatrzyli się w promienie słońca prześwitujące między koronami drzew niczym gigantyczne złote palce.

– Masz jakieś plany na później? – przerwał ciszę Igor. – Bo jeśli nie, chciałbym pokazać ci nasz kościół. Jakoś przez te wszystkie miesiące nie znalazłaś czasu, żeby go odwiedzić...

– Przyjmuję nagane. – Justyna skinęła głową. – Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że znacznie silniej czuję obecność Boga w takich miejscach jak to niż w tłumie obcych ludzi, fałszujących na dziwną melodię wyuczone formułki... Mam nadzieję, że tam na górze – wskazała dłonią niebo – nie

siedzi surowy księgowy, który skrupulatnie odnotowuje, ile pierwszych piątków opuściłam, tylko Ktoś, dla kogo ważniejsze jest to, czy szczerze się modłę, niż gdzie to robię...

– Rozumiem i myślę, że masz rację... Tylko nie mów nikomu, bo stracę pracę! – Roześmiał się. – Ale teraz w kościele nie będzie nikogo, więc nikt cię nie będzie rozpraszał. I będziesz mogła zobaczyć nasz słynny krzyż.

– W porządku, prowadź więc!

Droga wiodąca na drugą stronę wzgórza zaczynała się za kępą gęstych krzaków, dlatego Justyna nigdy wcześniej na nią nie trafiła. Ta była znacznie bardziej kręta niż ścieżka wiodąca od dworku, i o wiele mniej stroma, a przez to – dłuższa. Igor opowiadał Justynie najnowsze wieści z Drzewia. Sporo się zdarzyło, choć wyjechała stąd tak niedawno.

– Niemiecka telewizja u nas była! Sfilmowali krzyż, rozmawiali z mieszkańcami, pytali o von Brauna, czy ktoś go pamięta... No i bardzo ich interesował jego dziennik, więc pozwoliłem im zrobić fotokopie. Bo ja ci w końcu tego dziennika nie oddałem...

– U ciebie będzie mu dobrze – odpowiedziała. – Zresztą ja i tak nie znam niemieckiego.

– Stara Kwietniowa to się nawet o te wywiady z panią Leokadią pobiła! – Ksiądz na samo wspomnienie zaniósł się od śmiechu. – Jedna drugiej wytknęła, że jak się wojna kończyła, to miała ledwie ze trzy lata, więc gdzie się pcha do dziennikarzy, no i zaczęła się pyskówka, która szybko przeszła w rękoczyn! Ten dziennikarz niemiecki to już sam nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, aż wreszcie praworządność się w nim obudziła i zadzwonił na policję. Dominik ledwo je rozdzielił! W kajdankach do samochodu zapakował i dopiero wtedy im przeszedł szal bitewny...

– Musiała być niezła jazda...

– Żebyś wiedziała! Bo jak przestały się wzajemnie okładać, to obie wyskoczyły na Dominika! Od gestapo i ubeków go zwyzywały, że porządne obywatelki nęka i wstyd przed Niemcem przynosi...

– Wesoło tu macie...

– I to jak! A wiesz, jaki cyrk miał wczoraj Jakub na budowie? Ma teraz zlecenie w Olchówku, parę kilometrów za Drzewiem. Zatrudnił swojego siostrzeńca i młody uparł się, że wszystko umie lepiej, bo jest świeżo po kursach. Wsiadł na koparkę i po pięciu minutach rozwalił rurę, pozbawiając wody dwie wsie! A fontanna była taka, że wszystkich przemoczyło w parę sekund... Szkoda, że nie widziałas, jak całą ekipą wracali do wsi... Jak ofiary jakiejś gigantycznej powodzi... Dzieciaki im zdjęcia robiły. Ja też mam parę niezłych ujęć!

– O, to musisz mi pokazać! Chętnie zobaczę Jakuba jako mistera mokrego podkoszulka!

Śmiejąc się, zeszli w końcu na sam dół. Dalej ścieżka wiodła przez coraz rzadszy las i niespodziewanie kończyła się za budynkiem sklepu z narzędziami. Przeszli przez wąską uliczkę i skierowali się prosto do kościoła. Budynek był nieduży, utrzymany w bieli, z pięknie rozplanowanymi rabatami kwiatowymi.

– To oczywiście dzieło Natalki! – skomentował Igor. – Chociaż przyznam ci się, że mam trochę obiekcje, żeby zatrudnić takiego dzieciaka... Ale jak kiedyś poprosiłem gościa z drugiej wsi, to Natalka tak płakała, że przez tydzień nie mogłem spać... W efekcie przeważnie zasuwałam w ogródku razem z nią, żeby nie mieć wyrzutów sumienia...

– Wiem, ja też wzięłam się do roboty, bo łyso mi było tak się przyglądać, jak dziecko pracuje w moim ogrodzie...

Weszli do kościoła. Szli w milczeniu wzdłuż nawy głównej. Justyna nie mogła oderwać wzroku od stojącej na ołtarzu rzeźby Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Była to prosta drewniana figurka, przedstawiająca Marię jako śliczną, młodziutką dziewczynę z długim warkoczem oplecionym wokół głowy. Trzymany przez nią Jezusek był nieproporcjonalnie mały w stosunku do jej postaci, ale nie psuło to ogólnego efektu, który zachwycił ją swoją prostotą i naiwnością. U stóp Marii, na białym postumencie, stał krzyż wysadzany barwnymi kamieniami, w których odbijały się płomyki świec,

wywołując wrażenie, jakby to sam krzyż migotał tysiącem kolorów. Jego przepych kontrastował ze skromnością posągu.

– Jest piękny... – wyszeptała Justyna. – Warto było się narażać na makabrę w starej sztolni, skoro dzięki temu wrócił tutaj.

Obejrzała również obraz, którym tak zachwycił się w swoim dzienniku von Braun, po czym Igor odwiózł ją do pensjonatu. Wysadził ją przed bramą, a sam pojechał do chorej parafianki, która dzwoniła z prośbą o pomoc. Justyna szła przez ogród, nie mogąc się napatrzeć na te wszystkie cuda, jakich dokonała tutaj Natalka Szczęsna. Nie tylko ją zachwyciała bujność ogrodu. Na werandzie, która tonęła w powodzi kolorowych kwiatów, siedziały dwie młode wczasowiczki w kusych sukienkach oraz siwowłosa, drobna kobieta w kraciastej spódnicy i szarym sweterku. Ta ostatnia na widok Justyny poderwała się z miejsca i podeszła, wyciągając przed siebie dłoń. Uścisk miała zaskakująco mocny.

– To pani jest właścicielką? – Jej głos był niski, niemal basowy, co komicznie kontrastowało z drobniutką sylwetką. Mówiła szybko, nie pozwalając Justynie wtrącić ani słowa. – Bo widzi pani, żem słyszałam, że zatrudniacie osoby do pracy. Czy nie znalazłoby się dla mnie jakie miejsce? – Spojrzała na Justynę wzrokiem sarenki Bambi. – Wiem, że nie jestem już młoda, ale sprzątać przeca umiem, a do ścierania kurzu nie trza wielkiej siły. Zresztą energii mi nie brak! Choć na parę godzin dziennie, szefowo... Sama żem jest jak ten palec, bieda w oczy zagląda, nie ma do kogo gęby otworzyć... A tu byłabym wśród ludzi, przydałabym się, no i...

– Dobrze, dobrze! – Justyna uniosła ręce uspokajającym gestem. – Na pół etatu mogę panią zatrudnić, pracy wystarczy dla wszystkich... Zaraz przyniosę dokumenty.

Kiedy wchodziła do pensjonatu, kątem oka dostrzegła triumfujący uśmiech staruszki. Jej kruchość i bezradność zniknęły jak ręką odjął. Justyna dała jej do wypełnienia formularze, pouczyła o obowiązkach i umówiły się, że nowa pokojówka rozpocznie pracę od jutra. Dopiero kiedy kobieta odeszła, Justyna rzuciła okiem na dokumenty i uniosła brwi ze zdumienia, bo w rubryce imię

i nazwisko widniało: Marcelina Kwiecień.

„Wygląda na to, że zatrudniłam słynną Starą Kwietniową...” – pomyślała z rozbawieniem, ale i lekkim niepokojem. „Mam nadzieję, że nie pobije żadnego z gości”.

Nie wiedziała wtedy jeszcze, że to nie o gości powinna się martwić...

Po obiedzie Justyna nastawiła kawę i czekając, aż się zaparzy, usiadła na balkonie, żeby przez chwilę poczytać i spokojnie pobyć z dala od innych wczasowiczów. Samotność nie była jej jednak pisana, bo na horyzoncie ujrzała po chwili charakterystyczny samochód Jakuba Midasa. Uśmiechnęła się na myśl o ponownym spotkaniu z wesołym olbrzymem, którego po wszystkich wspólnych przeżyciach zaczęła już traktować jak bliskiego przyjaciela. Midas zatrzymał się przed bramą pensjonatu i – mimo że była zapraszająco otwarta – zostawił samochód i ruszył w stronę dworu na piechotę. W miarę jak zbliżał się do werandy, jego krok stawał się coraz mniej sprężysty, aż wreszcie Jakub stanął, jakby wahał się, czy powinien wejść do środka. Justyna zerwała małą różę, która pięła się po balustradzie jej balkonu – i rzuciła kwiat w dół. Upadł wprost pod jego stopy, zmuszając go do spojrzenia w górę.

– Och, witaj, piękna pani! – zawołał, kłaniając się z galanterią aż do ziemi i zamiatając wyimaginowanym kapeluszem.

– Witaj, mój rycerzu w lśniącej zbroi. I zasuway do mnie na górę, bo właśnie przygotowuję kawę!

Już po chwili był na górze. Położył kwiat na jej poduszce, delikatnie wygładzając poszewkę, a na stole postawił butelkę wina. Usiedli obok siebie na balkonie, z kubkami kawy. Spróbował aromatycznego napoju i uniósł brwi ze zdumienia.

– Co to za kawa?

– Z cynamonem, miodem i imbirem! Zaparzałam dla siebie i nie miałam okazji spytać, czy taką lubisz...

– Pewnie powinienem powiedzieć, że nie lubię – odpowiedział. – Bo

bardziej męska byłaby czarna i mocna jak szatan. Ale kurczę, nic nie poradzę – smakuje mi ta twoja kawa!

Przez chwilę delektowali się w milczeniu, patrząc na ogród.

– Co się tam tak wahałeś na dole? – zapytała w końcu Justyna.

Jakub zaczerwienił się lekko.

– A, bo tak pomyślałem, że mi nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz, ani nie zadzwoniłaś, że już jesteś, to może nie chcesz, żebym ci głowę zawracał i...

– Głupoty gadasz! – Przerwała mu. – Nie powiedziałam ci przez telefon, bo akurat wyszła ta cała afera z pękniętym rurociągiem i musiałeś lecieć na konkurs mokrego podkoszulka. Dzisiaj miałam zadzwonić. Wczorajem, bo wiem, że nic tak nie wkurza pracujących, jak ktoś, kto jest na urlopie i dzwoni w samo południe, żeby się pochwalić swoją wolnością...

– Akurat dzisiaj mam wolne, bo po tej powodzi musi wszystko chociaż jeden dzień przeschnąć... – Uśmiechnął się. – A swoją drogą, to fajnie, że mając do wyboru cały świat, wybrałaś na urlop nasze Drzewie...

– Nie do końca miałam wybór, ale i tak rozważałam, czy nie przyjechać tutaj w sierpniu... Tak tu wypoczęłam, będąc w pracy, że pomyślałam, że na urlopie to już będzie prawdziwy raj...

– I jak?

– No właśnie nie do końca... Kiedy tu wszystko rozkręcałam, spacerowałam sobie po okolicy i miałam to wszystko tylko dla siebie. Czasem jakiś grzybiarz się trafił. A teraz... Prawie w każdym miejscu natykam się na turystów, więc ciszę i spokój diabli wzięli... Dobrze, że na moje kochane wzgórze ścieżka jest schowana na tyłach dworu, to tam jeszcze można posłuchać, jak szumią drzewa...

– Nie jest tak źle – zaproponował. – Fakt, trochę ich przyjechało, ale pewnie po wakacjach wszystko wróci do normy, jak już ucichnie sprawa z tym całym filmem. Ale miejsc spokojnych jest tu nadal dużo, tylko nie każdy wie, jak trafić, a szlaki poprowadzili tylko do Czarnej Skały i do starej kopalni. Jak chcesz, to mogę cię zaprowadzić, choćby teraz. Na przykład na Rajską



Polanę.

– Rajska Polana brzmi zachęcająco! Ale węży tam nie ma?

– Nie. Tylko czasem ludzi nachodzi ochota, żeby ciuchy zrzucić...

– O, już mi się podoba! To co? Idziemy?

Wzięła plecak, założyła trapery i wyruszyli. Ścieżka zaczynała się za kapliczką z wyjątkowo nieudanym świątkiem i początkowo wiodła stromo w górę. Oboje mocno się zasapali. Dalej robiła się znacznie bardziej łaskawa, prowadząc brzożową aleją, przy której raz po raz pojawiały się oczka wodne. Wkrótce jednak alejka zmieniła się w wąską ścieżkę, strzeżoną przez szpaler dorodnych pokrzyw. Justyna, która miała na sobie bluzkę z krótkim rękawem, uniosła ręce nad głowę i ruszyła przodem.

– Czuję się, jakbym cię aresztował! – skomentował Jakub.

Rzuciła mu figlarne spojrzenie przez ramię i zawołała cieniutkim głosem:

– Och, byłam bardzo niegrzeczna i zasłużyłam na karę. Ale proszę mnie nie zamykać w więzieniu! Zrobię wszystko, co pan każe...

Poszła rażno przed siebie, nie widząc, że jej żart sprawił, że Midas zaczerwienił się aż po czubki uszu.

Szpaler pokrzyw nareszcie się skończył i ścieżka znów poprowadziła ich w górę, ale już po kilkunastu metrach przed oczami Justyny wyrosła drewniana ławka z widokiem na przepiękną polanę porośniętą kolorowymi kwiatami. Justyna rozpoznała łubiny, storczyki, irysy, maki i chabry.

– Kiedyś byli tu różni naukowcy, badali te kwiaty i piali z zachwyty, że takie gatunki już prawie nie występują na dziko – wyjaśnił Midas, siadając na ławce. – Chcieli tu założyć rezerwat i dalej prowadzić badania, ale ustrój się zmienił i następny rząd miał na głowie inne sprawy niż jakieś tam storczyki czy irysy. Tylko ławkę zdążyli zrobić.

– No i bardzo dobrze... Natura najlepiej radzi sobie wtedy, gdy człowiek się nie wtrąca i nie zaczyna jej poprawiać...

Posiedzieli na ławce, napawając się kolorystyką i zapachem polany, którą

Justyna obfotografowała ze wszystkich stron i pod różnymi kątami.

– Wczoraj ja i moja ekipa też mieliśmy taką sesję zdjęciową – rzucił Jakub.

– Widziałam! Igor mi pokazał parę ujęć, no naprawdę, mówiłam mu, żeby to posłał do jakiegoś magazynu dla pań... Zastanawiałam się, czy jednego nie wywołać w formacie XL i nie powiesić sobie nad łóżkiem...

– Jak będziesz chciała, to mogę ci nawet dedykację napisać!

– O nie! Jeszcze zasłoniłbyś napisem jakiś interesujący szczegół!

Jakub podniósł się z ławki i spojrzał na nią groźnie.

– Sugerujesz, że ja mam jakieś szczegóły, które można zasłonić byle kreską?!

Zmierzyła go od stóp do głowy, a potem chwyciła się za serce i udała, że omdlewa na ławce.

– O nie, wybacz... Jesteś wielki i potężny, a ja taka słaba i bezbronna... Nie mam siły, żeby oprzeć się twej mocy!

Za ich plecami rozległ się głośny trzask, który sprawił, że oboje podskoczyli i wpatrzyli się w gęstwinę. Czekali w napięciu na spotkanie z jakimś dużym zwierzęciem, ale po chwili z krzaków wyłonił się siwy, drobny staruszek w zielonym mundurze. Minął oboje w odległości zaledwie kilku metrów, nawet ich nie dostrzegając, chociaż Midas zawołał dość głośno „dzień dobry”.

– To nasz leśniczy! – skomentował Jakub, kiedy mężczyzna zniknął za drzewami. – Teraz już rozumiesz, dlaczego nie mógł złapać kłusownika! Dziwię się, że jeszcze ścieżki w tym lesie rozpoznaje...

– Może się zgłoszę na jego miejsce. – Uśmiechnęła się Justyna. – To chyba najfajniejsza praca na świecie: chodzi sobie po lesie i jeszcze mu za to płacą...

Słońce zaczęło już swoją wędrówkę w stronę zachodu, więc uznali, że pora kończyć wyprawę. Wracali inną drogą, która zaprowadziła ich na drugi koniec wioski. Midas zatrzymał się na skraju lasu i wskazał Justynie nieduży

drewniany dom z ładnie utrzymanym ogrodem.

– Tutaj mieszkam – powiedział. – Z babcią. Wiem, obciach, ale ktoś się nią zajmować musi po śmierci dziadka... Dziadek umarł, jak miałem osiemnaście lat, i babcia wtedy stwierdziła, że długo bez niego nie wytrzyma, więc trzeba szybko z majątkiem porządek zrobić. No i zapisała na mnie dom, pod warunkiem że z nią zamieszkać i się nią zajmę. No i tak już prawie dwadzieścia lat razem gospodarujemy...

W tym momencie z domu wyszła starsza kobieta. Była wysoka i dość mocno zbudowana, z okazałym kokiem siwych włosów. Spojrzała w stronę lasu i zawołała niespodziewanie dźwięcznym i miłym głosem:

– Kubuś, a co wy tak z Kasią pod tym lasem stoicie? Chodźcie do domu, kolację już naszykowałam!

Jakub popatrzył na Justynę i gestem pokazał jej, żeby z nim poszła, jednak widać było, że robi to bardzo niechętnie. Starsza pani tymczasem zniknęła we wnętrzu domu. Szli przez chwilę w milczeniu, a Justyna czuła się coraz bardziej nieswojo. Już miała powiedzieć, że jednak innym razem pozna jego babcię, gdy Midas spojrział na nią i smutno się uśmiechnął.

– Babcia cierpi na demencję... – Odezwał się wreszcie, a jego głos, zwykle wesoły i dźwięczny, brzmiał ponuro i bezbarwnie. – Zaczęło się, jeszcze jak dziadek żył, ale wszyscy zrzucaliśmy winę za jej zapominalstwo na nawał obowiązków. Dopiero jak raz zapomniała, jak się zapina kurtkę i po co ona w ogóle jest, zajęliśmy się tym na serio, ale z tym tak naprawdę niewiele można zrobić. Dostała leki, ja przebudowałam instalacje w domu, żeby było bezpieczniej, no i tyle... Czasem myśli, że jestem jej mężem, czasem wydaje jej się, że mam sześć lat. Ciebie wzięła za moją siostrę, Kasię.

– Musi ci być ciężko...

– Przyzwyczailem się. Zresztą moi rodzice mi pomagają, no i Igor jest u niej codziennie... Jego jednego babcia nigdy z nikim nie myli.

– Dzieciaki! – Starsza pani wyszła z domu z ciężką misą i postawiła ją na stole, na którym stały nakrycia. – Umyjcie łapy i siadajcie do stołu!

Ugotowałam wasze ulubione pierogi z truskawkami.

Posłusznie weszli razem do małej łazienki, umyli ręce i usiedli w ogrodzie, patrząc na siebie niepewnie. Staruszka okazała łyżką nałożyła im na talerze czerwoną masę, pogłaskała Jakuba po głowie, Justynę pocałowała w czoło i wróciła do domu.

– Nie musisz tego jeść... – zaczął Jakub, ale Justyna już połała truskawkową papkę śmietaną, posypała cukrem i spróbowała.

– Co ty, to jest dobre! – powiedziała z uśmiechem. – Gotowane truskawki ze śmietaną, oryginalne danie. Po co komu ciasto w pierogach, skoro wszyscy i tak najbardziej lubią nadzienie?

– Też racja! – Midas znowu był sobą, co Justyna przyjęła z ulgą. Widać było, że sytuacja była dla niego trudna, najwyraźniej obawiał się jej reakcji.

Po oryginalnej kolacji odprowadził ją do pensjonatu. Pożegnali się przed bramą.

– Dziękuję ci za fajną wycieczkę! – Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, po czym odwróciła się i poszła alejką. Jakub stał przez chwilę jak posąg, a na jego twarzy malował się błogi uśmiech, nadający mu mocno głupkowaty wygląd. Na szczęście Justyna nie obejrzała się za siebie.

## Rozdział 18

---

Następne dni mijały spokojnie. Goście pensjonatu spacerowali po okolicy albo przesiadywali w ogrodzie, a Justyna odwiedzała swoje ulubione miejsca, z którymi wiązało się tyle wspomnień. Prawie każdego ranka wspinała się na wzgórze, żeby posiedzieć w ciszy i samotności. Zabierała ze sobą książkę i koc i wylegiwała się w cieniu drzew, czując, jak opada z niej napięcie i ciesząc się z tego niespodziewanego bonusu od prezesa.

„To dopiero wakacje!” – myślała.

Pod koniec tygodnia pogoda zepsuła się: lunął rześisty deszcz, który zamienił ziemię w błotniste kałuże. Kiedy wreszcie przestało padać, goście, którzy dotąd z nosami przy szybach tkwili w swoich pokojach albo przesiadywali w świetlicy, tłumnie ruszyli na zewnątrz, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Tym bardziej że po deszczu ogród nabrał żywszych barw: trawa wydawała się bardziej zielona, a wilgotne płatki kwiatów intensywnie błyszcząły w promieniach słońca.

Dwie śliczne turystki usadowiły się na swoim ulubionym miejscu na werandzie, szepcząc coś do siebie i wybuchając co chwila perlistym

śmiechem. Lokator spod dwunastki, tęgawy brodacz w średnim wieku, przeszedł obok nich, uśmiechając się uprzejmie (w jego zamyśle miał to być uśmiech uwodzicielski i kuszący), co skwitowały kolejnym chichotem. Justyna siedziała na balkonie w swoim pokoju i kończyła czytać zabawną książkę *Mąż zastępczy* Joanny M. Chmielewskiej, ale raz po raz zerkiała w dół. Pani Kwietniowa zmyła właśnie werandę i usiadła przy schodach, ciężko oddychając. Brodacz przespacerował się po ogrodzie, pochylił się nad rabatką z różami, zrobił zdjęcie łąbinom, po czym ruszył ponownie w stronę domu, zerkając na rozchichotane ślicznotki. Starał się wyglądać przy tym na silnego i wysportowanego, wciągał brzuch i prężył mięśnie, co Justynie z jej punktu obserwacyjnego przypominało chód bażanta, który zbyt dużo zjadł na obiad. Odłożyła książkę i z zainteresowaniem śledziła, jak rozwinie się sytuacja.

Bażant uczynił właśnie zamaszysty krok w stronę werandy, gdy naraz wyrosła tuż przed nim pani Kwietniowa.

– A kawaler to w domu też tak w ubłoconych buciorach do salonu się pcha?! – Jej bas słychać było chyba nawet w sąsiedniej wsi.

Mężczyzna poczerwieniał, a ślicznotki, które teraz dopiero zwróciły na niego uwagę, pochyliły głowy ku sobie, poszeptały coś i roześmiały się wesoło. Pani Kwietniowa nie dała mu żadnej szansy na reakcję. Bez pardonowo chwyciła go pod ramię, zmuszając do zawrócenia.

– O, tutaj jest taka kratka! – powiedziała stanowczo, zatrzymując się i wskazując palcem na wycieraczkę. – Nazywa się wy-cie-racz-ka. – Oddzieliła każdą sylabę, jakby mówiła do opóźnionego w rozwoju dziecka. – Wy w mieście pewnie tego nie znacie, ale szybko się pan nauczy. Jedna noga. – Zademonstrowała mu sposób wycierania butów. – Druga noga – i już! No, spróbuj, młodzieńcze! To nic a nic nie boli!

Mężczyzna, który w tej chwili nie przypominał już nawet bażanta, tylko raczej zmokłą kurę, wytarł porządnie buty przy wtórze chichotu ślicznych turystek i – cały czerwony na twarzy – szybkim truchtem pobiegł do swojego pokoju.

„O ja nie mogę...” – zaśmiała się w duchu Justyna.

Innym razem była świadkiem, jak Stara Kwietniowa spacyfikowała dwóch mocno podpitych turystów, którzy zapragnęli wspiąć się po pergoli na dach werandy. Po reprimendzie udzielonej im przez staruszkę obaj wyglądali jak postawione do kąta przedszkolaki. Ze spuszczoneymi głowami poszli do swoich pokojów, przeprasząc za swoje zachowanie.

– I żeby mi się to nie powtórzyło! – Wygrażała za nimi pięścią kobieta.

W takich przypadkach sposób bycia pani Kwietniowej bardzo się przydawał, ale na co dzień był mocno uciążliwy – zwłaszcza wtedy, gdy krytykowała pracę innych zatrudnionych w pensjonacie osób, nie szczędząc przy tym złośliwości.

– W domu tyż tak sprzątasz, ino rynek, a kąty z kocurami zostawiasz?!

W efekcie wszyscy jej unikali i starali się układać swoje godziny pracy tak, żeby mieć z nią jak najmniej do czynienia. Goście, przyzwyczajeni do nadskakujących im właścicieli podobnych przybytków, przyjmowali metody wychowawcze pokojówki ze zdziwieniem, ale o dziwo – podporządkowywali się bez szemrania nakazom i wysłuchiwali kazań ze skruszonymi minami. Tylko brodacz spod dwunastki nie mógł jej wybaczyć upokorzenia w obecności dwóch ślicznotek i ostentacyjnie mijał ją bez słowa, nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem, jakby była niewidzialna.

\*\*\*

Ostatniego dnia pobytu w pensjonacie Justyna pożegnała trzech muszkieterów, którzy wyściskali ją serdecznie, prosząc, żeby szybko wróciła do Drzewia.

– Ta wioska nie jest już taka sama, gdy stąd wyjeżdżasz... – powiedział Jakub. – Smutno się robi i jakoś szaro...

– Mnie też w mieście brakuje waszego towarzystwa. – Uśmiechnęła się. – Na pewno niedługo przyjadę znowu, bo za Leśną Ostoją też tęsknię, chociaż jeszcze nawet nie wyjechałam...

– I obiecaj, że będziesz przynajmniej raz w tygodniu dzwonić! – zawołał Jakub, kiedy już zapaliła silnik.

Wracała do domu, mając głowę pełną wspomnień cudownych chwil na wzgórzu, zapachu łąk i lasu, barw Rajskiej Polany i wesołego towarzystwa trzech muszkieterów.

\*\*\*

Pierwszego dnia po powrocie do Konsultraku Justyna została wezwana do gabinetu prezesa.

– Tak sobie myślę, pani Justyno, że ten nasz pensjonat to chyba będzie trzeba sprzedać – powiedział, kiedy już wypytał ją o nowych pracowników i sytuację w Leśnej Ostoi.

Justyna poczuła dziwne ukłucie w sercu, które ją samą zaskoczyło – w końcu pensjonat nie należał do niej, jakie więc miało znaczenie to, czy prezes go sprzeda? A jednak... miało. Póki właścicielem był Konsultrak, wiedziała, że charakter miejsca zostanie zachowany. A nowy właściciel – kto wie, czy nie zechce przemienić przytulnego starego dworu z duszą na nowoczesne Paradiso z neonami i chromowanymi blatami?

– Ale dlaczego? – zapytała. – Przecież świetnie nam idzie!

Prezes pokiwał głową.

– No i właśnie o to chodzi – odpowiedział. – Inwestycja właściwie już się zwróciła, sama restauracja zarabia fenomenalnie, nawet miejscowi się tam stołują. Obawiam się, że dłużej to wszystko tak nie będzie mogło funkcjonować, mimo nowego personelu i tak dalej. Tam powinien być stały menadżer, a nie co miesiąc nowa władza. Ktoś, kto będzie na miejscu, wszystko ogarnie na bieżąco...

– No niby tak...

– Zresztą rada nadzorcza zaczęła kręcić nosem na to delegowanie pracowników do Drzewia. Wie pani, dodatkowy urlop, wyższe stawki... Będę



musiał pomyśleć nad sprzedażą. No chyba że chciałyby pani zostać tam menadżerką na stałe? – Prezes mrugnął do niej. – Z drugiej strony, za nic na świecie nie chciałbym się pani pozbywać z firmy, więc raczej taka opcja odpada...

Wracała z jego gabinetu z ciężkim sercem. Myśl, że pensjonat miałyby trafić w obce ręce, zabolowała ją bardziej, niż chciała się do tego przyznać. Pokochała to miejsce i czuła, że do niego należy, ale z drugiej strony – nie wyobrażała sobie przeprowadzki i mieszkania tam przez cały rok, z dala od rodziny, przyjaciół i wszystkiego, co tutaj kocha.

Ten nastrój nie opuścił jej już do końca dnia. Jechała do domu tramwajem i nawet nie włączyła żadnej muzyki, tylko patrzyła w okno, zamyślona i smutna. Gdy doszła na swoje piętro, przed drzwiami czekał Eryk.

– Zobaczyłem cię przez okno – wyjaśnił. – I zszedłem, żeby zapytać, co się z tobą działo? Gdzie ty byłaś?!

Spojrzała na niego, zdumiona brzmącą w jego głosie urazą. Pan Foch powrócił w całej okazałości!

– W delegacji.

– Nic mi nie powiedziałaś, że wyjeżdżasz, nie wiedziałem, co myśleć, bo nigdzie cię nie widziałem. Parę razy pukałem, zacząłem się już martwić.

– To wyskoczyło dość nagle, praktycznie z dnia na dzień. Rodzice mają klucze od mojego mieszkania, więc wpadali podlewać kwiatki, dlatego nie zwracałam ci tym głowy.

– Kwiatki?! Czyli do tego, twoim zdaniem, sprowadza się nasz związek?! – Twarz mu poczerwieniała, a oczy ciskały gromy. – Do sąsiedzkich przysług?!

– Jaki związek?! O co ci chodzi?

– O nic, zupełnie. Nie sądziłem, że jesteś taka. – Pobiegł na górę, zostawiając ją osłupiałą. Dopiero głośne trzaśnięcie drzwiami otrzeźwiło ją. Weszła do mieszkania, zastanawiając się, co to właściwie miało być.

# LIPIEC

---

*Prowadź mnie, ścieżko zielona*

*W swoje otwarte ramiona (...)*

*I żeby twe zielone oczy*

*Śniły mi się po nocy...*

ADAM ZIEMIANIN

## Rozdział 19

---

Dzień, który przyniósł mieszkańcom Drzewia wielki wstrząs, rozpoczął się od przyjazdu do pensjonatu Leśna Ostoja czteroosobowej rodziny – małżeństwa z dwojgiem dzieci. Matka maluchów, podczas gdy jej mąż wpisywał dane do formularzy, usiadła na werandzie, rozpięła bluzkę i oboje dzieci, w wieku mniej więcej roku i dwóch lat, przywarło do bujnych piersi kobiety, pijąc łąpczywie. Nastoletni syn gości zajmujących futurystyczny apartament o mało nie przewrócił się na schodach na ten widok. Gdy już odzyskał równowagę, zatrzymał się od niechcenia przy barierce werandy, wyciągnął smartfon i ukradkiem zaczął filmować widowisko, żeby podzielić się nim później z kumplami z gimnazjum.

„A gadali, że będę się nudził!” – parsknął, ale czując, że w spodniach robi mu się coraz bardziej ciasno, uznał, że bezpiecznie będzie opuścić stanowisko. Dzieci w tym czasie zdążyły się już nasycić i dzięki temu w kamerze smartfonu zafalowały na dłuższą chwilę dwie wielkie, wilgotne od mleka i śliny piersi. Nastolatek szybko zniknął w swoim pokoju.

– Gdzie tu jest basen? – zapytał siedzącego w recepcji Krystiana zaczepnym

tonem ojciec rodziny.

– Najbliższy chyba w okolicach Tarnowa – odpowiedział mu spokojnie Krystian. Pogodny stażysta z Konsultraku został wysłany do Drzewia właśnie w lipcu jako ten, który z pewnością poradzi sobie z najazdem turystów.

– Nie macie basenu?!

– A gdzie znalazł pan informację, że mamy?

Mężczyznę zatkało. Patrzył na niego z oburzeniem, ciężko oddychając.

– No wie pan?! To dziś standardowe wyposażenie każdego dobrego hotelu! Domagam się wobec tego zniżki za pokoje!

– Pan zarezerwował pokój w pensjonacie. – Uśmiechnął się Krystian. – Dysponujemy wygodnymi pokojami, zapewniamy miłą, domową atmosferę, pyszną kuchnię oraz w pakiecie – ciszę i spokój w pięknej okolicy. I dokładnie taką ofertę prezentujemy na naszej stronie internetowej. Nie mogę dać panu rabatu za to, że niedokładnie pan ją przejrzał.

– To jest bezczelność! Mariola, wynosimy się stąd natychmiast!

Wyszedł zamaszystym krokiem z recepcji i ruszył w stronę samochodu, ale jego żona nie miała zamiaru nigdzie jechać.

– Weź, nie rób wiochy, Dawid! – zawołała niskim głosem. – Bierz bagaże, a ja zabiorę maluchy i chodźmy wreszcie do pokoju, bo zaraz mi pęcherz pęknie.

– Tata! Siku! – Podchwyciło natychmiast jedno z dzieci.

– Siku! – Zawtórowało mu drugie.

Wobec takiego obrotu sprawy mężczyzna skapitulował i potulnie zabrał walizki, wlokąc je do recepcji, gdzie czekał na niego uśmiechnięty Krystian.

– Jednak państwo zostają? – zapytał ze słodyczą w głosie. – To ja przygotuję rachunek, bo wymagamy płatności z góry.

– Za grzeczny pan jesteś dla tych różnych, co im się we łbach od piniendzy przewróciło! – Oceniała go Stara Kwietniowa, kiedy rodzinka zniknęła

w pokoju. – Basen! Tyż coś... Ja to bym mu dopiero nagadała, już się przymierzałam!

– Wyobrażam sobie... – Krystian posiedział jeszcze chwilę w recepcji, po czym nabrał ochoty na kawę. Pobiegł do siebie na górę i czekając, aż zagotuje się woda, zadzwonił do Justyny.

– Hej, właśnie parzę sobie kawę i pomyślałem o tobie!

– Bo też jestem gorąca i mocna?

– No, coś w tym stylu. A przy tym zawsze dodajesz mi energii!

Zdał jej relację z ostatniej przeprawy z turystami, opowiedział o pensjonacie i wysłuchał biurowych plotek. Pożegnali się, życząc sobie wzajemnie miłego dnia, i Krystian z kubkiem kawy wyszedł z pokoju.

Był już w połowie schodów prowadzących na parter, gdy dostrzegł pokojówkę Anię, wycofującą się gwałtownie z pokoju numer dwanaście, do którego chwilę wcześniej weszła, aby wymienić ręczniki. Zatrzymała się w korytarzu, zastygając w dramatycznej pozie, z jedną ręką przyciśniętą do drżących ust, a drugą wyciągniętą przed siebie. Pod jej stopami leżały ręczniki, które upuściła.

– Co się stało?! – Krystian postawił kubek na schodach, podbiegł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Kobieta drgnęła, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i bez słowa wskazała ręką pokój. Krystian zrobił dwa kroki w kierunku dwunastki i podobnie jak ona zamarł w progu.

– Jezu...

Pod ścianą, obok tapczanu, leżała twarzą w dół kobieta – rozpoznał po ubraniu, że to pani Kwietniowa. Na jej szyi widniała krwawa pręga, z której płynęła strużka krwi, zbierając się na jasnym dywaniku przy łóżku. Tuż obok głowy kobiety leżał duży nóż, właściwie prawie miecz, z ozdobną rękojeścią. W połowie pokoju stał jak skamieniały lokator z dwunastki. Był błydy jak ściana i z niedowierzaniem wpatrywał się w leżące obok łóżka ciało. Kiedy zauważył Krystiana, oczy mu się rozszerzyły, odwrócił się gwałtownie w jego kierunku i wychrypiął:

– Ja tego nie zrobiłem...

Te słowa przywróciły Krystianowi przytomność umysłu.

– Pani Aniu, niech pani zadzwoni po policję! I po karetkę! Boże, a może ona jeszcze żyje?! – Niepewnie podszedł do ciała i pochylił się.

– Przecież tu doktor jest! – Pani Ania nareszcie ożyła. – Ja pójde po niego!

Po chwili pojawiła się ponownie, ciągnąc za sobą starszego mężczyznę, który słabo oponował, tłumacząc, że jest okulista. Kiedy jednak zobaczył, jak wygląda sytuacja, bez wahania kucnął przy leżącej i przyłożył palce do jej szyi.

– Żyje... Ale puls jest słaby – powiedział po chwili, a ujrawszy nóż, zerwał się gwałtownie i spojrzał z przestraszeniem na lokatora feralnego pokoju. Brodacz po raz kolejny pokręcił głową z niedowierzaniem i zapewnił:

– Ja tego nie zrobiłem.

Stali przez kilka minut, patrząc na siebie, niepewni, co dalej robić, aż wreszcie rozległ się sygnał karetki. Pogotowie i policja przyjechały jednocześnie. Pielęgniarze szybko wynieśli nieprzytomną kobietę i odjechali na sygnale, a do pracy przystąpili policjanci. Wyprosili wszystkich z pokoju, nakazując im, aby zgromadzili się na werandzie, i zaczęli zabezpieczać ślady.

– Czyj to nóż? – zapytał młody technik, wychodząc z pensjonatu i unosząc torebkę z dowodem rzeczowym. Przeszedł pomiędzy zgromadzonymi, aby każdy mógł uważnie się przyjrzeć.

Właściciel się nie zgłosił. Wszyscy w milczeniu przyglądali się masywnemu ostrzu, popatrując podejrzliwie na sąsiadów.

– No jak to?

Niski głos drugiej z pokojówek, pani Ewy, zabrzmiał tak nagle w panującej ciszy, że wszyscy aż się wzdrygnęli.

– No przecież to pan spod dwunastki z takim właśnie wielkim kosiorem wczoraj wrócił! Na własne oczy widziałam, jak go niósł i oglądał, słońce tak lśniło w ostrzu, że mnie aż oślepiło, jak okno w jadalni myłam!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku brodaczowi, który stał oparty o barierkę, wpatrując się uporczywie w petunie zwisające z wiklinowego kosza zawieszzonego pod balkonem, jakby rozważał ukrycie się pomiędzy ich kolorowymi kwiatami. Starszy stopniem policjant, który od kilku minut stał w progu pensjonatu, podszedł do mężczyzny i wsparł ręce na biodrach, rzucając mu groźne spojrzenie. Brodacz pokręcił głową.

– Ja tego nie zrobiłem...

– No, to już prokurator ustali! – Policjant ujął go za ramię i pociągnął w kierunku radiowozu. – A na razie pan pozwoli z nami...

– A resztę z państwa proszę o pozostanie w pensjonacie – zakomunikował komendant Kutrzeba, wychodząc na werandę. – Musimy zebrać zeznania i...

– O nie, nie, nie! – zaprotestował stanowczo niewysoki grubasek, dla podkreślenia swoich słów machając energicznie ręką. – My dzisiaj musimy wyjechać, a jeśli ranną jest ta stara ję... to znaczy się ta stara pokojówka, to ktoś ją musiał łupnąć w ciągu tej godziny, a jak tak, to z nas tu co najmniej połowa ma alibi!

– No! W jadalni my siedzieli! – potwierdził tyczkowaty okularnik, a towarzysząca mu bezbarwna szatynka pokiwała skwapliwie głową.

Komendant przez chwilę wyglądał na niezdecydowanego. Coś rozważał w duchu, wreszcie spojrzał na zebranych i zawołał:

– No to plan jest taki. Na komendę was wozić nie będę, bo i tak byśmy się nie pomieścili. Zeznania zbiorę tutaj, nagra się je, aspirant Kazio je na bieżąco przepisuje, państwo podpiszą i się zobaczy, jak to będzie z tym wyjazdem. Zanim się tu miastowe władze zjadą, to zobaczą, jak się pracuje w Drzewiu! Jest tu jakiś komputer z drukarką i pusta sala? – zwrócił się do Krystiana.

– Komputer z drukarką mamy w recepcji, a pusta sala, to chyba najlepiej w świetlicy!

Policjanci szybko urządzili salę przesłuchań i na pierwszy ogień poszła pani Ania, jako świadek, który najwcześniej trafił na miejsce zbrodni.

– Pani Kwietniowa poszła do dwunastki, coby poprawić po mnie sprzątanie, bo ona zawsze dogadywała, że ja niby źle sprzątam. – Zaczęła, zanim komendant zdążył zadać pytanie. – No to ja se pomyślałam, że ręczniki przyniosę. Z kwadrans mi to zeszło, bo do suszarni musiałam po nie iść, a klucza nie wzięłam, to do recepcji trza było się wrócić. No i jakim już do tego pokoju weszła, to on, ten brodaty znaczy, stał taki nad nią pochylony, a ona leżała bez ruchu, tak jakeście ją widzieli. Krew jej się z szyi lała! No i jak mnie zobaczył, to tak podskoczył i zaczął coś bełkotać, więc uciekłam na korytarz i tam pana Krystiana spotkałam.

– A do tego pokoju to pani zapukała, zanim pani weszła?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie! Drzwi nie były domknięte, tom pomyślała, że Kwietniowa tam jeszcze urzęduje i weszłam...

– A czy coś pani widziała albo słyszała podejrzanego?

Zamilkła na moment i zapatrzyła się na stolik za plecami komendanta.

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

– To dziękuję pani.

Krystian, przesłuchiwany jako drugi, potwierdził zeznania pokojówki. Wreszcie przyszła kolej na grubaska, który gorąco protestował przeciwko zakazowi wyjazdu. Usiadł naprzeciwko komendanta z uroczystą, poważną miną, poprawiając raz po raz okulary, które uparcie zjeżdżały mu na czubek nosa.

– No więc siedzieliśmy w jadalni. Od wpół do dziewiątej, aż do waszego przyjazdu.

– Wy, czyli kto?

– No byłem ja, moja żona i dwoje dzieci, ten tyczkowaty gość z myszowatą żoną, no i ten brodaty z dwunastki, coście go aresztowali. Ale on wyszedł, jak nam kawę podawali, czyli koło dziewiątej. A tę starą to widzieliśmy, jak zamiatała werandę, przez cały czas jak śniadanie żeśmy jedli, to się tam



kręciła. Potem wyszedł ten młody, co to niby jest tu właścicielem, pogadał z tymi, co przyjechali, i wszedł do pensjonatu, a zaraz za nim ta stara. No i za nią znowuż ten brodaty. A potem to spokój był, a jak kawę kończyłem, to wyleciała ta pokojówka z kucykiem na głowie i doktora zaczęła ciągnąć. – Klepnął się w czoło. – No bo doktor też z nami od początku siedział, no i jego żona i dzieciaki. I jeszcze takie małżeństwo z wnuczką przyszło, niedługo po tym, jak brodaty stąd poszedł.

Policjantom szybko udało się ustalić, że pani Kwietniowa musiała zostać zaatakowana między 8.50 (kiedy to kelner przyniósł gościom kawę, a Krystian i pokojówka oraz brodacznik zniknęli w środku dworku) a 9.20, bo komórka Krystiana wskazywała, że o 9.10 rozmawiał z Justyną przez 9 minut, a zaraz potem zszedł na dół.

– Wygląda na to, że szybko rozwiążemy sprawę. – Zatarł ręce komendant, kiedy wracali po przesłuchaniu wszystkich świadków do wioski.

\*\*\*

Na komendzie brodacznik – który nazywał się Jan Markiewicz – odzyskał zdolność mówienia i przestał powtarzać tylko „ja tego nie zrobiłem”.

– Chyba nie myślicie, że byłbym tak głupi, żeby trzasnąć tę kobiecinę w moim własnym pokoju, moim własnym nożem?!

– W afekcie człowiek różne rzeczy robi... – odpowiedział filozoficznie policjant prowadzący przesłuchanie, komendant Kutrzeba.

– W jakim afekcie?! – Zdenerwował się brodacznik. – Że ja niby się miałem ku tej babie?! Przecież to starucha!

– W afekcie, czyli w emocjach.

– A... Żadnych emocji nie czułem! Znaczy się, wściekły na nią byłem, bo mi kiedyś wstydu narobiła przed dziewczynami, którym się wyraźnie podobałem, no ale dajcie spokój, żebym miał od razu za to chcieć ją zabić? I to po dwóch tygodniach od tego zdarzenia?

– A dlaczego nie powiedział pan, że to pański nóż?

– No bo sobie pomyślałem, że od razu zaczniecie kombinować, że skoro mój, to na pewno ja jestem sprawcą, tak? No i jak widać – miałem rację...

– No cóż, my policjanci już tak mamy, że jak widzimy gościa z gigantycznym nożem i ciało ze śladami cięcia w jego pokoju, to kojarzymy te fakty na niekorzyść właściciela wzmiankowanego noża...

– To źle kojarzycie! Wy mnie tu przetrzymujecie, a prawdziwy przestępca może kogoś innego teraz zarzyna!

Policjant uderzył pięścią w stół.

– Niech pan mnie nie uczy policyjnej roboty!

Na chwilę zapadło milczenie, po czym komendant zmrużył podejrzliwie oczy i uśmiechnął się nadspodziewanie łagodnie, co w połączeniu dawało prawdziwie upiorny efekt. Jakby sprężona do ataku kobra nagle zaczęła śpiewać kołysankę...

– A ten nóż to taka pana przytulanka? – zapytał, nie spuszczając wzroku z brodacza. – Zawsze go pan ze sobą na wczasy wozi?

Aspirant Wir, który – dla wywołania u przesłuchiwanego dyskomfortu – przechadzał się do tej pory w milczeniu za jego plecami, prychnął rozbawiony. A brodacz wyglądał, jakby w niego piorun trzasnął. Schował twarz w dłoniach i jęknął cicho. Kiedy znów spojrzał na policjanta, w jego oczach widać było strach i poczucie przegranej.

– To nóż myśliwski. Kupiłem go tutaj, na targu staroci – powiedział głosem wypranym z emocji. – Taki gruby chłopak, łysawy, z długim kucykiem, mi go sprzedał. Jestem kolekcjonerem. Od razu zobaczyłem, że to prawdziwe cacko, unikat. Wyczyściłem go, bo trochę był zaniedbany, no i położyłem na tej półce nad tapczanem, żeby jakaś ciekawska sprzątaczką nie zaczęła dociekać, po co mi taki wielki nóż...

– To jak on się znalazł przy ciele pani Kwiecień? I skąd się wzięła rana na jej szyi?

– A to już zagadka dla was – odpowiedział brodac, patrząc na komendanta wyzywająco.

– Taaaaak... A kiedy my będziemy ją rozwiązywać, pan ten czas spędzi, obawiam się, w nieco mniej przytulnym miejscu niż pensjonat Leśna Ostoja... Jest pan zatrzymany pod zarzutem próby zabicia pani Marceliny Kwiecień.

Mimo optymizmu komendanta kolejne dwa dni nie wniosły do sprawy nic nowego poza tym, że Stara Kwietniowa odzyskała przytomność, ale lekarze nie pozwolili policji z nią porozmawiać.

– Rana na szyi to tylko draśnięcie – stwierdził lekarz. – Prawdziwym problemem jest serce.

– Jak to serce? – Aspirant Wir, który czekał w szpitalu na obudzenie się pacjentki, spojrział na lekarza zdumiony.

– Zawału dostała! Pewnie ten atak ją tak zaskoczył, że serce nie wytrzymało. Dobrze, że ją tak szybko znaleźli, bo mogło być krucho...

\*\*\*

Justyna siedziała z Agnieszką w salonie, zaśmiewając się z opowieści przyjaciółki o dziewczynie, która przysłała na rozmowę kwalifikacyjną, mając przyczepiony z tyłu do marynarki rozciągnięty biały biustonosz. Rozmowę przerwało im pukanie do drzwi.

– Cześć – powiedział Eryk, uśmiechając się szeroko, gdy Justyna otworzyła. Widocznie Pan Foch miał dzisiaj wolne... – Mam bilety do teatru na piątkowy wieczór i chciałem cię zaprosić.

– Wejdz. – Justyna nie chciała prowadzić tej rozmowy na korytarzu. Zaprosiła go do kuchni, aby nie wciągać w dyskusję przyjaciółki. – Eryk, ja mam wrażenie, że moje i twoje oczekiwania co do naszej znajomości zupełnie się nie pokrywają. Dlatego myślę, że będzie lepiej, jeśli poprzestaniemy na sąsiedzkich relacjach.

Potrząsnął głową.

– No, na to już chyba za późno – wycedził zimno. – Po tym wszystkim mówisz mi, że jestem tylko sąsiadem?!

– Ale po czym wszystkim?

– Cóż, skoro dla ciebie to było NIC, to chyba rzeczywiście nie mamy o czym rozmawiać. Do widzenia, sąsiadko!

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Agnieszka, która przysłuchiwała się temu zza niedomkniętych drzwi salonu, weszła do kuchni, patrząc na Justynę ze zdumieniem.

– Skąd on się urwał?! Raz byliście na kolacji, a on z tego związek robi?! Chyba że o czymś nie wiem? Było coś więcej?

– Nie było. Nie chciałam tego ciągnąć, bo widziałam, że coś jest nie tak. Mniejsza z tym. Mam nadzieję, że teraz obrazi się na dobre i przestanie mi strzelać fochy przy byle okazji...

Szybko się jednak przekonała, że Eryk nie odpuści tak łatwo. Dwa dni później Justyna została wezwana do gabinetu dyrektora do spraw personalnych. Dyrektor Laskowski był sześćdziesięcioletnim łysiejącym mężczyzną o miłym uśmiechu. Tym razem jednak minę miał poważną, kiedy wskazywał Justynie miejsce naprzeciwko jego biurka.

– Pani Justyno, jest mi trochę niezręcznie mieszać się w pani prywatne życie, ale nie mogę tak zostawić tej sprawy, skoro już weszła na grunt zawodowy. Wczoraj po południu był u mnie pani narzeczony i powiedział, że okrutnie go pani potraktowała, a także postawił zarzut, że romansuje pani z kimś z naszego biura, a wie pani, jaka jest nasza polityka odnośnie do tych kwestii...

Justynę zatkało. Siedziała sztywno na krześle, z niedowierzaniem słuchając słów dyrektora. Wreszcie wzięła głęboki oddech i zapytała, wchodząc mu w słowo:

– Czy to był wysoki brunet z dwudniowym zarostem?

Dyrektor przetarł okulary, wpatrując się w nią ze zdziwieniem.

– A ma pani więcej narzeczonych?

Wstała z krzesła i zacisnęła pięści.

– To nie jest mój narzeczony, tylko sąsiad z urojeniami! Przyczepił się do mnie po tym, jak jeden jedyny raz poszłam z nim na koncert! Nic nas nie łączy! Nawet się nie całowaliśmy! Ja... – Zamilkła gwałtownie, uświadamiając sobie, że wywleka prywatne sprawy przed obcym człowiekiem, na dodatek szefem.

Dyrektor Laskowski podniósł się zza biurka, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Spokojnie, pani Justyno – powiedział łagodnym głosem. – Mnie się ten pan od razu nie spodobał, bo co to za porządki, żeby dorosły mężczyzna skarżył się przełożonemu narzeczonej, zamiast samemu sprawę załatwić! Powiedziałem mu to w oczy, i to w dość ostrych słowach. A teraz, kiedy znam całą prawdę, zgłoszę strażnikom, żeby go nigdy więcej nie wpuszczali! Moja córka też miała takiego prześladowcę. Zatrął jej życie do tego stopnia, że bała się wychodzić z domu! Jeśli będzie pani chciała zgłosić to na policję, to będę świadkiem!

– Dziękuję!

Opuszczając jego gabinet, miała prawdziwy mętlik w głowie. Z jednej strony było jej miło, że znalazła zrozumienie i wsparcie u obcego człowieka, z drugiej – roznosiła ją złość na Eryka, że zrobił coś takiego. Poczowała w kieszeni wibracje telefonu i odebrała odruchowo, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– No i tak dotrzymujesz przyrzeczeń? – Usłyszała męski głos i poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

– Jakich, kurwa, przyrzeczeń?! – wrzasnęła. Na szczęście na korytarzu nikogo nie było, choć w tym akurat momencie w ogóle się tym nie przejmowała. – Niczego ci nie obiecywałam, ty popieprzeńcu!

Zamierzała się rozłączyć, ale gdy zerknęła na wyświetlacz, szybko

przyłożyła telefon do ucha i zawołała zupełnie innym tonem:

– Jakub? Ja cię bardzo przepraszam! Nie sprawdziłam, kto dzwoni, i myślałam, że to... Że... Że to nie ty...

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, kiedy zaczęła już myśleć, że po takim powitaniu po prostu się rozłączył.

– No, jeśli każdego, kto nie jest mną, witasz w taki sposób, to muszę przyznać, że bardzo się cieszę, że jestem mną. Fajnie być mną, wiesz?

Nie mogła się nie roześmiać.

– A tak poważnie, Justynko, to co się dzieje? – W głosie Jakuba słychać było troskę i zdenerwowanie. – Ktoś się ciebie czepia? Masz kłopoty?

Opowiedziała mu całą historię swojej znajomości z Erykiem. Słuchał w milczeniu, raz po raz mruczając tylko pod nosem jakieś przekleństwa.

– Jeśli chcesz, to przyjadę do ciebie i pogadam sobie z tym czubkiem – zaproponował, kiedy skończyła mówić. – Potrafię być naprawdę przekonujący! Mogę nawet zabrać Dominika! Jeśli urządzi mu taką scenę jak żubrowi, to facet może uciec choćby do San Escobar!

Zastanowiła się przez chwilę.

– Na razie chyba nie będzie takiej potrzeby – powiedziała. – Dziękuję ci, ale postaram się sama to załatwić. Ale jakby co, będę pamiętać o twojej ofercie! Fajnie, że zadzwoniłeś, poprawiłeś mi nastrój, a już myślałam, że do wieczora będę wściekła...

– Chętnie służę! Zawodowo poprawiam nastroje!

Dobry nastrój zdążył jednak prysnąć, zanim skończyła pracę. Wracała do domu, czując, jak buzują w niej emocje. Ominęła swoje mieszkanie i pobiegła na wyższe piętro, gotowa natychmiast skonfrontować się z Erykiem, ale jej dzwonenie i pukanie nie przyniosło rezultatów. Nie było go albo udawał, że go nie ma. Wróciła do siebie i nastawiła płytę Marii Peszek, która zawsze ją wyciszała.

„Nie uda mu się unikać mnie w nieskończoność” – pomyślała. „Jeszcze

sobie z nim pogadam! A może odpuści po tym, jak go Laskowski spuścił po brzytwie...”.

## Rozdział 20

---

Krystian obawiał się, że dokonana w pensjonacie próba zabójstwa sprawi, że goście natychmiast wyjadą, jednak większość uznała najwyraźniej, że zamach skierowany był przeciwko konkretnej osobie, a skoro policja ma już podejrzanego, to szkoda sobie psuć urlop. Wyjechała tylko starsza pani, która przyjechała wypocząć z wnuczką, a młode małżeństwo skróciło pobyt o jeden dzień. W skrzynce e-mailowej czekały jednak aż cztery rezerwacje, więc wyglądało na to, że przestępstwo nie odbije się na frekwencji w Leśnej Ostoi.

Po południu zadzwonił policjant, informując, że pokój można już udostępnić gościom, więc Krystian poszedł na piętro, żeby przyjrzeć się, jak wszystko wygląda. Zabrał ze sobą figurkę drewnianego anioła, którą rano wręczyła mu pani Wandzia, prosząc, aby ustawił ją w feralnym pokoju – na odstraszenie złej energii.

– Jest poświęcona – powiedziała. – Nawet jeśli pan w to nie wierzy, nie zaszkodzi jej postawić na którejś z półek...

Pokój nie wymagał wielkiego sprzątnia, ale ponieważ na podłodze przy łóżku były podejrzenie wyglądające ślady, Krystian postanowił sam to umyć.



Nie chciał, aby któraś z pań zajmowała się czymś takim, a Mikołaj Szczęsny miał dziś ranną zmianę i już poszedł do domu.

Krystian postawił na półce nad łóżkiem drewnianego anioła i poszedł po zestaw do sprzątania. Szybko umył podłogę, po czym uchylił okno, bo miał wrażenie, że w pokoju czuć dziwny, niezbyt przyjemny zapach. Kiedy odwrócił się od okna, zauważył pod tapczanem jakiś błysk. Schylił się i poświecił telefonem, ale trudno było stwierdzić, co to takiego. Wyglądało jak broszka albo spinka. Próbował dosięgnąć ręką, ale tapczan był za szeroki. Złożył go więc, podnosząc do góry część z materacem, po czym położył się na podłodze i wsunął pod łóżko kij od mopa. Jego czubkiem udało mu się dosięgnąć błyszczącego przedmiotu, zaczął więc intensywnie poruszać kijem, aż w końcu wymiół to coś spod łóżka.

– Bingo!

W chwili gdy błyszczący przedmiot znalazł się prawie na środku pokoju, Krystian poczuł uderzenie w głowę. Nie było mocne, ale wystraszyło go porządnie. Zerwał się na równe nogi i odwrócił gwałtownie, gotów odeprzeć ewentualny atak, jednak w pokoju nikogo poza nim nie było. Rozejrzał się z niedowierzaniem i podrapał w głowę.

– Co jest grane? – powiedział do siebie i wówczas zauważył coś, co sprawiło, że odetchnął z ulgą. Pod jego nogami leżał drewniany anioł.

– A, czyli to ty próbowałeś mnie znokautować? – Krystian podniósł figurkę i ustawił ją na miejscu, jednocześnie opuszczając tapczan. Półka nad łóżkiem drgnęła i anioł zachybotał się gwałtownie.

Krystian patrzył przez chwilę na chwiejącą się figurkę i nagła myśl, która wpadła mu do głowy, sprawiła, że mocniej zabiło mu serce. Podniósł z powrotem materac na tapczanie i pchnął go mocno kolanem. Uderzona końcem materaca półka zachwiała się i anioł ponownie wylądował na ziemi.

– A niech to... Czyżby? – Krystian sięgnął po telefon i zadzwonił do komendanta Kutrzeby.

Policjanci pojawili się w ciągu kilkunastu minut. Mieli już trochę dość tej

sprawy, sołtys ciągle wypytywał o wyniki, prokurator marudził, że poszlaki to nie dowody, podejrzany szedł w zaparte, a poszkodowana, kiedy wreszcie lekarze pozwolili z nią porozmawiać, stwierdziła, że nic nie widziała.

– Żem tylko chciała coś wymieść spod łóżka, takie błyszczące niby leżało, no i wtedy mnie ktoś od tyłu ciachnął w szyję – powiedziała ze złością. – Co to za ludzie teraz na tym świecie! Człowiek spokojny, nikomu nie wadzi, ze wszystkimi zawsze w zgodzie żyje, a tu takie coś...

– Jaki człowiek? – zapytał tonem niewiniątka Dominik Wir.

Kwietniowa spojrzała, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– No, ten taki spokojny, co w zgodzie ze wszystkimi żyje... O kim pani mówiła?

Starsza pani zmarszczyła brwi i fuknęła:

– O sobie przecież! Że też takich głuptoków do policji teraz bierą...

Telefon od Krystiana, który ostrożnie wyjaśnił, że być może ma pewien nowy trop, był więc miejscowej policji jak najbardziej na rękę, dlatego do pensjonatu pofatygował się nie tylko aspirant Wir, ale też komendant i technik. Krystian poprosił ich, aby stanęli w drzwiach, po czym powtórzył całą sekwencję ze sprzątaniami pod łóżkiem. Kiedy anioł spadł – tym razem na jego plecy – podniósł się triumfalnie i spojrzał na policjantów wyczekująco.

– Tak... Brawo... Świetna sztuczka – stwierdził zgryźliwie technik. – Zadzwonił pan po nas, żeby pokazać, jak zrzuca sobie na plecy figurkę? Czy żebyśmy zaświadczyli, że pan porządnie sprząta pod łóżkiem?

– Ty serio nie chwytasz? – Dominik Wir był na twarzy aż czerwony z emocji.

– Teraz to była figurka, a trzy dni temu – komendant zawiesił efektownie głos – mógł być nóż.

– O, kurwa! Że niby on sam jej tak przyładował, bez pomocy z zewnątrz?

– No, a babina się przelekła i dostała zawału...

– Ale po cholere by tak pod tym łóżkiem grzebała?

Dominik Wir spuścił wzrok i złapał się za głowę.

– Szlag by to... Nie napisałem tego w raporcie! – powiedział ze skruchą. – No ze łba mi jakoś wyleciało! Ona mówiła, że coś pod łóżkiem zobaczyła, jakieś błyszczące takie...

Krystian wskazał palcem na leżącą na stoliku nocnym bransoletkę z kolorowych szkiełek.

– Udało mi się to wymieść kijem od mopa – powiedział.

Aspirant Wir wrócił na komendę po nóż, po drodze dzwoniąc do prokuratora, który obiecał, że dojedzie w ciągu dwóch godzin. Usiedli więc wszyscy razem w holu pensjonatu i Krystian poczęstował ich kawą. Prokurator przyjechał na tyle szybko, że zakiełkowało im w głowach podejrzenie, że musiał co najmniej dwukrotnie przekroczyć dopuszczalną prędkość. Wysłuchał ich relacji z niedowierzaniem, aż wreszcie komendant pociągnął go na górę i sam zaprezentował ich wersję zamachu na panią Kwietniową. Kiedy Dominik popchnął rozłożony tapczan, nóż spadł na ziemię, ciężkim ostrzem w dół. Powtórzyli tę próbę trzykrotnie, po czym pojechali do szpitala, żeby jeszcze raz porozmawiać z niedoszą ofiarą.

– A wiecie, tak żem se przypomniała, że jak weszłam do tego pokoju sprzątać, to drzwi zamkłam – powiedziała, kiedy tylko przekroczyli próg jej sali. – Znaczy nie na klucz, ino na klamkę, bo przeciąg był. No to tak se myśle, że jakby kto wszedł w trakcie, to bym usłyszała, bo te drzwi skrzypio jak w lochu jakimś. Żem to miała potem masłem nasmarować, bo aż wstyd, żeby tak piszczalo w eleganckim pensjonacie...

– Czyli była pani w pokoju sama? – upewnił się aspirant Wir.

Łypnęła na niego spod oka.

– Jak sama?! – Zachnęła się. – No widać czaił się już w środku, chyba! Bo co, myślis, głupotku, żem sama się tym kosiosem w szyję dźgnęła?!

– A pod łóżkiem pani jak sprzątała? – Komendant zmienił temat. – Podniosła pani ten materac?

Przewróciła oczami i pokręciła głową, jakby pytali o rzeczy oczywiste.

– A co? Myślicie mnie aresztować, że nieporządnie sprzątam? – warknęła. – Pewnie, że żem materac podniosła, on szeroki jest, to jak się nie podniesie, śmieci kupa zostaje. Mówiłam to tym drugim, co niby tyż sprzątają w pensjonacie, ale takie to tylko myślą, żeby szybko skończyć, a dokładnie być nie musi!

– I kijem pani pod łóżkiem grzebała? – zainteresował się prokurator.

Pani Kwietniowa zacisnęła usta w wąską kreskę, teraz już wyraźnie zirytowana.

– No grzebałam! – Popatrzyła na nich wyzywająco. – Nie wolno?! Coś tam mi migło błyszczącego, to myślę se, może kto z gości co zgubił. No i kijem machłam, a potem ten zatracony bandzior mnie tą kosą w szyję dźgnął!

Wyjaśnienie sprawy prawie wszystkim mieszkańcom Drzewia sprawiło dużą ulgę. Przestali oglądać się za siebie i patrzeć podejrzliwie na sąsiadów oraz złorzeczyć właścicielom pensjonatu, że sprowadzili do Drzewia przestępcę. Jedyłą niezadowoloną była Stara Kwietniowa, która nie przyjęła do wiadomości ustaleń prokuratury i policji.

– Jak tam swoje wiem! – mówiła każdemu, kto się napatoczył pod rękę. – Ten cały brodacz pewnie zna jakiegoś ministra, więc mu się nawet morderstwo daruje!

Nikt nie wdawał się w dyskusje i nawet nie próbował prostować, że przecież nie było morderstwa, bo z Marceliną Kwiecień lepiej było nie zaczynać sporów. Starsza pani opuściła szpital po tygodniu, ku ogromnej uldze całego personelu, który co dzień musiał znosić uwagi na temat ohydneho jedzenia („Nawet świniaki by się tego nie chwyciły!”), niestaranego sprzątania („Takim mopem to się nigdy dokładnie nie umyje! Na kolanach, ze szmatą, to jest prawdziwe sprzątanie!”) oraz metod leczenia („Na kręgosłup to nie łoperacje, ino okłady z pokrzyw abo kapusty robić, a wy nic, tylko kroić byście ludzi chcieli, rzeźniki jedne!”). Ulgę odczuli też pracownicy pensjonatu, bo rekonwalescentka uznała, że nie ma co wracać do tego miejsca, skoro policja działa tak nieudolnie.

– Kto wie, czy ten zbój nie wróci, żeby dokończyć dzieła?! A jak ja, biedna, starowinka, się obronię?

\*\*\*

Ten lipcowy wieczór zapowiadał się spokojnie i żadne znaki na niebie i ziemi nie wróżyły rewolucji. Justyna późno wróciła z pracy, bo po wyjściu z Konsultraku spotkała się z dwiema koleżankami ze studiów i przegadały w kawiarni prawie trzy godziny. Przez moment, kiedy wychodziła do toalety, miała wrażenie, że za jednym z marmurowych filarów, które zdobiły wnętrze kawiarni, mignęła jej twarz Eryka, ale gdy wracała, nikogo już tam nie było.

„Skąd niby miałby wiedzieć, że tu jesteś?” – przekonywała się w myślach. „To po prostu ktoś podobny do niego...”.

Wróciła do mieszkania, włączyła płytę *Zalewski śpiewa Niemena* i nucąc pod nosem wraz z wokalistą: *Przyjdź w taką noc*, zaczęła przeglądać korespondencję. Widząc znajomą czerwoną kopertę, poczuła lekki niepokój, który pogłębił się, gdy otworzyła list:

*Wiele jestem w stanie wybaczyć z miłości. Ale istnieje granica. Jeśli ją przekroczysz, przestanę znosić wyrządzane mi krzywdy! UWAŻAJ, bo zbliżasz się do jej przekroczenia!*

– Umieram ze strachu – mruknęła i dorzuciła kartkę do stosu rosnącego w szufladzie, po czym poszła zmywać makijaż. Była w trakcie nakładania kremu pod oczy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Ruszyła do przedpokoju w bojowym nastroju, obiecując sobie, że jeśli to Eryk, wygarnie mu wreszcie, co o nim myśli. Nie udało jej się go spotkać od momentu, gdy odwiedził jej dyrektora, choć wielokrotnie pukała do jego drzwi. Otworzyła gwałtownym ruchem, ale na klatce schodowej nie stał sąsiad, tylko jej rodzice i brat.

– Siemka, sister! – Przywitał się Łukasz.

Po chwili wszyscy siedzieli w salonie. Justyna chciała zaparzyć herbaty, ale brat mrugnął do niej i szepnął:

– Wypijemy coś innego, tylko najpierw powiem wam nowinę.

Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco, a on napawał się tym zainteresowaniem. Widać było jednak, że sam chce jak najszybciej wyrzucić to z siebie, bo wkrótce przestał robić tajemnicze miny i powiedział:

– Pamiętacie może, jak pod koniec roku mówiłem wam, że pracuję nad programem zabezpieczania danych? Na międzynarodowy konkurs?

Zgodnie pokiwali głowami. Łukasz opowiadał im o tym konkursie setki razy, próbował nawet tłumaczyć zawłości swojego programu, ale niewiele im to mówiło.

– Otóż dwa dni temu dowiedziałem się, że... ja ten konkurs wygrałem!

Zgotowali mu owację na stojąco, ale on skłonił skromnie głowę i uciszył ich królewskim gestem, bo najwyraźniej jeszcze nie skończył.

– Dziękuję, dziękuję! – zawołał tonem gwiazdora odbierającego Oscara. – Ale to nie koniec nowin! Nie powiedziałem wam od razu, bo jak zobaczyłem kwotę tej nagrody, to mi szczęka opadła i musiałem się upewnić, że to nie ściema. I wiecie co?! To nie ściema! Jestem obrzydliwie bogaty!

Patrzyli na niego oszołomieni.

– Też tak zareagowałem! Chciałem do was wczoraj jechać z nowiną, jak już sobie wszystko w głowie poukładałem, no i wtedy... Zadzwoił do mnie facet z dużego europejskiego koncernu i zaproponował, że kupią ode mnie licencję na ten program. Zaoferował mi taką kwotę, że wyjąkałem tylko, że się zastanowię, bo myślałem, że padnę trupem na miejscu. I dobrze się stało, bo po niecałej godzinie zadzwonił facet z innej firmy i zaproponował jeszcze więcej...

Nikt się nie odezwał.

– Razem z kasą, którą dostałem na początku roku za te audyty bezpieczeństwa informatycznego, które mi zlecono, mam ponad półtora

miliona złotych! A jeszcze szykują mi się nowe audyty pod koniec roku, też nieźle płatne. Rozumiecie?! I zgromadziłem was tutaj, bo chcę, żebyście mi powiedzieli, co myślicie o moim planie wydania tej sumy.

– No wiesz, to twoja kasa – zaczęła ostrożnie Justyna, do której jeszcze nie dotarła wysokość wymienionej przez Łukasza kwoty. – Ale jakbyś miał problem, co z nią zrobić, to ja ci chętnie pomogę. Jestem bardzo dobra w wydawaniu!

Brat zaśmiał się.

– Ja też mam w tej dziedzinie pas mistrzowski... I dlatego tę akurat kasę chciałem zainwestować w coś konkretnego, żeby mi się jak zwykle nie rozeszła na podróże i gadżety. Pierwszą rzeczą, która mi przyszła do głowy, był... dom. Duży, ładny dom, położony w jakimś pięknym miejscu. Taki, do którego będziemy przyjeżdżać na urlopy, weekendy i takie tam.

– Byłoby cudownie! – Mama uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– No i rzeczywiście, to byłaby konkretna inwestycja i zabezpieczenie na przyszłość! – dodał tata.

– A przy tym nie mógłbyś już się wymigiwać od spacerów, mówiąc, że jest smog! – wytknęła mężowi Elżbieta Milska. – Dobry pomysł! A masz już coś na oku?

– Nie, ale sądzę, że powinien stać w miarę blisko od naszego miasta, no i w miejscu, które nie jest zbyt oblegane przez turystów...

– Kup Leśną Ostoję! – wyrwało się Justynie z głębi serca, nieoczekiwanie dla niej samej.

Zapadła cisza.

– Pensjonat? – Łukasz smakował to słowo, jakby słyszał je po raz pierwszy w życiu. – Eeee, do tego to ja się nie nadaję... Codziennie w tym samym miejscu, uwiązany przez całą dobę... I jeszcze tyle papierkowej roboty...

– Mógłbyś przecież zatrudnić menadżera! – przekonywała go Justyna. – A sprawami księgowymi zająłby się tata. Ja bym też pomogła! Drzewie jest

blisko, można tam spokojnie w każdy weekend podjechać i sprawdzić, czy wszystko gra. No i przy okazji miałbyś niezły dochód, prezes mówił, że zyski są duże!

– Na pensjonat to tej kasy pewnie nie wystarczy!

– Moglibyśmy dorzucić pieniądze ze sprzedaży mieszkania po moich rodzicach – wtrącił Piotr Milski. – Na razie leżą na lokacie...

– No widzisz! Ja też mam trochę oszczędności! Zrobimy rodzinną zrzutkę!  
– dodała Justyna.

Łukasz zamyślił się głęboko, marszcząc czoło. Potem popatrzył na siostrę i stwierdził:

– Wiesz co? Jak tak o tym mówisz, to faktycznie zaczyna brzmieć coraz lepiej... Okolice ładne, cisza i spokój, no i blisko od domu, więc nie byłaby to wielka rewolucja... I rzeczywiście na weekendy można czasem wpadać...

Chodził przez chwilę po pokoju, jak tygrys w klatce. Wreszcie zatrzymał się przy oknie i pokręcił głową.

– Ale to jednak trudne do zrealizowania – powiedział. – No bo musiałbym szukać kogoś zaufanego na tego menadżera, zawracać sobie głowę rozmowami kwalifikacyjnymi... Nie wiem, czy mi się chce. Ja nawet myślałem o tym, żeby sprzedać mieszkanie i do tego kupionego domu się przeprowadzić, bo i tak ciągle jestem w rozjazdach, ale z pensjonatem to się chyba tak nie da... A mnie nie uśmiecha się jeszcze zarzucanie kotwicy...

Elżbieta i Piotr Milscy od dłuższego czasu wymieniali dziwne spojrzenia, słuchając przemowy syna. Teraz, kiedy Łukasz zamilkł, odezwała się pani Ela.

– Może nie musiałbyś niczego zarzucać... Justynka ma rację, moglibyśmy się umawiać, żeby w każdy weekend ktoś z rodziny tam był... Wtedy nie byłbyś tak mocno uwiązany...

Łukasz spojrzał na mamę ze zdumieniem.

– No, to teraz mam już zupełnie mętlik w głowie, bo skoro moja rozsądna



mama tak mówi, to chyba coś w tym jest...

– Ach, w tym przypadku mój rozsądek ma mało do powiedzenia! Bo widzicie, jak tam byliśmy u Justynki w Drzewiu, to ja tak sobie myślałam, jak cudownie by było mieszkać w takim miejscu... Móc wyjść bosą do ogrodu, posiedzieć z książką na werandzie, posłuchać jak ptaki śpiewają albo pospacerować po lesie...

Piotr Milski pokiwał głową, patrząc na żonę z zainteresowaniem.

– Jak ja się tam dobrze czułam! – ciągnęła Elżbieta. – Ani razu mnie głowa nie bolała! I energii miałam tyle od rana! Wasz tata zresztą też... – Zarumieniła się lekko, a jej mąż uśmiechnął się do wspomnień, które przywołała, co ich dzieci skwitowały zmarszczeniem brwi i zniesmaczonymi minami.

Łukasz spojrzał na Justynę, jakby właśnie sobie o czymś przypomniał.

– A tak w ogóle, to przecież lichy wie, czy ten twój prezes będzie chciał się pozbyć dworku – powiedział. – W końcu mówiłaś, że przynosi dobre dochody. No i dopiero co go kupili.

Justyna opowiedziała mu o dylematach prezesa.

– Sam już nie wiem... – stwierdził Łukasz. – W pierwszej chwili twój pomysł wydał mi się bez sensu, a teraz mam wrażenie, jakby wszystko wokół wołało: „Kup ten pensjonat!”...

– Hej, spokojnie. To twoja kasa i zrobisz, co zechcesz. Skoro nie chcesz pensjonatu, to ja cię nie będę zmuszać.

Pokiwał głową.

– No ale sama pomyśl! Prezes chce go sprzedać, a ja akurat mam taką kasę i myślę o kupieniu nieruchomości! To wygląda trochę jak zrządzenie losu, chociaż nie wierzę w takie rzeczy...

Chodził jeszcze przez chwilę po pokoju, a rodzice i siostra przyglądali mu się z zainteresowaniem, bo widać było, że intensywnie myśli, planuje, zastanawia się. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał na Justynę roziskrzonym

wzrokiem.

– Wiesz co? Pogadaj jutro z tym twoim prezesem! Zdamy się na los – powiedział. – Jeśli zaczniesz robić trudności albo rzuci jakąś absurdalną kwotę – olejemy sprawę i zacznę sam czegoś szukać. A jeśli się zgodzi, to... No wtedy faktycznie poszukam jakiegoś menadżera i zobaczymy, jak będzie. Skoro teraz wszystko działa jak należy, to czemu nam ma się nie udać?

Po wyjściu rodziców i brata Justyna nie myślała już o problemach z sąsiadem. Długo nie mogła zasnąć, bo wizja kupienia Leśnej Ostoi wywoływała w niej szybkie bicie serca.

Następnego dnia odbyła rozmowę z prezesem, który nie krył zdumienia, ale i zadowolenia, że trafia mu się oferta kupna Leśnej Ostoi. Rozmawiał do tej pory niezobowiązująco z trzema kontrahentami, ale ich warunki nie do końca mu odpowiadały. Przedstawił więc Justynie ofertę, dając dwa tygodnie na rozważenie umowy.

# SIERPIEŃ



*Jeśli chcesz być tam, gdzie nigdy nie byłeś, musisz iść drogą, którą nigdy nie  
szedłeś. Jeśli chcesz osiągnąć to, czego nigdy nie miałeś, musisz robić to,  
czego nigdy nie robiłeś.*

DOMINICK CONIGULIARO

## Rozdział 21

---

Marzena i Paweł przez całą drogę do Drzewia milczeli. Ona oparła głowę o szybę i zamknęła oczy, udając, że śpi, on zaciskał kurczowo dłonie na kierownicy i mechanicznie wykonywał polecenia nawigacji.

„Po cholere ja z nim jadę?!” – ta myśl uparcie krążyła po głowie Marzeny. Podobna rozbrzmiewała także w głowie jej męża Pawła – i był to pierwszy raz od ładnych paru lat, kiedy byli zgodni w jakiejś kwestii.

Byli małżeństwem od siedmiu lat i mimo że nie był to jakiś wyjątkowo imponujący staż, wystarczył, aby stali się sobie nie tylko obcy, ale wręcz zaczęło im przeszkadzać we współmałżonku wszystko: od koloru włosów po sposób poruszania się i sam fakt, że oddycha.

„Co się z nami porobiło?” – zastanawiała się, zerkając spod w półprzymkniętych powiek na Pawła.

Kiedy się poznali, oboje byli po trzydziestce, oboje mieli za sobą kilka nieudanych związków i marzyli o tym, żeby wreszcie znaleźć swoją drugą połowę i spłodzić potomka. Kiedy zorientowali się, że mają podobne

priorytety – dość szybko zakończyli etap randek i wyznaczyli datę ślubu. Marzena uwielbiała powagę Pawła, kręciła ją jego rozważa i powściągliwość, miała ogromną satysfakcję, gdy udało się jej go rozbawić. Paweł zachwycał się jej spontanicznością, poczuciem humoru i pogodą ducha. Po ślubie, kiedy minął kolejny rok i ze starań o dziecko nic nie wychodziło, frustracja sprawiła, że Paweł zaczął jej się wydawać nudnym sztywniakiem, a Marzena jemu – niedojrzałą trzpiotką.

– Kobiecie prawie czterdziestoletniej nie wypada tak głośno rechotać na ulicy – strofował ją w tych nielicznych chwilach, gdy gdzieś razem wychodzili. Zresztą dość szybko z takich wyjść zrezygnowali. Jediną imprezą, na którą chodzili regularnie, były imieniny jego matki Małgorzaty, które obchodziła z wielką pompą. I właśnie te imieniny sprawiły, że teraz jechali razem do pensjonatu Leśna Ostoja, w którym Paweł – na co dzień pracujący w dziale prawnym Konsultraku – miał przez miesiąc sprawować nadzór. Wystarczyło, że wspomniał przy stole o tym zadaniu, gdy solenizantka rozpromieniła się i zawołała z entuzjazmem:

– Ach, to cudownie! Czyli pojedziecie razem, prawda? – Spojrzała na Marzenę. – No bo ty jako nauczycielka masz przecież wolny sierpień!

Marzena uczyła języka polskiego w liceum i rzeczywiście miała długie wakacje.

– W ostatnim tygodniu sierpnia wracam do pracy – powiedziała i od razu ugryzła się w język. Mogła przecież wymyślić, że przez cały sierpień prowadzi jakieś kółko czy warsztaty!

– Czyli macie dla siebie trzy tygodnie! – Teściowa rozplęwała się ze szczęścia. – Wspaniale! Tak dawno nigdzie nie wyjeżdżaliście! To my wam będziemy co drugi dzień podlewać kwiatki i wietrzyć mieszkanie.

– Ale ja tam przecież jadę do pracy... – próbował interweniować Paweł, jednak bez przekonania. Wiedział, że kiedy jego matka wpadła na jakiś pomysł, żadna siła nie mogła jej powstrzymać od realizacji. I rzeczywiście.

– Do pracy! – Prychnęła. – A przecież sam mówiłeś, że prezes zatrudnił recepcjonistkę, pokojówki i całą obsługę – więc na pewno będziecie mieli dla

siebie mnóstwo czasu!

I tak właśnie wylądowali na wspólnych wczasach. Oni, którzy od lat nie dzielili nawet tej samej sypialni – jakiś czas temu Marzena przeniosła się do mniejszego pokoju, mówiąc, że nie chce bez sensu budzić Pawła, bo zaczyna pracę wcześniej niż on.

Trzy dni przed wyjazdem Marzena spotkała się z przyjaciółką – Lidką.

– Chyba powiem teściowej, że się rozchorowałam – stwierdziła. – Jakąś grypę żołądkową wymyślę czy coś. Po co ja tam z nim pojedę? Nas już nic nie łączy. Od dwóch lat zbieram się do tego, żeby wreszcie złożyć wniosek o rozwód.

Lidka popatrzyła na nią z powagą.

– A może potraktuj to jak ostatnią szansę na ratowanie waszego małżeństwa?

Marzena zakrztusiła się kawą.

– Nie wiem, czy jest jeszcze co ratować...

– No to zrób eksperyment! Może gdy będziecie z dala od codziennych obowiązków, wśród pięknej przyrody, coś się w was na nowo obudzi?

Marzena patrzyła na nią z powątpiewaniem, ale entuzjazm i pozytywne nastawienie Lidki były zaraźliwe.

– Chodź! Ratowanie najlepiej zacząć od nowych ciuchów! Nawet jak nic z tego nie wyjdzie, to zostanie ci parę ładnych sukienek! – Przyjaciółka wstała od stolika, zapłaciła za kawę i pociągnęła Marzenę do butiku, w którym trwała sezonowa wyprzedaż. W efekcie Marzena wróciła do domu z kilkoma letnimi sukienkami w żywych kolorach – dla niej, która do tej pory nosiła sportowe bluzy i dżinsy, była to prawdziwa rewolucja. Za namową przyjaciółki kupiła też klapki i śliczne sandaalki oraz komplet seksownej bielizny i frywolną nocną koszulkę.

Dzień przed wyjazdem postanowiła też zmienić fryzurę. Od lat upinała swoje długie włosy w praktyczny kok, więc fryzjerka zaproponowała jej

modne obcięcie. Wyczarowana przez nią półdługa fryzura była bardzo twarzowa i Marzena ze zdumieniem stwierdziła, że odmłodziła ją o ładnych parę lat. Jej zachwyty nad nowym wizerunkiem zgasił Paweł w dniu wyjazdu, mierząc ją krytycznym wzrokiem.

– Coś ty na siebie włożyła? – powiedział, patrząc na zieloną sukienkę z krótkim rękawkiem i fioletowe sandały. – Pożyczyłaś ciuchy od swoich uczennic?

Nic nie odpowiedziała. Przez te siedem lat nauczyła się już puszczać mimo uszu jego złośliwości, ale tym razem Paweł nie zamierzał jej zbyt szybko odpuścić.

– A te włosy... – Pokręcił głową z niedowierzaniem, kiedy już siedzieli w samochodzie. – Pozwoliłaś komuś pozbawić cię jedynej twojej ozdoby i jeszcze mu za to zapłaciłaś...

W tym momencie wiedziała już, że z ratowania małżeństwa nic nie wyjdzie. To były zgłiszcza – nie zostało nic, co można by było spróbować odbudowywać. Powinna była wysiąść z samochodu i wrócić do mieszkania, ale Paweł już skręcił w główną ulicę i dodał gazu. Wtedy zrodził się w niej bunt.

„Mów sobie co chcesz!” – pomyślała, opierając głowę o szybę. „A ja będę się tam dobrze bawić! To moje wakacje!”.

Po przyjeździe do Leśnej Ostoi stała przez chwilę przed werandą, zachwycając się wyglądem dworku. Weranda mieniła się bajecznymi kolorami pnących pelargonii, werben, surfinii i petunii, drzewa w ogrodzie oszalały bujną zielenią, a krzewy jadalnej róży pokryły się owocami.

– Ślicznie! – powiedziała do siebie Marzena, wdychając zapach kwiatów i ziół.

Potem nie spiesząc się, weszła do recepcji, ciągnąc za sobą walizkę. Paweł zdążył już porozmawiać z obsługą i właśnie szybkim krokiem zmierzał na piętro, nawet się na nią nie oglądając.

– Czy znajdzie się dla mnie wolny pokój? – zapytała Marzena, patrząc na

recepjonistkę z nieśmiałym uśmiechem.

– To państwo nie są razem? – Zdziwiła się kobieta. – Pan dopłacił za pani pobyt i wyżywienie.

Marzena pokiwała głową.

– No tak – szepnęła, pochylając się w stronę recepcjonistki. – Ale wymyśliliśmy z mężem taką grę, że niby jesteśmy zupełnie obcy i tutaj dopiero się poznajemy... Wie pani, chcemy trochę ożywić nasz związek. Osobne pokoje dodadzą temu pikanterii.

Recepjonistka uśmiechnęła się szeroko.

– Mamy dwa wolne pokoje na strychu. Do jednego za dwa dni przyjedzie samotny pan, ale za to drugi jest zarezerwowany dopiero od przyszłego poniedziałku, więc przez tydzień uda się państwu grać nieznanym.

– Fantastycznie!

Z kluczami w dłoni Marzena ruszyła po schodach na górę. Pokój ją zachwyił. Był duży i widny, choć obawiała się, że na strychu będzie problem z oświetleniem. Z okna roztaczał się wspaniały widok na piękny ogród otaczający pensjonat. Rozpakowała się szybko, odświeżyła w łazience i zeszła do ogrodu, aby dokładnie obejrzeć go z bliska i poczuć jego oszałamiający zapach. Zauważyła rozciągnięte między drzewami dwa hamaki i zrodziła się w niej ogromna chęć, żeby się w nich pobudzić, ale niestety – były zajęte przez dwie rozchichotane dziewczyny.

„Trudno, na pewno jeszcze trafi się okazja...” – pomyślała.

Bujanie się w hamaku wydało jej się kwintesencją wakacyjnej bez troski i swobody.

– Co ty wyrabiasz?! Włóczysz się po ogrodzie, zamiast rozpakować walizkę? Może mam ci ją wnieść do pokoju, hrabino? – Paweł stał kilka kroków za nią, w swoim „swobodnym stroju”, na który składały się spodnie od garnituru i biała koszula z długim rękawem.

– Nie, dziękuję, milordzie – odpowiedziała pogodnie. – Już się



rozpakowałam. Wynajęłam osobny pokój. Nie przejmuj się mną. Najlepiej w ogóle nie zwracaj na mnie uwagi!

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział, tylko machnął ręką i odszedł do recepcji, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa. Po tym, w jaki sposób wyprostował ramiona, widziała, że jest wściekły.

Marzena pospacerowała po ogrodzie, aż poczuła się głodna. Weszła do jadalni, zajęła pojedynczy stolik i poprosiła o obiad. Kiedy kończyła posiłek, do jadalni wszedł Paweł. Stanął nad jej stolikiem.

– Próbujesz mnie skompromitować w oczach pracowników? – wysyczał.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Nie. Próbuję odpoczywać. Czego i tobie życzę.

– Co to za pomysł z osobnymi pokojami? Odbiło ci zupełnie?!

– Nie, właśnie wrócił mi rozum... – odpowiedziała. Wstała od stolika i szybkim krokiem wyszła z jadalni.

Następnego dnia Marzena zaraz po śniadaniu zamierzała poleniuchować w hamaku, ale okazało się, że znów się spóźniła – obydwie hamaki okupowało małżeństwo z małą córeczką.

„Ech, muszę chyba wcześniej wstawać...” – pomyślała i wybrała się na wycieczkę do lasu. Zawsze lubiła takie wyprawy, ale odkąd wyszła za Pawła, musiała zrezygnować z tej przyjemności, bo Paweł nie znosił lasu, miał uczulenie niemal na wszystko, co wokół rosło, a jedyny kontakt z przyrodą, jaki tolerował, to były filmy na Discovery.

„Pięknie tu...” – myślała, obserwując z niewielkiego wzniesienia pracujących w polu żniwiarzy. Przez długą chwilę przyglądała się ich ciężkiej pracy, zdumiona, że są jeszcze miejsca, w których przy żniwach pracują całe rodziny, a zamiast nowoczesnych maszyn – pomaga im w pracy koń. Wiele pól w Drzewiu położonych było na zboczach dość stromych wzniesień, więc dotarcie do nich było mocno utrudnione.

Marzena wróciła z wycieczki zrelaksowana i odprężona i od razu pobiegła

do pokoju, żeby wziąć prysznic. Zeszła do jadalni w doskonałym humorze, który pozostał z nią do końca dnia, bo ani razu nie natknęła się na Pawła i nie musiała znosić jego pełnych wyrzutu spojrzeń.

– Ale jutro to już nie odpuszczę tego hamaka – powiedziała do siebie przed zaśnięciem.

Jednak również następnego dnia musiała wybrać aktywny wypoczynek, bo na hamakach wylegiwały się nastoletnie dziewczyny, słuchając muzyki i śmiejąc się na całe gardło. Z kolei wieczorem, gdy Marzena wróciła z wyprawy na górujące nad pensjonatem wzgórze, na hamakach leżało starsze małżeństwo z apartamentu na parterze.

– Jutro moja kolej... – obiecała sobie. – Choćbym miała czatować na werandzie przez pół dnia!

Rano Marzena zeszła na śniadanie ubrana w śliczną niebieską sukienkę ze śmiałym dekoltem, na jaki nigdy dotąd sobie nie pozwalała. Złapała kilka pełnych uznania męskich spojrzeń oraz jedno pełne zdumienia – jej męża. Po śniadaniu wypijała kawę i szybkim krokiem wyszła z jadalni, zerkając w stronę hamaków. Obydwa były wolne! Uśmiechnęła się do siebie i ułożyła się wygodnie. Zamknęła oczy i lekko rozbijała hamak. Było tak przyjemnie, jak to sobie wyobrażała.

„To się nazywa urlop...” – pomyślała. Kiedy poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu, skrzywiła się z niesmakiem i już miała wstać, gdy po namyśle uznała, że drobny deszczyk w niczym jej nie przeszkadza.

„Przecież nie jestem z cukru”.

Bujała się dalej, a drobne, ciepłe krople raz po raz opadały na jej nos i czoło.

– Długo jeszcze masz zamiar robić z siebie widowisko?! – Głos Pawła wyrwał ją z błogiego rozleniwienia. Otworzyła oczy. Mąż stał kilka kroków od niej, w alejce, a jego oczy ciskały gromy.

Marzena rozejrzała się. Na werandzie siedziały dwie nastolatki, oglądając coś w swoich smartfonach. Poza nimi nie było wokół nikogo.

– Nie wydaje mi się, żeby kogoś interesowało, co ja robię – odpowiedziała spokojnie.

Paweł prychnął ze złością.

– Mnie interesuje! Nie dość, że ubrałaś się jak jakaś dziwka, to jeszcze zachowujesz się jak idiotka. Kto podczas deszczu buja się w hamaku?!

– Ja!

– Jesteś nienormalna! – Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę werandy.

– Nie będzie mi głupi deszcz dyktował, jak mam spędzać urlop! – krzyknęła za nim. Wyszło jej znacznie głośniejsze, niż zamierzała. Nastolatki podniosły wzrok znad smartfonów i popatrzyły na nią, po czym wróciły do przerwane filmu.

Paweł rzucił jej wyniosłe spojrzenie i prychnął pogardliwie, po czym zniknął za drzwiami recepcji. Siedząca za ladą recepcjonistka patrzyła na niego z lekkim uśmiechem.

„Trzeba przyznać, że świetnie grają obcych sobie ludzi...” – pomyślała i postanowiła spróbować takiej gry z własnym mężem.

Tymczasem Marzena rozhuściła mocniej hamak i zacisnęła pięści. Deszcz, jakby potraktował jej okrzyk jak wyzwanie – zaczął teraz padać rzęsiście, tak że w ciągu kilku sekund sukienka przemokła i przykleiła się jej do ciała. Ten deszcz był jej nawet na rękę – przynajmniej maskował łzy, które zaczęły płynąć po jej twarzy. A myślała, że już się uodporniła...

Paweł stał przy oknie w recepcji, patrząc na moknącą w hamaku żonę.

„Idiotka!” – myślał. Ale im dłużej się jej przyglądał, tym większa ogarniała go ochota, żeby zrzucić maskę poważnego prawnika i przyłączyć się do Marzeny.

„Nie, to przecież byłoby absurdalne... Wystawiłbym się na pośmiewisko przy tych wszystkich ludziach...”.

Nie zauważył, kiedy za jego plecami stanął młody mężczyzna mieszkający w apartamencie na poddaszu. Gdy się odezwał, Paweł drgnął przestraszony.

– Fajna babka! – mówił mężczyzna, który nie zauważył jego reakcji, bo jak zahipnotyzowany wpatrywał się w Marzenę. – Taka wyluzowana i spontaniczna! Moja dziewczyna już by kwiczała, że jej sukienka moknie i fryzura się psuje, a ona sobie bimba z takich rzeczy! Widać, że dobrze się czuje sama ze sobą... Dołączyłbym do niej, ale moja Waleria pewnie by mi oczy wydrapała!

Marzena, nieświadoma, że ma widownię, zamknęła oczy. Bujanie hamaka ją uspokajało, a dotyk ciepłych kropli deszczu na całym ciele odczuwała jak tysiące mokrych, gorących pocałunków. Z każdą kolejną kroplą opadało z niej napięcie, a na twarzy ponownie pojawiał się wyraz spokoju i zadowolenia.

– Można się przyłączyć? – wesoły męski głos sprawił, że otworzyła oczy. Obok niej stał gość z apartamentu na parterze. Miał przy sobie koc piknikowy i uśmiechał się szeroko. – Wygląda pani na tak zrelaksowaną, że pani pozazdrościłem. I postanowiłem, że mnie też głupi deszcz nie będzie dyktował, jak spędzam urlop – dodał. – Mam na imię Remigiusz.

– Marzena.

Rozłożył koc pod jabłonką i położył się, zakładając ręce pod głowę. Po chwili był już zupełnie przemoczony. Uniósł się na moment na łokciach i zawołał do stojącej na werandzie żony:

– Ewa! Nie stój tak! Drugi hamak jest wolny!

Kobieta prychnęła z niedowierzaniem, pokręciła głową i odwróciła się, żeby wrócić do recepcji. Przy drzwiach jednak zmieniła zdanie, zsunęła buty i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wylegującej się pary. Uśmiechnęła się do Marzeny i zajęła miejsce w hamaku obok.

Leżeli tak we trójkę, w milczeniu, słuchając szumu deszczu. Nastolatki z werandy odłożyły smartfony i przez moment wpatrywały się w nich, po czym spojrzały na siebie, jak na komendę wstały z ławki, zdjęły tenisówki i z okrzykiem:

– Deszczowe party! – wybiegły na trawę w dzikim tańcu.

Starsze małżeństwo, które właśnie wychodziło z jadalni, zatrzymało się w progu, ze zdumieniem przyglądając się całemu towarzystwu. Siwowłose pan uśmiechnął się do żony, odłożył na parapet kolorową parasolkę, którą akurat zamierzał rozłożyć i skłoniwszy się z galanterią ujął dłoń swej towarzyszki.

– Zatańczymy? – zapytał.

Starsza pani rozjaśniła się w uśmiechu i po chwili popłynęli w eleganckim walczyku.

Scenę tę obserwował od kilku minut mężczyzna, który właśnie jechał w stronę pensjonatu. Zatrzymał samochód w połowie drogi na werandę, wyciągnął aparat fotograficzny i zrobił kilkanaście zdjęć, a następnie zaczął coś gorączkowo zapisywać w notesie.

Tymczasem leżący pod jabłonią Remigiusz, w tej chwili już zupełnie przemoczony, wstał, rozhuścił mocniej hamak żony i zaczął śpiewać na cały głos jedną z najsłynniejszych polskich pieśni narodowych:

– „Deszcze niespokojne potargały sad...”.

– „A my na tej wojnie ładnych parę lat” – zawtórowali mu wszyscy. Zanim doszli do obietnicy, że powrócą po wiosenny bez – deszcz przestał padać i na niebie zaświeciło słońce.

– E, zepsuło całą zabawę! – marudził Remigiusz, wyzymając rękawy koszuli. – Koc to chyba lepiej tu zostawię, dobrze mu robi, jak wyschnie na słońcu, ale ja uciekam.

– Uciekajmy! Świeci słońce! – wrzasnęły nastolatki i trzymając się za ręce, wbiegły na werandę, zanosząc się od śmiechu.

– My też chodźmy się wysuszyć – powiedziała starsza pani do swego męża. – Bo walczyk w deszczu jest bardzo romantyczny, ale ból korzonków to już nie...

Marzena została sama. Zamknęła oczy i rozkoszowała się dotykiem promieni słonecznych na mokrej skórze.

– Marzena? To naprawdę ty? – W znanym jej skądś męskim głosie słycać było taką radość, że podniosła się z hamaka i odgarnęła z twarzy mokre włosy, przyglądając się z ciekawością brunetowi, który wcześniej fotografował widowisko, a teraz właśnie wysiadł z samochodu i zbliżał się do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Daniel?

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. To naprawdę był on! Jej wielka niespełniona miłość z czasów studiów na polonistyce. Zakochała się w nim podczas inauguracyjnego wykładu. To było jak piorun sycylijski. Popatrzyła w jego piwne oczy ukryte za drucianymi okularami, zarejestrowała nieśmiały uśmiech, który w połączeniu z wyraźnie zaznaczoną linią szczęki i bardzo męskimi rysami twarzy tworzył wrażenie wręcz powalające – i przepadła. Przez pięć lat próbowała zwrócić na siebie jego uwagę: pokonując wrodzoną nieśmiałość, głośno się śmiała i wznosiła na wyżyny błyskotliwości. Ta żywiołowość w końcu wrosła w jej naturę i Marzena poniosła ją ze sobą dalej, zachwycając ludzi wokół siebie optymizmem i pogodą ducha. Ale Daniel nigdy nie zrobił nic, żeby się do niej zbliżyć, a ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby zrobić pierwszy krok. A teraz stał przed nią – jeszcze przystojniejszy niż w czasach studiów – i najwyraźniej dobrze ją zapamiętał, skoro rozpoznał z daleka, i to po tylu latach...

– Musimy uczcić to spotkanie! – powiedział, uśmiechając się do niej ciepło.

„O mój Boże!” – pomyślała, w popłochu poprawiając przemoczoną sukienkę. „Że też akurat dzisiaj musiało mi się zachcieć takich demonstracji... Wyglądam jak zmokła kura...”.

Jemu najwyraźniej ten wygląd odpowiadał, bo w oczach zapłonęły mu figlarne ogniki, a spojrzenie raz po raz przemykało po jej sylwetce apetycznie rysującej się pod mokrą sukienką.

– Zapraszam cię na kawę. Jest tu chyba jakaś restauracja?

Pokiwała głową.

– Jest, i to świetna. Karmią tutaj naprawdę pysznie, a kawa jest wręcz

wybitna. Ale może najpierw ja pójdę się nieco wysuszyć, a ty pewnie chcesz się odświeżyć po podróży.

– Dobrze, to spotkajmy się tutaj za pół godziny. Może być?

Pół godziny później siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w jadalni i rozmawiali, jakby rozstali się ledwie wczoraj.

– Co u ciebie? – zapytała.

Uśmiechnął się i poprawił okulary gestem, który zawsze mocno na nią działał. Miał piękne, wypielęgnowane dłonie o długich, smukłych palcach.

– Znalazłem się właśnie na życiowym zakręcie – powiedział. – Rozwiodłem się, niedługo wydaję książkę i postanowiłem się przeprowadzić do miasta, w którym zakochałem się podczas studiów...

– Poważnie? Gratuluje! To znaczy nie rozvodu, ale książki i przeprowadzki. O czym ta książka?

– O polskich plenerach filmowych. Już właściwie jest skończona, ale mój wydawca zasugerował, żebym dodał jeszcze jedno miejsce – właśnie ten pensjonat. Tutaj kręcili *Czarci jar*... Nie byłem zachwycony tym pomysłem, a teraz widzę, że był fenomenalny. Mam genialny materiał, który świetnie podsumuje moją książkę, no i jeszcze na dodatek spotkałem ciebie...

Popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się z rozmarzeniem.

– Jak ja się w tobie kochałem na studiach! Przez pięć lat do ciebie beznadziejnie wzdychałem...

Opuściła głowę, w nadziei, że mężczyzna nie zauważy rumieńca, który zdradziecko rozkwitł na jej policzkach.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała cicho, wpatrując się w filiżankę kawy.

Zaśmiał się.

– Ech, byłaś taka przebojowa, błyskotliwa, szalona... Bałem się. Wiedziałem, że nie mam u ciebie szans.

Popatrzyła na niego, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Wyłaziłam ze skóry, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę! – zawołała. – Bo myślałam sobie, że nieśmiałej szarej myszki taki przystojniak jak ty na pewno nie zauważy...

Paweł stał przed drzwiami do jadalni i przez chwilę przyglądał się przez okno Marzenie flirtującej z innym mężczyzną. Usłyszał śmiech żony i coś zakłuło go w sercu. Nie pamiętał już, kiedy przy nim tak się śmiała. A to właśnie ten jej śmiech zawsze go zachwycał: taki szczery, zaraźliwy, radosny. Westchnął i wrócił do recepcji, nie chcąc dłużej widzieć zapatrzonej w siebie pary.

„Kim, do cholery, jest ten facet?!” – myślał, zaciskając pięści.

Marzena i Daniel rozmawiali jeszcze długo, wspominając dawne czasy. Kobieta miała poczucie, że spotkała bratnią duszę. Kochali te same książki, słuchali podobnej muzyki, no i na dodatek Daniel miał teraz mieszkać w jej mieście...

– Do kiedy zostajesz?

– Do piątku – odpowiedział. – W sobotę jestem umówiony na oglądanie mieszkania.

– Czy mogę pojechać z tobą do miasta?

Popatrzył na nią badawczo, dłużej zatrzymując wzrok na obrączce, która błyszczała na jej palcu. Dostrzegła jego spojrzenie.

– Przyjechałam tu z mężem, w nadziei, że uda nam się reanimować nasze małżeństwo. – Wyznała. – Ale jak tylko wyjechaliśmy z domu, stało się dla mnie jasne, że tu nie ma już czego reanimować. Zimny trup... Wrócę do domu i zacznę się rozglądać za czymś na wynajem. No i złożę pozew rozwodowy...

– To cudownie! – wyrwało się Danielowi. – Jasne, że możesz się ze mną zabrać! Będzie mi raźniej, nie lubię jeździć sam...



\*\*\*

W piątkowy poranek Marzena zapukała do drzwi pokoju Pawła. Mąż otworzył po dłuższej chwili, popatrzył na nią obojętnie i odsunął się w milczeniu, żeby mogła wejść.

– Wyjeżdżam dzisiaj – powiedziała. – Dopóki nie wrócisz, będę mieszkać w naszym mieszkaniu, ale zacznę szukać czegoś innego. Złożę pozew rozwodowy. Mieszkanie jest twoje, po babci, a resztę niech uzgodni sąd. Myślę, że zdecydujemy się na rozwód bez orzekania winy?

Paweł wpatrywał się w nią w osłupieniu.

– Coś ty znowu wymyśliła? – wykrztusił.

– Paweł, przecież my nie jesteśmy jeszcze starzy – odpowiedziała. W jej głosie usłyszał żal, ale też jakiś nowy ton... – Naprawdę chcesz do końca życia trwać tak jak teraz? Bo ja na pewno nie... Popatrz sam, jak żyjemy! Nawet nie obok siebie! My ciągle walczymy ze sobą! Nie mam już na to siły!

Wyszła z pokoju, zostawiając go pełnego zdumienia i – nieoczekiwanie dla niego samego – wielkiego smutku.

– Będę o ciebie walczył! – powiedział do siebie.

\*\*\*

Justyna i Łukasz stawili się w mieszkaniu rodziców z lekkim niepokojem. Tata miał przez telefon tak poważny głos, a przy tym zapraszał ich tak oficjalnie, że uznali, że coś jest nie tak. Kiedy zobaczyli rodziców siedzących za stołem z wyjątkowo uroczystymi minami, ich obawy jeszcze wzrosły.

– Coście zbroili? – zapytał Łukasz, całując mamę w policzek. – Wyglądacie, jakbyście się zastanawiali, gdzie zakopać zwłoki...

– A może jesteś w ciąży? – wyrwała się Justyna, siadając naprzeciwko.

– Aleście wymyślili... – Mama machnęła ręką. – Nie, nie jestem w ciąży, chociaż to, co zaplanowaliśmy, jest chyba porównywalną rewolucją...

– Ej, chyba się nie rozwodzicie?! – W głosie Łukasza brzmiała zgroza.

– Nie. Postanowiliśmy z waszym tatą, że to my zajmiemy się pensjonatem, jeśli nadal myślisz nad jego kupnem...

Na kilka chwil zapadła cisza, w której Justyna i Łukasz przetrawiali usłyszaną właśnie nowinę.

– Że co? – Przerwał wreszcie milczenie syn państwa Milskich, a w jego głosie słychać było niedowierzanie. – Wy byście się pisali na prowadzenie pensjonatu? Mówisz serio? Przemyśleliście to? Bo wiesz, sielanka to na pewno nie będzie...

– Zgadza się – poparła go Justyna. – Personel jest fajny, wszyscy robią, co do nich należy, ale z turystami to już różnie bywa... Trzeba rozwiązywać spory, słuchać narzekań i pretensji, no i ogarnąć wszystko od strony formalnej... Teraz robią to księgowi z Konsultraku...

– No, o księgowość to się akurat martwić nie musimy, bo w końcu mamy w domu specjalistę! – Mama Justyny poklepała męża po ramieniu.

– No wiecie, kochani... Ja się spraw księgowych nie boję, przecież tym się zajmuję od wielu lat, ale przyznam, że nie jestem tak optymistycznie nastawiony do tego całego pomysłu jak wasza mama... To jest w końcu wielka rewolucja! Nie wiem, czy nie jestem już na to za stary... Zresztą, czy to rozsądne, rzucać stabilizację i porywać się na coś takiego?

Elżbieta Milska popatrzyła mu w oczy.

– Całe życie jesteśmy do bólu rozsądni... – powiedziała. – A jak raz wyłamaliśmy się z tej zasady, to rezultatem jest nasza wspaniała córka!

Justyna uniosła ręce do góry, prosząc o głos.

– Jako wspaniała córka myślę, że nie musimy podejmować decyzji już dzisiaj! Przemyślcie sprawę, pogadajcie o tym. Przecież Łukasz nie ma jeszcze całej kasy, a i ewentualna transakcja z Konsultrakiem też trochę chyba potrwa...

– A właśnie! – Łukasz popatrzył na Justynę z szerokim uśmiechem. –

Powiedz prezesowi, że przyjmuję jego warunki! Bo nawet jeśli rodzice jednak się nie zdecydują na przeprowadzkę, to ja się do tego twojego pomysłu przekonałem. Chcę, żeby Leśna Ostoja do nas należała!

Justyna pisnęła z radości i przytuliła się do brata.

– Supcio! Jezu, jak się cieszę! Nie mogę uwierzyć! Tak się bałam, że mój kochany pensjonat kupią jakieś bezmózgi, które nie docenią jego urody! Zaraz rano lecę do prezesa!

Wracała do domu, czując, jak w jej duszy rozbrzmiewa radosna muzyka. Jej radości nie zmąciła nawet nowa czerwona koperta, która czekała w skrzynce na listy. Tym razem wiadomość była krótka:

*Miłość może żywić się najmniejszą odrobiną nadziei, ale zupełnie bez niej istnieć nie zdoła.*

*Walter Scott*

*Ja wciąż jeszcze mam nadzieję, ale jeśli nadal będziesz taka podła, ona zniknie do reszty. A wtedy z miłości zostaną tylko zgliszcza.*

– Och, człowieku, skąd ty się urwałeś... – stwierdziła i wrzuciła list do śmieci.

# WRZESIEŃ



*Ludzie rozumieją mnie tak słabo, że nie rozumieją nawet moich narzekań na to, że mnie nie rozumieją.*

SØREN AABYE KIERKEGAARD

## Rozdział 22

---

Żadna z osób, które do tej pory zarządzały w imieniu Konsultraku pensjonatem Leśna Ostoja, nie czekała na swoją zmianę w Drzewiu z taką niecierpliwością jak Klaudia Jeziorek, dwudziestopięcioletnia pracownica działu infolinii Konsultraku. Żadna też nie wiązała z tym wyjazdem tak wielkich nadziei.

– Wiesz, tam na pewno będą różni ludzie – tłumaczyła przyjaciółce, Małgosi. – Może wreszcie uda mi się kogoś poznać? Może nawet któryś z aktorów od *Czarciego jaru* wróci na wypoczynek?

– Może... – Małgosia nie brzmiała zbyt przekonująco.

– Och, Gosia, ja już dłużej nie wytrzymam – jęknęła Klaudia. – Moje życie nie ma sensu!

– Co ty gadasz, dziewczyno! Niejedna by się z tobą zamieniła.

– Ciekawe po co! Ja miałam taki piękny plan na życie i wszystko wzięło w łeb...

– Klaudia, mówisz, jakbyś stała nad grobem! Masz dwadzieścia pięć lat,

wszystko przed tobą!

– Łatwo ci mówić! Ja sobie założyłam, że w tym wieku to będę już cztery lata po ślubie. I co najmniej z dwójką dzieciaków! A tu co? Nawet zaręczona nie jestem! Może w tym Drzewiu nareszcie poznam kogoś, kto chce tego samego, co ja...

– No tak, na takim zadupiu prędzej spotkasz kogoś o takich poglądach niż w dużym mieście... – mruknęła Małgosia i zaczęła zbierać się do wyjścia, bo miała dość wysłuchiwania kwękania przyjaciółki. – Przyjadę po ciebie jutro rano.

Klaudia nie była zmotoryzowana, więc Małgosia obiecała odwiedzić ją do Drzewia. Przy okazji miała zostać na weekend, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem i pospacerować po lesie. W dniu wyjazdu pogoda – do tej pory piękna i słoneczna – zmieniła się jednak w potworną pluchę.

– Może to tylko u nas – wyraziła nadzieję Klaudia, upychając walizki w bagażniku. – Jak dojedziemy na wieś, to błysnie słońce, zobaczysz!

Kiedy jednak wyjechały za miasto, nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek miało się zmienić. Niebo zasnuwały gęste, ciemne chmury, z których przez cały czas padał rześisty deszcz. Ulewy towarzyszyły im do samego pensjonatu, więc zanim dotarły do recepcji z walizkami Klaudii, obie były solidnie przemoczone.

– Cholerny deszcz... – narzekała Klaudia, próbując osłonić się kupionym po drodze kolorowym magazynem.

– Dzień dobry! – Paweł z działu prawnego Konsultraku powitał je z grobową miną, bez słowa wskazał przygotowany dla nich pokój i z ponurą twarzą wrócił do recepcji.

– Umarł mu ktoś czy co? – zdziwiła się Małgosia.

Klaudia wzruszyła ramionami.

– E, on zawsze taki sztywny, jakby kił połknął. W życiu nie widziałam, żeby się uśmiechnął. Zejdę do niego, żeby mi wszystko, co trzeba, przekazał, i niech już sobie jedzie, bo to chyba jego mina te chmury zwabiła.

Paweł uporał się z przekazaniem wytycznych w kwadrans, a Klaudia uznała, że w razie wątpliwości po prostu zadzwoni do Justyny Milskiej albo do Michała z działu informatyki, bo z nimi zawsze dobrze się dogadywała.

Kiedy samochód Pawła zniknął za bramą pensjonatu, dziewczyny wyszły na werandę, żeby popatrzeć na ogród. Wszystkie ławki były jednak zajęte przez turystów, więc po namyśle udały się do jadalni i zamówiły kawę z szarlotką.

Następnego ranka ulewy trwały w najlepsze, Małgosia uznała więc, że lepiej będzie wrócić od razu do domu.

– Wiesz, ta droga przez las nie wyglądała zbyt solidnie... Boję się, że utonę w jakimś bagnisku.

Pozegnały się i Klaudia została sama. Zlustrowała z uwagą turystów mieszkających w pensjonacie i pokręciła głową ze zniechęceniem.

– Bez szans...

Czterech godnych uwagi mężczyzn było tutaj z żonami – i to najwyraźniej bardzo przez nich wielbionymi, bo wpatrywali się w swoje kobiety tak, że Klaudia zgrzytała zębami z zazdrości. Dwóch, których też brała pod uwagę jako potencjalnych kandydatów na męża, okazało się być parą. Jedynym samotnym mężczyzną był siwy siedemdziesięciolatek, który łakomie wodził wzrokiem za każdą młodą dziewczyną, co Klaudii wydało się obleśne i żalosne.

– Cóż, może w przyszłym tygodniu przyjedzie jakiś wolny przystojniak szukający pary...

Kolejny tydzień przywiódł jednak do Leśnej Ostoi dwie starsze panie z wnuczką i rodzinę z czworgiem dzieci. Najstarsza z czwórki rodzeństwa – dziewięcioletnia Liwia – na dzień dobry rozbiła płytkę w łazience.

Klaudia zadzwoniła do Jakuba Midasa, którego numer widniał w rejestrze przydatnych kontaktów pod hasłem „pogotowie remontowe”.

– Dzień dobry! Ja dzwonię z Leśnej Ostoi. Turystka rozbiła jeden kafelek w łazience. Czy mógłby pan podjechać i to naprawić?

– Zdolna musiała być ta turystka. – Zaśmiał się Midas. – Będę, ale dam radę dopiero jutro, i to tak chyba koło dziewiętnastej. Może być?

– Oczywiście – zagruchała Klaudia, naśladowując głos Marilyn Monroe, bo po sposobie mówienia Jakub wydał jej się nad wyraz interesujący. – Będę na pana niecierpliwie oczekiwać...

Następnego dnia Klaudia czekała na niego na werandzie, ubrana w wydekoltowaną sukienkę mini i buty na niebotycznych obcasach. Godzinę wcześniej przeżyła atak niepewności, jaki często ją ogarniał przy okazji kontaktów z płcią przeciwną. Miała ochotę zlecić komuś innemu zadanie przywitania Midasa i przedstawienia mu pracy do wykonania, ale w końcu dla kurażu wypłała dwie lampki wina i od razu poczuła się pewniej. Kiedy Jakub wysiadł ze swojej furgonetki, oczy Klaudii aż się zaświeciły z zachwytu.

„Taki wysoki, potężny... Och...” – pomyślała i stanęła we wdzięcznej pozie na szczycie schodów, żeby mógł dokładnie podziwiać jej walory.

– Dzień dobry! Jakub Midas jestem. – Uśmiechnął się olbrzym.

– Midas... – Klaudia rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. – Jak ten król z mitów, który wszystko, czego dotknął, zmieniał w złoto... Czy pana dotyk też ma tak niezwykle właściwości?

– No, może nie aż takie, ale nie narzekam. Moje ręce nie zmieniają niczego w złoto, ale z zepsutego umiem zrobić naprawione. A co do króla Midasa, to moja polonistka zawsze mi mówiła, że naszą wspólną cechą są ośle uszy – były w każdym moim zeszycie...

Klaudia zanosła się gromkim śmiechem, opierając dłonie na kolanach.

– Ależ pan jest zabawny! – Chichotała, ocierając łzy z oczu.

Midas popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Pani mi da klucz od schowka, bo tam są zapasowe płytki – powiedział.

Po półgodzinie płytka była wstawiona i po usterce nie został żaden ślad. Zajęłoby to pewnie jeszcze mniej czasu, gdyby nie to, że Klaudia uparła się,



by asystować Jakubowi, i co kilka minut zachwycała się jego zręcznością i siłą.

– Ach, taki mężczyzna w domu to prawdziwy skarb! – mówiła, zalotnie odrzucając włosy na plecy i przy każdej okazji pochylając się tak, że jej nieduże piersi wyłaniały się z dekoltu.

– Gotowe – powiedział z ulgą Midas, kiedy płytka znalazła się już na swoim miejscu.

– Rachunek zapłaci turystka. Prosiła, żeby pan wypisał fakturę – zaszczębiotała Klaudia, dotykając jego ramienia. – Tylko czy pan wypisuje faktury i przyjmuje przelewy? Bo jeśli nie, to będę musiała jakoś inaczej panu zapłacić...

Jakub Midas, coraz bardziej skołowany natarczywymi zalotami *femme fatale*, przeczesał dłonią włosy, przez co zaczęły sterczeć na wszystkie strony.

– Wypiszę fakturę – powiedział, siadając za biurkiem.

Błyskawicznie wpisał dane, podał jej dokument i szybkim krokiem skierował się do drzwi. Klaudia, widząc, że zwierzyna jej się wymyka, zastąpiła mu drogę, uśmiechając się uwodzicielsko i kusząco wypinając biust.

– Śpieszy się pan? – zapytała głosem niczym szmer strumyka i rzucając mu spojrzenie spod rzęs. – Bo ja tu jestem zupełnie sama i chętnie spędziłabym wieczór w towarzystwie tak silnego mężczyzny o zręcznych dłoniach...

Jakub lekko zbaraniał.

– Jest pan żonaty? Nie widzę nigdzie obrączki? – Ujęła jego dłoń i obróciła wierzchem do góry, gładząc palce.

– Nie – odpowiedział. – Nie mam żony, jednak niedawno zupełnie straciłem głowę dla pewnej wyjątkowej kobiety, więc dziękuję pani za zaproszenie, ale nie mogę zostać.

Klaudia wyduła usta jak mała naburmuszona dziewczynka. Midas miał wrażenie, że kobieta zaraz się rozpłacze.

– A nie ma pan żadnego samotnego kolegi? – wyszeptwała z rozpaczą.

Jakubowi zamigotały w oczach wesołe iskierki.

– A mam. Jak pani chce, to jutro go tu do pani przyślę, na taką randkę w ciemno. Dobra? Przed dwudziestą, okej?

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź, a Klaudia aż zasłoniła dłonią usta.

„Jak ja mogłam się tak zachować?!” – pomyślała ze zgrozą. „Leciałam na niego jak jakaś napalona wariatka!”.

Potem wpadła w panikę na myśl o czekającej ją randce w ciemno.

„A jak mi tu podeśle jakiegoś obleśnego starucha? Z włosami w nosie? Brrr...”. Usiadła na werandzie, wachlując się fakturą i kiwając głową do dwóch turystek, które właśnie wracały ze spaceru.

– No sama posłuchaj – perorowała starsza kobieta o krótko ściętych, ciemnych włosach. – Już zaczynają! Ja wczoraj przez te głupie ptaszyska nie mogłam zasnąć. A rano zbudziły mnie tuż po szóstej!

Klaudia z niedowierzaniem pokręciła głową. Większość gości pensjonatu była zachwycona, słysząc śpiew ptaków za oknem, ale najwyraźniej nie ma takiej rzeczy, która nie mogłaby stać się przyczyną do narzekania... Poszła do swojej sypialni, po drodze zanosząc klientce fakturę od Jakuba. Przed zaśnięciem wypła jeszcze lampkę wina, żeby się rozluźnić przed jutrzejszym spotkaniem.

\*\*\*

Czerwona koperta leżała na stole kuchennym, gdzie Justyna ją rzuciła wraz z resztą korespondencji. Nie miała ochoty na kolejną porcję „złotych myśli psychopaty” – jak zaczęła to określać, ale w końcu uznała, że lepiej mieć to od razu za sobą. Wyjęła bladoróżową karteczkę i z rosnącym niedowierzaniem przeczytała:

*Zrozumiałem dziś, że to wszystko jest testem. Odpychasz mnie, żeby sprawdzić, jak bardzo mi na Tobie zależy i do jakich poświęceń jestem*

*gotów! Udowodnię Ci! Zobaczysz, jak potężne jest moje uczucie! Nie będę spokojnie patrzył, jak się ode mnie oddalasz!*

– No i czad... Widzę, że odchodzimy od klasyków na rzecz własnych wynurzeń... – stwierdziła, wrzucając kartkę wraz z kopertą do mocno już przepełnionej szuflady.

## Rozdział 23

---

Następnego ranka Klaudia obudziła się z postanowieniem, że zadzwoni do Jakuba Midasa, powie, że wieczorem była pijana, i odwoła wszystko. Na myśl o randce w ciemno czuła skurcze w żołądku i suchość w ustach.

– Nie, nie, to przecież idiotyczne – powiedziała do siebie, wstając z łóżka. – Lepiej poszukać kogoś w Internecie, poznać trochę, wymienić parę e-maili, a dopiero potem się spotykać na żywo...

Jednak mijały kolejne godziny, a ona patrzyła na telefon i nie robiła zupełnie nic. Wreszcie nastał wieczór i było już za późno na jakiegokolwiek działanie.

– Przecież nie odwołam spotkania w ostatniej chwili... Nie wypada tak wystawić faceta.

Założyła obcisłą minisukienkę, nieodłączne szpilki i przez pół godziny tkwiła przed lustrem, nakładając na twarz tony makijażu. Kiedy skończyła, warstwa pudru była tak gruba, że można ją było zeszkrobywać szpachelką, a rzęsy aż opadały, ciężkie od tuszu. Klaudii jednak ten efekt bardzo się

podobał. Nałożyła jeszcze na usta dwie warstwy krwistoczerwonej pomadki i uśmiechnęła się do swojego odbicia, mrugając powiekami.

Zeszła na werandę i usiadła w bujanym fotelu, a po chwili poderwała się, gotowa jednak natychmiast odwołać randkę.

– Niech sobie ten cały Midas myśli o mnie, co chce!

Wbiegła do pokoju i chwyciła telefon, zamiast jednak wybrać numer, odłożyła komórkę na stolik i sięgnęła po butelkę wina. Niewiele już zostało po wczorajszych degustacjach, wypila więc resztkę prosto z butelki. Wystarczyło, żeby dodać jej odwagi i uspokoić motyle w żołądku.

– A, co tam. Raz kozie śmierć! – powiedziała do siebie i wróciła na werandę, w samą porę, by zobaczyć ciemnego forda, z którego wysiadł niewysoki szatyn, trzymający w ręce białą różę. Popatrzył na nią niepewnie, rozglądając się wokół, a ponieważ nikogo innego w pobliżu nie było, wszedł po schodach i stanął naprzeciwko Klaudii.

– Jestem Dominik Wir. Kolega Jakuba Midasa... To chyba z panią jestem umówiony?

– Miło mi. Klaudia Jeziorek. – Podała mu rękę, choć w sercu poczuła ukłucie rozczarowania. Nie był tak wysoki jak jego kolega i nie miał takich wesołych iskierek w oczach. Jednak im dłużej mu się przyglądała, tym więcej dostrzegała intrygujących szczegółów: miły uśmiech, mocną linię szczęki, przyjemny głos, ładne dłonie. No i przyniósł różę!

Siedzieli obok siebie w jadalni, pijąc wino i jedząc szarlotkę. Klaudia zasypała Dominika pytaniami, a on, początkowo mocno stremowany, stopniowo rozluźniał się i niestety – coraz mocniej utwierdzał w przekonaniu, że ta dziewczyna nie jest z jego bajki.

– Chyba ci na mózg padło! – wrzeszczał następnego dnia na Jakuba, który przyszedł się dowiedzieć, jak poszła randka w ciemno. – Taką wytapetowaną lalkę mi swatasz?! No i przecież to smarkula! Gdyby zeskrobać te warstwy tapety, pojawiłaby się buźka dzieciaka!

– Oj tam, Trump ma żonę młodszą od niego o ponad dwadzieścia lat i jakoś

nie narzeka...

– Czy ja ci wyglądam na Trumpa?! Na dodatek ta dziewczyna jest jakaś pokręcona. Po dziesięciu minutach zaczęła mnie pytać, jak sobie wyobrażam swój ślub! A potem było już tylko gorzej... Wiesz, że ona ma już kupioną suknię ślubną?! Pokazała mi zdjęcia w smartfonie! Kupiła, bo była na wyprzedaży! A myślałem, że to ja jestem zdesperowany, żeby wreszcie kogoś poznać...

Jakubowi znowu załśniły w oczach figlarne iskierki.

– Wyluzuj, przecież chciałem dobrze! Ciągłe jęczysz, że jesteś sam, a jak już się trafia chętna dziewczyna, to wybrzydzasz. Mam nauczkę, więcej się w swatkę bawić nie będę!

Dominik machnął ręką i zrezygnowany usiadł na krześle pod oknem.

– Ech, w sumie i tak nieźle ci poszło... Przynajmniej byłem na randce... Następną okazja trafi się pewnie za dwa lata, jeśli w ogóle.

– Coś ty taki pesymista?

– Raczej realista... Ostatnią laską, którą widziałem w negliżu, była Justyna, wtedy gdy poraniła się po przygodzie z kłusownikiem... – Rozłożył bezradnie ręce. – Sytuacja nie sprzyjała amatorom, a mnie i tak ręce się trzęsły jak jakiemuś gówniarzowi, kiedy ją opatrywałem. Jestem beznadziejny...

Ukrył twarz w dłoniach, nie miał więc okazji zobaczyć zmiany, jaka po tych słowach zaszła w Jakubie. Uśmiech zamarł mu na ustach, zniknęły figlarne iskierki, oczy mu pociemniały, a spojrzenie, które rzucił przyjacielowi, było ponure.

– Justyna ci się podoba? – zapytał, starając się brzmieć jak najbardziej obojętnie. Dominik wyczuł jednak w jego głosie jakieś napięcie, bo uniósł głowę i popatrzył na niego z uwagą.

– Ładna jest – powiedział. – I w ogóle, fajna. Ale ona przecież jest poza zasięgiem... Daj spokój, to pani menadżer, z wielkiego miasta. Może się z nami przyjaźnić, ale chyba nie myślisz, że rzuciłaby karierę w firmie i przeniosła się do wiejskiej chałupy? Ej, a ty gdzie?! – dodał, bo Jakub

wyszedł, mrużąc coś o pilnym zleceniu.

\*\*\*

Klaudia spacerowała po ogrodzie, wzdychając ciężko nad swoim losem. Wokół niej pyszniły się całe kobierce astrów we wszystkich kolorach tęczy, a pomiędzy nimi falowały na wietrze wrzosy, jednak Klaudia nie widziała niczego poza czubkami swoich butów. Szła wolno, z pochyloną głową, smutna i zniechęcona. Cieniutkie szpilki niezbyt dobrze nadawały się na wędrowanie po alejkach, ale nie zwracała na to uwagi.

„Co jest ze mną nie tak?!” – myślała.

Wyszła poza teren pensjonatu i wolnym krokiem zmierzała w kierunku lasu. Szum drzew i łagodny powiew wiatru wcale nie przyniosły jej jednak ukojenia. Wciąż przypominała sobie wszystkie szczęśliwe pary, które знаła, i przeklinała w duchu swoją samotność.

„Kaśka jest gruba i brzydka, a ma już drugiego męża” – myślała. „Cholerna pryszczata Waleria się zaręczyła, a płaska jak decha Aneta zaszła w ciążę, więc pewnie też zaraz będzie ślub. A ja ciągle sama. No przecież niczego mi nie brakuje! Chyba naprawdę zacznę w necie szukać, tam podobno roi się od samotnych osób szukających drugiej połówki...”

Zatrzymała się na środku drogi, gotowa natychmiast wrócić do pensjonatu, żeby założyć konto w jakimś portalu matrymonialnym, gdy nagle usłyszała potworny huk. Odwróciła się, wystraszona.

„Co to ma być?!” – pomyślała, rozglądając się w popłochu.

Jej niebotycznie wysokie i cieniutkie szpilki nie były przewidziane do takich gwałtownych manewrów, zwłaszcza na nierównej, piaszczystej drodze. Obcas złamał się, Klaudia straciła równowagę i runęła jak długa do rowu, drapiąc sobie łydkę o jakiś kolczasty krzak. Tymczasem zza zakrętu wyjechał motor z przyczepką. Klaudia mogłaby przysiąc, że za kierownicą siedziała staruszka w kwiecistej chusteczce na głowie, ale uznała, że jej się przywidziało. Szalony motocyklista odjechał, nawet jej nie zauważając.

Zostały po nim tylko ogromne kłęby pyłu, unoszące się nad drogą.

– Niech to szlag trafi! – jęknęła, gramoląc się z rowu i uważnie lustrując sukienkę. Wyglądało na to, że nie ucierpiała, ale była mocno zakurzona.

Klaudia przetarła chusteczką higieniczną skaleczenie na łydce i wolnym krokiem, utykając z powodu złamanego obcasa, poszła w stronę pensjonatu. Uszła zaledwie kilkanaście metrów, gdy usłyszała za plecami dzwonek i jakiś wesoły głos zawołał:

– Widzę damę w potrzebie i już pędzę na ratunek! Zapraszam na mój rydwan, piękna pani!

Zatrzymała się i odwróciła. Głos należał do młodego mężczyzny w skórzanej kurtce. Mężczyzna jechał na rowerze, ale na widok Klaudii zeskoczył z niego i uśmiechnął się, odrzucając z czoła długą grzywkę. Zauważył krew na nodze dziewczyny i od razu spoważniał.

– Co się stało?

– Upadłam i skaleczyłam się...

Ukląkł przed nią i obejrzał nogę, znacznie dłużej, niż wymagało tego drobne zadrapanie. Potem spojrział jej w oczy i mrugnął wesoło.

– Nie jestem lekarzem, ale nie wygląda to źle, tylko trzeba przemyć wodą. Powiem nawet, że wygląda bardzo dobrze...

– Dzięki...

Wstał i otrzepał kolana.

– Mam na imię Irek.

– Klaudia.

– Piękne imię! Pasuje do właścicielki. – Pochylił się nisko i pocałował ją w rękę, nie zważając na to, że jest brudna od pyłu i piachu. – Pozwolisz, że podwiozę cię do pensjonatu?

– Skąd wiesz, że jestem z pensjonatu?

– Gdybyś mieszkała w Drzewiu, na pewno bym cię znał. Nie zapominam



tak pięknych dziewczyn. Wsiadaj, proszę! – Wskazał jej ramę przed sobą takim gestem, jakby to było luksusowe ferrari.

Klaudia usiadła, a on wskoczył na siodełko i pomknął w stronę pensjonatu, raz po raz, niby niechcący, muskając dłonią jej kolana. Kiedy dojechali, weszli razem na werandę i usiedli na ławce.

– Moja mama mi dzisiaj mówiła, żebym nigdzie nie wychodził, bo śniły się jej zęby, a to jak nic, pecha wróży. A tu wręcz przeciwnie – spotkało mnie wielkie szczęście, bo poznałem ciebie. I na dodatek mogłem ci służyć pomocą, jak rycerz swojej królowie. Wyjątkowo pięknej królowie... – Zaserwował jej swój firmowy tekst.

Klaudia popatrzyła na niego ze zdumieniem, niepewna jak traktować to wyznanie. Irek spojrzał jej głęboko w oczy.

– No sama pomyśl! Chyba bardziej romantycznych okoliczności nie można sobie wyobrazić... Pusta droga w lesie, piękna ranna dziewczyna i młody mężczyzna, gotów zrobić dla niej wszystko. Rzadko mam okazję ratować piękne damy w potrzebie... Poczułem się jak prawdziwy rycerz! Wierzysz w przeznaczenie?

– Od dzisiaj już tak... – szepnęła Klaudia, czując, jak jej serce fika koziółka.

Irek oniemiał. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Pół godziny później byli już umówieni na kolejne spotkanie. Opisali też sobie nawzajem swój wymarzony ślub i okazało się, że mają podobne pragnienia. Zdjęcie sukni ślubnej w smartfonie Klaudii zachwyciło Irka.

– Będziesz w niej wyglądać jak prawdziwa księżniczka! Szczęściarz, którego wybierzesz na swojego męża, pęknie z dumy!

Klaudia uśmiechnęła się promiennie i zatrzepotała rzęsami.

– No tak – powiedział Irek, nagle tracąc dobry humor. – Ale piękna dziewczyna z wielkiego miasta na pewno nie chciałaby rzucić wszystkiego i przeprowadzić się na zadupie...

– Nieważne, gdzie się mieszka – szepnęła Klaudia. – Ważne, kto jest obok ciebie...

\*\*\*

Prezes Konsultraku przyjął w sierpniu decyzję rodziny Milskich dotyczącą kupna pensjonatu Leśna Ostoja z dużym entuzjazmem. Kiedy jeszcze usłyszał, że połowa pieniędzy może zostać przelana natychmiast, a pracownicy Konsultraku będą mogli nadal liczyć na rabaty i specjalne oferty, zyskał całkowitą pewność i polecił prawnikom i księgowym firmy, aby jak najszybciej przygotowali wszystkie wymagane dokumenty. Pod koniec września niezbędne formalności zostały załatwione i cała rodzina Milskich pojawiła się w gabinecie prezesa, by sfinalizować transakcję.

– Dziękuję państwu za współpracę – powiedział prezes, wręczając Milskim klucze do dworku i otwierając butelkę szampana. – Mam nadzieję, że będzie się tam państwu dobrze żyło.

– My również! – Uśmiechnął się Piotr Milski.

– Wznieśmy toast za nowych właścicieli pensjonatu Leśna Ostoja!

# PAŹDZIERNIK

---

*Brzozy są jak złote wodotryski.  
Zimno jest jak w ostatnim liście.  
A słońce jest jak ktoś bliski,  
Który ziębnie i odchodzi. Lecą liście...*

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

## Rozdział 24

---

Pierwszy października wypadł tego roku w sobotę, więc Justyna zdecydowała, że pojedzie do Drzewia wraz z rodzicami. Łukasz tydzień wcześniej wyjechał do Gruzji, planując wspiąć się na Kazbek.

– Poradzicie sobie beze mnie! – stwierdził beztrąsko. – Urządźcie się tam jak najwygodniej, a ja w tym czasie będę podziwiał widoki ze szczytu!

– To nie ty przypadkiem mówiłeś nie tak dawno temu o tym, że trzeba dorosnąć? – wytknęła mu Justyna.

– Wtedy nie znałem jeszcze Marioli! – Odpalił bombę Łukasz. – A teraz znam i wiesz co? Ona jest absolutnie wyjątkowa, niesamowita! Rozumiemy się bez słów! No i zdobyła Kazbek dwa lata temu, ale idzie jeszcze raz, specjalnie dla mnie!

– No to super! Mam nadzieję, że wkrótce ją poznamy!

– Przywiozę ją ze sobą pod koniec października! Będziecie zachwyceni!

Zorganizowanie przeprowadzki spadło więc na Justynę i rodziców, nie było to jednak bardzo trudne przedsięwzięcie, gdyż państwo Milscy zdecydowali

się wynająć swoje mieszkanie znajomej, która właśnie się rozwiodła, i postanowili zostawić wszystkie meble i sprzęty.

– Zresztą i tak nie pasowałyby do stylu Leśnej Ostoi – oceniła mama Justyny. – Są zbyt nowoczesne. A poza tym w pensjonacie czekają przecież umeblowane pokoje, więc nie ma sensu zabierać tyle gratów.

Mieszkanie Łukasza szybko znalazło nabywcę, który zgłosił też chęć kupna mebli, więc pozostało tylko zabrać sprzęty kuchenne i przenieść spakowane do kartonów książki, pamiątki i ubrania. Wraz z rzeczami rodziców wszystko to zmieściło się w jednym dużym samochodzie firmy zajmującej się przeprowadzkami i zostało przewiezione i wniesione do pensjonatu dwa dni wcześniej, pod nadzorem pani Wandzi.

Tata przyjął decyzję Justyny o towarzyszeniu im w podróży do Drzewia z dużą ulgą.

– Porozmawiasz z pracownikami? – prosił, kiedy Justyna pomagała im pakować do bagażnika kilka rzeczy, których nie powierzyli firmie od przeprowadzek. – Ty masz większą wprawę w kontaktach z ludźmi, nie masz tremy przed publicznym wystąpieniem, a ja zacznę się jąkać i pomyślą, że nowy szef to jakiś gamoń...

– Porozmawiam! – Uspokoiła go. – W końcu znam ich wszystkich, więc będzie mi łatwiej.

W piątkowy wieczór pakowała zapasową bieliznę i kilka koszulek do małego plecaka, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Poszła na palcach do przedpokoju, z postanowieniem, że jeśli to Eryk, będzie udawała, że nie ma jej w domu. Zerknęła przez wizjer i odetchnęła z ulgą, widząc twarz sąsiadki z naprzeciwka, pani Krysi, drobnej rudowłosej kobiety po pięćdziesiątce.

– Dzień dobry, pani Justyno! – zawołała kobieta, gdy drzwi się tworzyły. – Nie, nie będę wchodzić – dodała, bo Justyna wykonała zapraszający gest. – Chciałam tylko uprzedzić, i z góry przeprosić, że jutro od rana będą tutaj u mnie straszne hałasy. Drzwi będę wymieniać w całym mieszkaniu, a także te zewnętrzne, bo trochę pani pozazdrościłam, więc o spokój będzie tutaj trudno...

– Nie szkodzi – uśmiechnęła się Justyna. – Jutro z samego rana wyjeżdżam za miasto i wrócę dopiero w niedzielę późnym wieczorem, więc jeśli o mnie chodzi, to może pani hałasować do woli!

– A, no to super. Życzę miłej wycieczki! I do widzenia!

– A ja życzę powodzenia w remoncie.

Kiedy w sobotni poranek Justyna i jej rodzice wyjeżdżali z miasta, siąpiła mżawka, a niebo zasnuwały chmury, ale Drzewie powitało ich słoneczną pogodą, jakby chciało się im pokazać od najlepszej strony. Gdy minęli drogowskaz wskazujący pensjonat, Justyna dała tacie znak, żeby jechał dalej, a sama zatrzymała samochód na leśnej drodze, wysiadła i zapatrzyła się na otoczenie.

Drzewa zaczynały już pokrywać się żółcią i czerwienią, tworząc wzdłuż drogi kolorowy szpaler tak piękny, że Justyna miała wrażenie, że ma przed sobą trakt do jakiegoś bajkowego królestwa jesieni. Mający w tle budynek pensjonatu rzeczywiście prezentował się jak zamek z cudownej baśni – ogród tonął w istnej powodzi róż, chryzantem i astrów, a otwarta na oścież brama wydawała się wołać z daleka: „Witaj!”.

Justyna poczuła, jak wzbiera w niej ogromna radość. Dopiero w tym momencie dotarła do niej w pełni świadomość, że ten malowniczy zakątek należy teraz do jej rodziny. Przytuliła się do rosnącej na poboczu brzozy i miała wrażenie, że przez jej ciało przepływa jakaś dobra energia. Stała tak przez długą chwilę, czując pod powiekami łzy wzruszenia. Wreszcie oderwała się od brzozy, wsiadła do samochodu i podjechała pod pensjonat, parkując za samochodem taty. Rodzice jeszcze nie weszli do środka. Stali oboje w ogrodzie, przyglądając się budynkowi i kolorowym kobiercom kwiatów.

– Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę mój dom! – powiedziała Elżbieta Milska, przytulając się do męża.

– Ja też czuję, jakbym za chwilę miał się obudzić...

Weszli we troje do dworku, witając się z recepcjonistką. Kobieta

uśmiechnęła się serdecznie, ale widać było, że jest zdenerwowana.

– Może pani zwołać tutaj wszystkich pracowników? – poprosiła Justyna. – Chcemy szybko wszystko wyjaśnić, żeby nie trzymać nikogo w niepewności.

W ciągu dziesięciu minut w recepcji stawili się wszyscy pracownicy pensjonatu. Patrzyli z niepokojem na Justynę, obawiając się, jakie zmiany wprowadzi nowy właściciel. Justyna wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

– Drodzy państwo. Jak już zapewne wiecie, zmienił się właściciel pensjonatu, jest nim od dzisiaj moja rodzina. Dla państwa nie oznacza to niczego nowego, poza tym, że wypłatę będzie przelewał ktoś inny. Warunki pracy pozostają bez zmian, nikt nie będzie zwolniony, wszystkie umowy nadal obowiązują.

Wśród pracowników rozległo się westchnienie ulgi.

– Czy mają państwo jakieś pytania?

Kucharz Janek podniósł rękę, jak najgrzeczniejszy uczeń w klasie.

– Czy „Niespodzianka prezesa” nadal ma figurować w karcie dań?

Justyna roześmiała się.

– Można ją wykreślić, ale proszę zachować wszystkie hmm... niezbędne składniki, bo prezes pewnie będzie tu czasami gościem, a przecież nie chcemy go zawieść...

– Nie, no jasne. – Zaśmiał się pan Janek. – Trzeba dbać o gości, zwłaszcza z tak wyrafinowanym gustem kulinarnym...

Zanim pracownicy rozeszli się do swoich zajęć, Justyna zaproponowała wszystkim, żeby mówili sobie po imieniu. W tym czasie rodzice Justyny rozpakowali swoje rzeczy w pokojach na parterze zapewniających najwięcej prywatności. Były tam trzy pomieszczenia, które od futurystycznego apartamentu po prawej oddzielał korytarz i schody. Strych zaklepał dla siebie Łukasz, pamiętając, jak dobrze się tam czuł podczas pobytu w Drzewiu.

– Dla mnie zostawcie narożny pokój na poddaszu! Ten z balkonem! – Poprosiła z kolei Justyna.

Problemem był tylko brak kuchni i osobnego wejścia, ale Justyna wiedziała, że może liczyć na ekipę niezawodnego Jakuba. Tak jak ustaliła to z rodzicami, dzień wcześniej zadzwoniła kolejno do trzech muszkieterów, zapraszając ich do pensjonatu na kolację. Zdziwili się, że znowu będzie gościć w Drzewiu, i oczywiście przyjęli zaproszenie.

Przyjechali we trójkę, furgonetką Jakuba Midasa.

– No, no! – wołał z daleka Dominik. – Widzę, że nie możesz bez nas żyć! – Zamilkł speszony na widok rodziców Justyny i rzucił swoim przyjaciołom zdumione spojrzenie. Rodzice przywitani się, po czym wrócili do siebie, żeby cała czwórka mogła spokojnie porozmawiać.

Justyna zaprosiła ich do jadalni. Usiedli za dużym stołem, a pan Janek, nie czekając na zamówienie, postawił przed nimi pieczeń wołową z grzybami, która pachniała tak, że od razu zabrali się za jedzenie. Patrząc na mrożącego się szampana, Igor uniósł brwi i spojrzał pytająco na Justynę.

– Ej, jaka to okazja?

Justyna odłożyła sztućce.

– Zaprosiłam was, bo nie chciałam przekazywać tej nowiny przez telefon.

– Wychodzisz za mąż? – zapytał Jakub cicho.

– Jesteś w ciąży! – wypalił równocześnie z nim Dominik.

– Jezu, aż tak przytyłam?! – Przestraszyła się Justyna.

– Nie, wcale. – Zmieszał się. – Ale tak promieniejesz i uśmiechasz się tak jakoś, że od razu pomyślałem...

Pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy. Ale faktycznie, jestem bardzo szczęśliwa. Wyobraźcie sobie... O Jezu, ciągle nie mogę w to uwierzyć... Mój brat zarobił ostatnio wielką kasę, zachciało mu się ją zainwestować i... I wykupiliśmy Leśną Ostoję od Konsultraku!

Midas zakrztusił się pieczenią. Dominik trzasnął go otwartą dłonią w kark, aż zadzwoniło. Chciał powtórzyć cios, ale przyjaciel spojrzał na niego



groźnie i pokazał mu trzymany w ręku nóż, więc zrezygnował.

– I co? – zapytał Jakub, kiedy już przestał kaszleć. Oczy dziwnie mu błyszczały. – Przeprowadzasz się do Drzewia?

– Nie, ja za bardzo kocham moje mieszkanie, no i moje miasto i pracę, żeby to tak po prostu rzucić. Ale na pewno będę tu przyjeżdżać na weekendy, święta i wakacje.

– Dobrze i to... – mruknął Jakub. – Ale mogłaś nas uprzedzić, że będziemy świętować, to poprosiłbym szwagra, żeby nas przywiózł i potem przyjechał nas odebrać...

– Spoko, wszystko ustalone. Mój tata was odwiezie, a jutro się stawisz po furgonetkę. Możesz otwierać szampana!

Siedzieli długo, rozmawiając i żartując. Justyna czuła się odprężona i szczęśliwa. Kiedy dołączyli do nich rodzice, tata od razu przeszedł do interesów.

– Chciałbym zrobić osobne wejście do pensjonatu, żebyśmy mieli trochę więcej prywatności – powiedział, dosiadając się do Jakuba. – I jeden z pokoi trzeba by było przerobić na kuchnię... No i mojej żonie marzy się prywatna weranda, oczywiście mniejsza niż ta z przodu, ale żeby mogła tam spokojnie posiedzieć... Tak sobie myślałem, żeby ten plac zabaw przenieść, a z tyłu urządzić przestrzeń dla nas...

– Nie ma sprawy! W przyszłym tygodniu kończę zlecenie i będę mógł się tym zająć. Zrobię panu kosztorys. No i Natalkę podeślę!

– A zdąży pan przed świętami? – Zaniepokoiła się Elżbieta Milska.

– Bez problemu!

Piotr Milski przesiadł się teraz o dwa krzesła dalej, żeby porozmawiać z Igorem.

– Proszę księdza, został nam, a właściwie mojemu synowi, jeszcze całkiem spory zapas gotówki i chcielibyśmy coś zrobić dla miejscowej społeczności, a najchętniej dla kościoła. Proszę mi powiedzieć, jakie są najpilniejsze

potrzeby?

– Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to nowe ławki, bo obawiam się, że te, które mamy, kiedyś się pod wiernymi załamają... Odłożyłem już trochę na ten cel, więc jeśli państwo się dorzucą...

– Załatwione! – Ucieszył się Piotr Milski. – Tak się składa, że od niedawna mam w rodzinie stolarza! Uf, cieszę się, że jakiś dobry uczynek mogę zrobić, bo mnie przytłoczył ten nagły dobrobyt!

## Rozdział 25

---

W niedzielny poranek Justyna siedziała z kawą na werandzie, patrząc z przyjemnością na ogród, w którym kwitły obficie róże w różnych kolorach, poprzetykane dorodnymi główkami chryzantem. Nisko w trawie odznaczały się intensywnym fioletem zimowity.

„Cudnie jest...” – pomyślała i wystawiła twarz do słońca.

Był to jeden z tych październikowych dni, kiedy jesień ustępuje miejsca latu i pozwala mu jeszcze trochę rozpieszczać spragnionych ciepła ludzi, zanim na dobre ogarną ich jesienne wiatry i mgły. Sielankę zakłócił jednak samochód z logo wypożyczalni, który wolno zbliżał się od strony lasu.

„Nowi goście” – stwierdziła w duchu i uśmiechnęła się uprzejmie, ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy zobaczyła siedzącego za kierownicą Eryka. Zerwała się z ławki, nie mając ochoty na konfrontację, ale w tym momencie zauważyła Jakuba Midasa, który szedł rażno podjazdem, żeby odebrać swoją furgonetkę. To dodało jej otuchy.

– Co ty tu robisz?! – warknęła w stronę Eryka.

Po tym, jak parę tygodni temu spotkała go na klatce schodowej i zagroziła, że powiadomi policję o szkalowaniu jej w firmie, mężczyzna omijał ją szerokim łukiem, więc sądziła, że nareszcie da jej spokój, tym bardziej że w odpowiedzi na jej zarzuty wykrztusił tylko ponure:

– Kiedyś może zrozumiesz, co tracisz... – I odszedł do swojego mieszkania.

Jego wizyta w Drzewiu świadczyła, że wcale nie zamierzał się poddać. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i rzucił jej pełne urazy spojrzenie, które już tak dobrze znała.

– A więc tak to sobie wymyśliłaś?! Zamierzasz się tutaj przeprowadzić i zniszczyć wszystko, co jest między nami?!

– Między nami nic nie ma i nigdy nie było! Uświadom to sobie wreszcie, psycholu!

Zatrzymał się u dołu schodów, patrząc na nią z mieszaniną niedowierzania i wściekłości.

– Nie wolno deptać miłości! Nie pozwolę ci na to!

Zrobił krok do przodu, ale w tym momencie wyrosła przed nim potężna sylwetka Jakuba Midasa.

– Słuchaj, kolego – powiedział Midas, mierząc go groźnym spojrzeniem. – Ja w zasadzie jestem bardzo miłym i pokojowo nastawionym facetem, ale jak ktoś wrzeszczy na MOJĄ dziewczynę i na dodatek gada jakieś bzdury o miłości, to robię się nieprzyjemny!

Eryk cofnął się o krok, a w jego spojrzeniu pojawiła się furia.

– Twoją dziewczynę?! Twoją dziewczynę?! A wiesz, kim ja jestem?! Powiedziała ci o mnie ta twoja dziewczyna?!

Midas udał, że się zastanawia.

– Czekaaj, czekaaj, niech no chwilę pomyślę... Mówiła coś, że ma popierdolonego sąsiada, który coś sobie uroił w swojej chorej główce. I wiesz co? Ten opis świetnie mi do ciebie pasuje! Spadaj stąd, gościu, dobrze ci radzę! Bo za chwilę przestanę być miły!

– No i niby co mi zrobisz?!

Jakub w ułamku sekundy pokonał dzielący ich dystans, chwycił Eryka za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Nie chcesz tego wiedzieć, pojebie! – wyszeptał tak, żeby Justyna go nie słyszała. – A jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Justyny, to pamiętaj, że ja wiem, gdzie mieszkasz! Lepiej załóż sobie pancerne drzwi do tego twojego mieszkanka, bo każde inne rozpierdolę w drobny mak i ciebie razem z nimi! – Odepchnął go od siebie i głośno już dodał: – Zjeżdżaj stąd, dopóki jeszcze masz komplet zębów i możesz poruszać się o własnych siłach!

Eryk z trudem odzyskał równowagę i spojrzał na Midasa z wściekłością. Był blady i drżały mu usta.

– Nie boję się ciebie! – wrzasnął, zaciskając pięści i ruszając w jego stronę.

– W takim razie świetnie ukrywasz swoją odwagę! – powiedziała Justyna, stając między nim a Jakubem. Przez chwilę patrzyła na Eryka w milczeniu, a kiedy się znowu odezwała, jej głos brzmiał twardo i stanowczo:

– Nie zastraszysz mnie! Nie pozwolę ci zniszczyć mojego spokoju i poczucia bezpieczeństwa! Wokół mnie jest wiele osób, na które mogę liczyć! Mam już trzech świadków tego, że mnie nękaś, a to wystarczy, żeby zawiadomić policję. Jak wrócę do domu, opowiem o tobie wszystkim sąsiadom, żeby mieli świadomość, z kim żyją pod jednym dachem. A jak jeszcze raz się tutaj pojawisz, to mój mężczyzna – w tym momencie cofnęła się o krok i objęła Jakuba – zrobi sobie z ciebie wycieraczkę! Wynoś się albo od razu wzywam gliny!

Eryk opuścił ręce. Z jego twarzy zniknął gniew, a zamiast niego pojawił się smutek i rozczarowanie.

– Jak możesz tego nie czuć?! Przecież my jesteśmy sobie przeznaczeni! Ten fotel mojej babci... Naprawdę myślisz, że to był przypadek? Nie wierzę w takie przypadki! To ona zrobiła! Chciała zwrócić na ciebie moją uwagę!

Justyna przewróciła oczami.

– Naprawdę myślisz, że twoja babcia z za grobu próbowała staranować mnie

fotelem, żeby ci uświadomić, że jesteśmy sobie przeznaczeni?! To jesteś jeszcze bardziej walnięty niż sądziłam, a uwierz mi, to duża sztuka!

– Walnięty?! – Popatrzył na nią z wyrzutem. – Może i tak... Bo oszalałem przez ciebie! Ciągłe o tobie myślę! Jesteś w każdej książce, którą czytam, w każdym wierszu, w każdej piosence o miłości... Co ty ze mną robisz?! Depczesz mi po sercu! A moje wszystkie listy do ciebie?! Nic dla ciebie nie znaczą? Nie możesz tego tak po prostu odrzucić!

– Nie ma czego odrzucać, bo nas nic nie łączy! Eryk, zbudowałeś sobie jakieś dziwne wyobrażenie o mnie i wmówiłeś sobie, że mnie kochasz. Jesteśmy sobie obcy! Nie znasz mnie, a ja nic nie wiem o tobie. I wcale nie chcę wiedzieć! To nie jest miłość, tylko jakaś chora obsesja! Zostaw mnie w spokoju!

– Myślałem, że jesteś inna...

– Ciesz się, koleś, że jest właśnie taka, bo gdyby nie stanęła między nami, leżałbyś już na intensywnej terapii! – warknął Jakub. – I jeśli zaraz stąd nie znikniesz, to rzeczywiście tam trafisz!

Przytulił Justynę do siebie i stali tak u stóp werandy, patrząc jak Eryk, z miną męczennika, wsiada do samochodu, rzuca im ostatnie – tym razem pełne wściekłości – spojrzenie i odjeżdża. Śledzili go wzrokiem, dopóki samochód nie zniknął w lesie, zostawiając za sobą tumany kurzu. Dopiero wtedy odetchnęli i spojrzeli na siebie.

– Dzięki... – powiedziała Justyna, siadając na schodach.

– Zawsze do usług. – Midas dołączył do niej i trochę niezdarnie poklepał ją po ramieniu.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. W końcu, kiedy emocje trochę opadły, Justyna rzuciła mu figlarne spojrzenie i zachichotała.

– Zjeżdżaj stąd, dopóki jeszcze możesz poruszać się o własnych siłach! – powtórzyła, naśladując jego niski głos. – Wow! Skąd wzięłeś ten tekst? Naprawdę mocny!

– No wiesz, ja tylko wyglądam na wrażliwego poetę, a w głębi duszy

drzemie we mnie prawdziwy macho! Ale to twoje „nieźle ukrywasz swoją odwagę” też było dobre!

– To akurat był cytat, więc nie moja zasługa...

– Wyjdę na ciołka, jeśli zapytam, z czego ten cytat?

– Raczej na kogoś, kto nie czyta i nie ogląda wiktoriańskich romansów...

Popatrzył na nią z zainteresowaniem.

– A ty czytasz i oglądasz?

– W sumie nie, ale jeden uwielbiam. *Wichrowe wzgórza* widziałam już z tysiąc razy i uważam, że to, co zrobił Ralph Fiennes z postacią Heathcliffa jest niesamowite! To właśnie on wypowiada ten tekst...

– Hmmmm... Chyba sobie ten film wypożyczę na wieczór. Jeśli masz ochotę obejrzeć go po raz tysiąc pierwszy, to zapraszam do mnie.

Uśmiechnęła się.

– Nie, wieczorem to ja tego nie oglądam, bo potem bym się zasnąć bała...

Popatrzył na nią z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Jakby co, mógłbym coś na to zaradzić... Jestem świetny w usuwaniu nocnych lęków!

– Nie wątpię, już zauważyłam, że masz wiele talentów... Brzmi kusząco, ale jutro idę do pracy, więc po południu muszę stąd zniknąć.

– Pojechać z tobą? – Jego głos brzmiał teraz poważnie, a oczy patrzyły z troską. – No wiesz, żeby sprawdzić, czy ten głupi baran czegoś nie wymyśli.

– Nie, dzięki. Już i tak zrobiłeś dużo. Jeśli coś wymyśli, to po prostu wezwę policję. Pewnie powinnam była to zrobić po tej jego wizycie u mnie w pracy...

– Wiesz co? Dominik często jeździ na jakieś szkolenia i zna policjantów z różnych miast. Zapytam go, czy nie zna kogoś od ciebie, żeby w razie czego potraktowali cię naprawdę poważnie.

– Okej.

– Justynko, przepraszam, że wam przerywam, ale... kim był ten młody człowiek? – Mama Justyny stała w drzwiach recepcji i patrzyła na córkę z niepokojem.

– To ten mój sąsiad, o którym ci opowiadałam. Gdyby znowu się tu pojawił, od razu dzwoń na policję!

Elżbieta Milska zdenerwowała się.

– Mój Boże, przyjechał za tobą aż tutaj?! To jest chyba jakiś wariat! Przecież on ci może w końcu krzywdę zrobić! Ja nie wiem, Justynko, chyba musisz zgłosić to na policję... Boję się o ciebie!

– No, też mi się to nie podoba... Najpierw wydawało mi się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy i że się ode mnie odzepi... Dopiero jak poszedł do mojego dyrektora, to zaczęłam podejrzewać, że nie pójdzie mi tak łatwo...

– Ale swoją drogą, co to za człowiek, żeby do czyjegoś szefa gadać takie rzeczy! Rozmawialiśmy o tym z tatą, to naprawdę było chore! I skąd niby mu ten twój romans biurowy przyszedł na myśl?! – Mama Justyny pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Powiedział dyrektorowi, że mnie w walentynki widział, jak z wielkim bukietem z biura wychodziłam.

– A wychodziłaś?

– No tak, ktoś mi przysłał kwiaty za pośrednictwem poczty kwiatowej, ale to chyba nie grzech?

– Kto?

Justyna wzruszyła ramionami.

– Najpierw myślałam, że Kamil, ale do kwiatów była dołączona karteczka z wierszem Leśmiana. Bardzo pięknym. Do Kamila to nie pasuje, on raczej zacytowałby Terminatora... No i róże też nie są w jego stylu...

– To miłe... Taki anonimowy wielbiciel... – Rozmarzyła się Elżbieta Milska, kątem oka rejestrując rumieniec i wyraz zakłopotania, jaki pojawił się



na twarzy Jakuba Midasa. Mężczyzna chrząknął, pochylił się i zaczął wiązać sznurowadła, które wcale nie były rozwiązane.

Po południu Justyna wyjeżdżała z Drzewia, mając w kieszeni dzinsów karteczkę z numerem telefonu znajomego policjanta Dominika Wira. Numer przydał jej się jeszcze tego samego dnia, bo kiedy dotarła pod swoje drzwi, ujrzała na wycieracze martwego gołębia. Wyglądało na to, że ktoś go rozjechał i zadał sobie trud, żeby przynieść truchło aż tutaj. Obok stał znicz, a na kłamce wisiał ogromny bukiet pokrzyw. Justyna stanęła jak wryta, patrząc na tę dziwną instalację. Aż podskoczyła, kiedy drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się i stanęła w nich pani Krysia.

– Zamierzałam to sprzątnąć – powiedziała bez zbędnych wstępów. – Ale uznałam, że może będzie pani chciała wezwać policję, bo to nie wygląda na zwykły głupawy żart. Jakby co, będę zeznawać, bo widziałam, kto to zrobił!

Justyna spojrzała na nią z zainteresowaniem, choć była pewna, że i ona zna tożsamość sprawcy.

– Nie jestem z tych, co to śledzą sąsiadów – zastrzegła pani Krysia. – Ale mówiła mi pani, że wróci dzisiaj pod wieczór, więc jak w południe usłyszałam jakiś ruch na klatce, wyjrzałam przez wizjer. Tyle się dzisiaj słyszy o różnych włamaniach...

– Dziękuję za czujność!

– No właśnie! I tam przy kłamce majstrował ten brunet, co nad panią mieszka! Najpierw myślałam, że próbuje się włamać, i od razu chciałam policję wzywać, ale potem zobaczyłam, że ma kwiatki i uznałam, że po prostu chce pani zrobić niespodziankę... No a jak potem otworzyłam drzwi i zobaczyłam, co to za niespodzianka, to już było za późno.

– Dzwonię na policję! – zdecydowała Justyna.

Znajomy Dominika Wira podesłał jej odpowiednio nastawionych kolegów, więc zgłoszenie zostało potraktowane bardzo poważnie. Panowie udali się na piętro i aresztowali Eryka pod zarzutem stalkingu. Zebrali „prezenty” z wycieraczki, wcześniej robiąc dokładną dokumentację fotograficzną,

a także wszystkie liściki w czerwonych kopertach, które Justyna wyjęła z kuchennej szuflady.

Po ich odjeździe Justyna usiadła w swoim pokoju, nastawiła płytę z odgłosami lasu i siedziała przez chwilę z zamkniętymi oczami, zastanawiając się, czy to naprawdę już koniec wybryków jej sąsiada.

W poniedziałkowe popołudnie, wracając z pracy, z obawą spojrzała na swoje drzwi, ale nie czekały na nią żadne niespodzianki. Weszła do mieszkania i zaczęła przygotowywać sałatkę, gdy ktoś zapukał. Znieruchomiła na moment.

– Weź się w garść! – powiedziała do siebie i poszła otworzyć. Na klatce schodowej stała para w średnim wieku.

– Czy pani Justyna Milska? – zapytała kobieta ubrana w kraciasty płaszcz.

– Tak.

– Leśniewscy – przedstawiła ich oboje. – Jesteśmy rodzicami Eryka, pani sąsiada. Chcieliśmy przeprosić za niego... I porozmawiać, jeśli można...

Justyna zaprosiła ich do środka, choć miała obawy, czy państwo Leśniewscy nie będą mieli pretensji, że przez nią ich syn wylądował w areszcie. Najwyraźniej jednak nie mieli, bo kiedy usiedli w salonie, na ich twarzach malowało się poczucie winy.

– Już kiedyś przeżyliśmy taką sytuację – powiedziała bez zbędnych wstępów pani Leśniewska. – Eryk poznał taką młodą dziewczynę, Laurę, podczas studiów i owładnęła nim jakaś obsesja... Chodził za nią jak cień, wystawał pod oknami, zaszczuł ją tak, że wpadła w depresję. Jej rodzice uświadomili nam, co się dzieje... Leczył się potem w szpitalu psychiatrycznym przez ponad rok, myśleliśmy, że wszystko już jest w porządku...

– Od tego czasu minęły trzy lata i zachowywał się zupełnie normalnie. No i kiedy pojawiła się okazja do zamieszkania w wielkim mieście, uznaliśmy, że zmiana środowiska dobrze mu zrobi – dodał pan Leśniewski. – Jak widać, pomyliliśmy się...

– Czy on... zrobił pani krzywdę? – Matka Eryka patrzyła na nią niepewnie, jakby bała się tego, co może usłyszeć.

Justyna opowiedziała im całą historię swojej znajomości z Erykiem. Kiedy doszła do martwego gołębia na wycieraczce, pani Leśniewska rozplakała się.

– Mój Boże, musiała się pani poczuć strasznie... Tak bardzo mi przykro... Nie powinniśmy go tak zostawiać... Teraz wszystko się zmieni. Nie wiemy, jaki wyrok dostanie, pewnie na leczenie go wyślą, a nie do celi, ale wszystko jedno. Pani już o nim nie usłyszy, obiecuję to pani. Zabierzemy go do domu, przejdzie terapię... Nie pozwolimy, żeby jeszcze ktoś musiał przeżywać przez niego coś takiego.

Wstali oboje i skierowali się do wyjścia. W progu ojciec Eryka odwrócił się i spojrzał Justynie prosto w oczy.

– Przyrzekam pani, że mój syn już nigdy się do pani nie zbliży! Jak wyjdzie z więzienia czy szpitala, zabierzemy go z powrotem do Tarnowa. Mieszkanie sprzedamy komuś albo wynajmiemy... Jest czas, żeby o tym pomyśleć... Do widzenia, pani Justyno!

Kiedy zamknęła za nimi drzwi, stała przez chwilę w przedpokoju, czując, jak opada z niej wielki ciężar. Uświadomiła sobie, w jakim napięciu spędziła ostatnie dwa dni. Nagromadzone emocje znalazły ujście w gwałtownym szlochu, który wyrwał się z jej gardła. Wróciła do pokoju i zwinęła się na kanapie, tuląc do siebie poduszkę. Słowa państwa Leśniewskich sprawiły, że w jej duszy znów zagościł spokój, ale zanim to nastąpiło, przez kilkanaście minut wyrzucała z siebie wszystkie złe emocje, puszczając najsmutniejsze piosenki, przy których nigdy nie umiała powstrzymać płaczu...

W końcu łzy przestały płynąć, Justyna wstała z kanapy, spojrzała w lustro w łazience i powiedziała stanowczo do swojego odbicia:

– Ani jednej łzy więcej z powodu tego psychola!

\*\*\*

Ostatni weekend października Justyna spędziła w Leśnej Ostoi, dokąd

nareszcie zawitał także Łukasz, jednak bez zapowiadanej szumnie nowej największej miłości swego życia.

– A gdzie Mariola? – zapytała Justyna, która pojawiła się w Drzewiu w sobotni poranek i rozglądała się w poszukiwaniu długowłosej zwiewnej rusałki, w jakich zwykle gustował jej brat.

Łukasz wzruszył ramionami.

– Pojechała do Włoch. Z gościem, którego poznała podczas naszej wspólnej wspinaczki... – Zacisnął pięści. – Taki konus cholerny! Mały, chudy, obleśny! A ona patrzyła na niego, jakby był jakimś cholernym Clooneyem! Zaprosił ją do swojej luksusowej willi na południu Sycylii.

Łukasz był przyzwyczajony do tego, że przegrywał konfrontację dziewczyn z jego ekstremalnymi pasjami, ale z innym mężczyzną? To się nie zdarzało!

– Ech. – Justyna machnęła ręką. – Wobec takiej zalety, jak willa w pięknym miejscu, niektóre kobiety czasem robią się płytkie i tracą z oczu to, o czym my, kobiety głębokie i mądre wiemy, że jest najważniejsze w facecie, czyli... szerokie ramiona i piękne oczy... A nie wspomniałeś jej, że masz pensjonat?

– To miała być niespodzianka, zamierzałem jej powiedzieć, jak już będziemy tu na miejscu... Zresztą wiesz, nie chciałem wyjść na jakiegoś palanta, który próbuje zaimponować lasce kasą...

– Nie przejmuj się, bratek. Jeszcze spotkasz fantastyczną kobietę, która się na tobie pozna!

– Sam już nie wiem, Justyna. Ja się chyba starzeję...

– Niemożliwe! Jesteś młodszy ode mnie, a ja jestem bardzo młoda! Przestań już kwękać, zabieraj plecak i chodźmy na wzgórze, żeby popatrzeć, jakie cuda jesień zmalowała w okolicy!

Pół godziny później stali już na szczycie, wpatrując się w bajecznie kolorowe korony drzew, poprzątkane gdzieniegdzie zielonymi świerkami i sosnami oraz błękitno-srebrnymi nitkami strumyków. Tatry tym razem zasłonięte były przez ciemne chmury, które zbierały się nad okolicą, jednak widok i tak zapierał dech w piersiach.

– Nie ma co... Sycylia się nie umywa! – westchnęła Justyna.

– Fakt. Dzięki, że mnie namówiłaś na ten zakup. Sam bym o tym nigdy nie pomyślał, a teraz widzę, że to miejsce jest dla nas idealne. Rodzice jakby odmłodzieli o ładnych parę lat! I ty też promieniejesz!

Stali tak jeszcze przez kilka minut, w milczeniu podziwiając spektakl kolorów, chmur i mgieł, a potem zeszli stromą ścieżką w kierunku pensjonatu.

# LISTOPAD

---

*Uśmiech słońca daleki i chory –  
niebo w chmury spowite i złe.  
Płaczą wichrem zziębnięte wieczory,  
Drżące ranki chowają się w mgłę.*

EDWARD SZYMAŃSKI

## Rozdział 26

---

Cmentarz w Drzewiu lśnił blaskiem setek świec i zniczy. Na każdym grobie stały wiązanki różnokolorowych kwiatów, małe, duże, sztuczne i naturalne. Na grobie Basi leżał wianek z białych kwiatów, a syn Basi, który go tutaj przyniósł, usiadł na płycie grobowej i zapatrzył się na czarną tablicę z nazwiskiem matki. Jak zawsze w takich chwilach, zamyślił się głęboko, wspominając spędzone razem lata. Przymknął oczy i wydawało mu się, że słyszy śmiech matki.

Basia urodziła się, kiedy jej rodzice dawno już uznali, że ich małżeństwo nie zostanie pobłogosławione potomstwem. Oboje byli już dobrze po czterdziestce, kiedy na świat przysłała mała iskiereczka i wniosła w ich życie wiele radości, ale i wiele trosk. Wychowywali ją najlepiej jak umieli. Nie byli bogaci, jednak starali się, by ich Basia miała wszystko, o czym zamarzy.

– To nasza mała księżniczka! – mawiali z dumą.

Jednocześnie nie było w Drzewiu dziecka, które tak często słyszałoby „Nie”, i „Nie wolno” jak mała Basia. W efekcie rosła, nie znając przyjemności wspinania się na drzewa („Mogłabyś spaść i coś sobie

złamać”), pluskania się w leśnym strumyku („Mogłabyś się utopić”), czy nawet leżenia na trawie („Ziemia jest zimna, przeziębisz się” albo „coś cię ugryzie”). Kiedy zaczęła dojrzewać, jako jedyna z klasy nigdy nie pojawiła się na żadnej potańcówce czy balu, a na wycieczkę klasową do Krakowa rodzice puścili ją dopiero po interwencji księdza proboszcza, którego dziewczyna ubłagała o wstawiennictwo.

Nastoletnia Basia z utęsknieniem wypatrywała więc osiemnastych urodzin, w przekonaniu, że wówczas już nikt niczego nie będzie jej mógł zabronić.

– Nareszcie będę mogła robić to, co chcę i chodzić tam, gdzie chcę! I nikt nie będzie mi mówił, że czegoś mi nie wolno! – zapowiadała buńczucznie koleżankom ze szkoły.

Jej życzenie spełniło się dwa miesiące przed wyczekiwaną osiemnastką, choć nie w taki sposób, jak miało to wyglądać... Jej rodzice zginęli. Ciężarówka ich potrafiła na wiejskiej drodze, kiedy wracali z pola... Basia kompletnie się załamała i pogubiła, przytłoczyło ją gospodarstwo, nowe obowiązki... Nie była przygotowana do samodzielnego życia, nigdy nic od niej nie zależało, nigdy za nic nie odpowiadała...

– Co ja mam teraz sama z tym wszystkim zrobić? – Płakała.

Dlatego jak tylko osiągnęła pełnoletniość, od razu sprzedała ziemię po rodzicach, zostawiając sobie tylko dość stary i podniszczony dom, sad i ogród, chociaż ciotka Wanda, siostra matki, prosiła ją, żeby się zastanowiła nad tym wszystkim, żeby choć kilka miesięcy poczekała z decyzją. Basia nie chciała nikogo słuchać.

– Po co mi ta ziemia? Dla siebie samej mam uprawiać to wszystko?

Pieniądze, które dostała ze sprzedaży ziemi, uderzyły jej do głowy. Poczuli się bardzo bogata i niezależna i postanowiła, że zrobi sobie przerwę od wszystkiego i wszystkich.

– Lecę do Jugosławii, ciociu! – oznajmiła zdumionej ciotce, wróciwszy pewnego dnia z miasta, dokąd zawiózł ją ojciec jednej z koleżanek, który akurat odwiedzał tam rodzinę. – Wykupiłam sobie luksusowe wczasy!



– Ale jak to? Sama chcesz lecieć, Basieńko? Do obcego kraju?

– A tak! – zaperzyła się. – Ja do tej pory tylko raz wyjechałam z Drzewia. I to ledwie do Krakowa! A chcę zobaczyć świat! W Jugosławii są piękne plaże, palmy, luksusowe hotele... Widziałam folder, ciociu, tam to jest dopiero życie!

Nic nie było w stanie przekonać jej do zmiany zdania. Na lotnisko zawiózł ją – poproszony przez ciotkę – ksiądz proboszcz, który przez całą tę długą drogę przestrzegał Basię przed pokusami, jakie niesie wielki świat. Siedząca na przednim siedzeniu ciotka również dorzucała swoje i Basia nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się na lotnisku, z dala od Drzewia i zaściankowości, więc gdy tylko dojechali do lotniska, wyskoczyła z samochodu, podziękowała księdzu, uściskała ciotkę i niemal biegiem ruszyła w stronę hali odpraw, nie słuchając już kolejnych przestróg i napomnień.

– Wyślę ci pocztówkę z palmami! – zawołała, machając ciotce z daleka.

Tłum na lotnisku oczarował ją swoją egzotyką i różnorodnością. Po raz pierwszy w swoim życiu widziała czarnoskóre osoby – niektórzy mieli nawet kolorowe stroje, jakie oglądała na slajdach wyświetlanych na spotkaniu z podróżnikiem podczas lekcji geografii. Minęła ją też para Japończyków, Arabka zasłonięta tak, że widać jej było tylko oczy, a obok kantoru Basia dostrzegła dwie całujące się namiętnie dziewczyny!

„O rany!” – Rozglądała się zafascynowana, ale i trochę onieśmielona dochodzącymi zewsząd strzępami rozmów w różnych językach, z których żadnego nie знаła. Zazdrościła pięknym eleganckim paniom, które szły swobodnie przez halę odpraw, na swoich niebotycznie wysokich obcasach, w pięknych sukienkach i ze zgrabnymi walizeczkami, oszałamiał ją zapach, jaki roztaczały, blask ich włosów, kolory szminek. Spojrzała na siebie w dużym lustrze i wydała się sobie taka bezbarwna i zaściankowa, że aż zachciało jej się płakać. Wkrótce jednak znów ogarnęła ją ekscytacja, która pogłębiła się jeszcze, gdy usiadła już na wskazanym przez śliczną stewardesę miejscu w samolocie.

„Kupię sobie jakieś markowe perfumy i kosmetyki!” – postanowiła

w duchu.

Po trzech godzinach lotu znów powitał ją gwar lotniska, ale tym razem tłum wydał jej się bardziej spokojny, powolny, wyciszony. Jakby fakt dotarcia do celu wyzwalał w ludziach większe pokłady cierpliwości. Gdy wraz z grupą turystów opuściła lotnisko, podbiegł do niej młody mężczyzna, wskazując zapraszającym gestem samochód z tabliczką „Taxi”.

– Welcome, lady! – wołał. – Taxi!

Pokazała mu kartkę z adresem hotelu, a wtedy uśmiechnął się serdecznie, zabrał jej z rąk walizkę i ostrożnie umieścił w samochodzie, ponownie zapraszając dziewczynę do środka. Jechali przez miasto, które Basię zachwycało, a kierowca przez cały czas wołał coś z entuzjazmem, wskazując różne budowle i pomniki. Kiedy Basia wysiadła przed hotelem, otworzyła oczy ze zdumienia na widok ogromnego budynku, z pięknie utrzymanym ogrodem, w którym rosły palmy. Nieco dalej zauważyła nawet fontannę.

„Ale to wszystko piękne!” – myślała.

Nie miała jednak czasu na podziwianie widoków, bo z hotelu wybiegł młody człowiek w zielonym uniformie, uklonił się jej i wziął od kierowcy jej walizkę. Basia zapłaciła taksówkarzowi i ruszyła za boyem do recepcji, gdzie powitał ją elegancki starszy pan, wręczając klucze i życząc w kilku językach miłego pobytu, choć Basia znała tylko rosyjski, na dodatek słabo.

Hol był okazały, wyłożony kolorową, lśniąca posadzką, a kręte schody, którymi poprowadził ją boy, przykrywał puszysty chodnik. Jej pokój znajdował się na pierwszym piętrze i rozciągał się z niego wspaniały widok na morski brzeg. Patrzyła jak urzeczona na błękit morza i złoty piasek, po czym rozpakowała się błyskawicznie, przebrała w kolorową sukienkę, którą kupiła specjalnie na tę okazję i pobiegła na plażę. Czuła dotyk promieni słonecznych na ramionach i łagodny powiew morskiej bryzy.

– W Drzewiu takich widoków nie uświadczysz... – szepnęła do siebie, zachwycona niebem, które tutaj wydawało się jej o wiele bardziej błękitne niż w rodzinnej wsi.

Następnego dnia pospacerowała także po mieście, gdzie trafiła do ślicznej perfumerii, z której wyszła obładowana kosmetykami i perfumami, jakich nigdy wcześniej nie miała okazji dotykać. Miały tak cudne buteleczki i opakowania, że oglądała je później godzinami, gładząc kolorowe słoiczki i wachając zawartość.

– Nikt w Drzewiu takich nie ma! – powiedziała do siebie z triumfem.

Po obiedzie popływała w hotelowym basenie, za to wieczorem zdecydowała się wyjść na plażę, żeby popatrzeć na zachód słońca. Założyła cieniutką sukienkę, skropiła się nowymi perfumami, które pachniały jak różany ogród, i ruszyła przed siebie, rozglądając się z uwagą i chłonąc piękno otoczenia. Spektakl na niebie był wspaniały, słońce wyglądało, jakby zniknęło w morskich głębinach, rozlewając wokół swoje świetliste promienie...

„Boże, jak pięknie...” – Basia była oczarowana i pozostała na plaży jeszcze długo, do momentu, gdy prawie wszyscy turyści sobie poszli. Kiedy na niebie pojawił się księżyc, podniosła się i ruszyła bosą w jego srebrzystym świetle, pozwalając falom obmywać jej stopy i zachwycając się pięknem krajobrazu.

„Tu jest jak w bajce...” – myślała.

W pewnym momencie usłyszała stłumiony dźwięk gitary i cichy, melodyjny głos, śpiewający piosenkę przepęlną tak wielką tęsknotą, że łzy napłynęły jej do oczu. Ten głos przyciągał ją, niczym syreni śpiew, miała wrażenie, że nigdy wcześniej nie słyszała niczego równie pięknego. Głos dochodził z zagajnika, który wbijał się klinem w plażę, odcinając w złotym piasku zielony trójkąt. Basia pozwoliła się poprowadzić zielonej ścieżce, a po kilku krokach zatrzymała się, urzeczona widokiem, jaki pojawił się przed jej oczami.

„Nigdy nie widziałam nikogo tak pięknego...” – patrzyła jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać wzroku od postaci oświetlonej srebrzystym blaskiem księżyca.

Na skale siedział młody mężczyzna z gitarą, wpatrując się w niebo rozmarzonym wzrokiem. Miał kruczoczarne włosy, oliwkową cerę i smukłą, zgrabną sylwetkę. Śpiewał swą smutną piosenkę, ale kiedy zauważył Basię,

urwał gwałtownie, po czym zaśpiewał znowu, ale tym razem inny utwór, znacznie weselszy. Patrzył przy tym prosto na nią i uśmiechał się tak, że serce Basi fiknęło koziołka.

„To chyba anioł...”.

Teraz jego niski, melodyjny głos miał w sobie tak wielką moc uwodzenia, że Basia zadrzała. Mężczyzna, nie przestając śpiewać, podniósł się, zerwał rosnący na skale biały kwiat, podszedł wolno do Basi i wsunął jej kwiat we włosy. W świetle księżyca widziała jego piękną twarz, w której lśniły intensywnie niebieskie oczy, otoczone gęstą firaną długich, czarnych rzęs. Te oczy patrzyły na nią tak, jak jeszcze nikt nigdy na nią nie patrzył.

Skończył śpiewać, uklonił się i wskazując na siebie, powiedział:

– Goran.

Spojrzał na nią pytająco.

– Barbara – wyszeptała, bojąc się, że gdy przemówi głośniej, głos odmówi jej posłuszeństwa.

Chwytał ją za rękę i pociągnął za sobą, w stronę morza. Jego dłoń była ciepła, a uścisk mocny i zdecydowany, ale jednocześnie jego palce gładziły jej skórę w delikatnej, niezwykle zmysłowej pieszczocie. Szli, patrząc sobie w oczy, a morskie fale obmywały ich bose stopy. Odprowadził ją pod sam hotel, a potem pożegnał się, całując jej dłoń i szepcząc jakieś słowa, których nie rozumiała.

Kolejny dzień spędzili razem, spacerując po plaży. Goran czekał na nią rano przed hotelem, choć nie umawiali się na żadne spotkanie. Znow wsunął jej we włosy biały kwiat i delikatnie pocałował ją w policzek.

Trzymali się za ręce i Basi wydawało się to tak naturalne, jakby ich dłonie szukały siebie od momentu, gdy przyszli na świat. Niewiele mówili, bo Goran znał po rosyjsku tylko kilka słów, ale ich spojrzenia i uśmiechy mówiły więcej niż tysiące zdań. Wieczorem Goran usiadł u jej stóp na plaży i śpiewał tylko dla niej, wpatrując się w nią z niekłamanym zachwytem. Potem podniósł się i wyciągnął do niej rękę, zapraszając do tańca w świetle księżyca.

Basia czuła jego muskularne ciało i ciepłe, mocne dłonie, gładzące jej plecy. Niebieskie oczy błędziły po jej twarzy, a usta wypowiedziały kilka słów namiętnym szeptem i zbliżyły się do jej ust. Od tej chwili Basia nie widziała już niczego oprócz tych pięknych oczu, zatraciła się w tym spojrzeniu, pozwalając przemawiać jego dłoniom i ustom. Gdy położył ją na ciepłym piasku i obsypał całe ciało pocałunkami, nie potrafiła mu niczego odmówić.

– Tak... – szeptała gorączkowo, niemal tracąc zmysły.

Kiedy poczuła go w sobie, z jej ust wydobyło się westchnienie. Patrzyła na unoszącą się nad nią jego piękną twarz i pomyślała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Zasnęła w jego ramionach, czując na całym ciele dotyk morskiej bryzy i silne ramię Gorana, obejmujące jej talię.

Kiedy się obudziła, przez chwilę leżała, zdezorientowana i niepewna, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, czy też było tylko pięknym snem. Potem jej wzrok padł na białe kwiaty, ułożone obok niej w kształt serca. Rozczulona, gładziła ich delikatne płatki i rozglądała się w poszukiwaniu Gorana, ale nigdzie go nie było.

– Goran? – zawołała, ale odpowiedział jej tylko szum fal.

Ślady jego stóp, trochę już rozwiane przez nocną bryzę, prowadziły do morza. Basia założyła bieliznę i sukienkę i usiadła na piasku, wpatrując się w morskie fale. Przesiedziała tak do rana, ale jej piękny kochanek się nie pojawił. Zdenerwowana i smutna, wróciła do hotelu, zastanawiając się, czy nie powinna zawiadomić policji, że Goran być może utonął, jednak w głębi duszy czuła, że to nieprawda. Pływał jak ryba, a morze tutaj było spokojne i nawet wiele metrów od brzegu łatwo było trafić na płyciznę. Najwyraźniej po prostu sobie poszedł. Dlaczego ją zostawił?

Wieczorem znów wróciła na plażę, szukając go.

– Goran! – wołała raz po raz, a echo niesło jej głos daleko w morze.

Każdego wieczora wracała do zagajnika, w którym pierwszy raz się spotkali, spacerowała po plaży, przesiadywała w miejscu, w którym się kochali. Serce z kwiatów rozwiał wiatr, suche i zbrązowiałe badyle leżały

jeszcze gdzieniegdzie, szarpane wiatrem. Ostatnią noc przed wyjazdem spędziła w tym właśnie miejscu, układając serce ze znacznie bardziej trwałego materiału: kamieni wyciągniętych z morza. Kiedy było gotowe, uklękła obok i rozplakała się.

– Żegnaj... – wyszeptała, patrząc na swoje dzieło.

Do Drzewia wróciła pięknie opalona i mimo wszystko szczęśliwa: uzmysłowiła sobie, że przeżyła coś pięknego, romantycznego i magicznego, o czym wiele jej koleżanek może tylko pomarzyć. Przez jeden dzień i jedną noc była podziwiana, kochana i adorowana przez najpiękniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała. Dziewięć miesięcy później patrzyła na jego miniaturową kopię, którą położyła na nagim brzuchu... Dziecko miało ciemną cerę i czarne włosy, a jego oczy lśniły intensywnie niebieską barwą. Basia tuliła synka i płakała – sama nie wiedziała: ze szczęścia czy strachu, jaką przyszłość mu zapewni.

– Będę cię kochać, synku, i postaram się, żeby niczego ci w życiu nie zabrakło – wyszeptała, gładząc drobną twarzyczkę.

Ciotka Wanda zajęła się dziewczyną i jej maleństwem. Była wdową, miała wygodny dom z ogrodem, a jej jedyny syn od lat mieszkał gdzieś w świecie, rzadko pisywał do matki, więc czuła się samotna i niepotrzebna. Teraz miała dla kogo żyć. Dom był duży i Basia wraz z synkiem otrzymali osobną część, z własną kuchnią i łazienką.

– Jak go nazwiesz? – zapytała ciotka, kiedy układały chłopca w małym łóżeczku. – Może po twoim tacie?

– Tadeusz?! – W głosie Basi było słyhać taką niechęć, że ciotka aż zmarszczyła brwi.

– To piękne, tradycyjne imię!

– Mój synek będzie miał oryginalne imię! Imię dla silnego, nowoczesnego mężczyzny! – I rzeczywiście, nadała mu imię nowoczesne i zupełnie nie „drzewieckie”.

Ciotka znalazła dla niej pracę sprzątaczką w urzędzie gminy, Basia zarabiała

więc na potrzeby swoje i synka i dbała o niego. Chłopiec rósł i z każdym rokiem coraz bardziej przypominał swojego ojca: był jak on smukły, miał szerokie ramiona, kruczoczarne włosy, oliwkową cerę i przepiękne niebieskie oczy, na widok których starsze panie cmokały z zachwytem.

Dobrze im się żyło we trójkę. Często wieczorami siadali w ogrodzie i Basia opowiadała obojgu o swoich wakacjach. Opisywała luksusowy hotel, gwarne lotnisko, czyste plaże i oczywiście jego – zachwycającego mężczyznę, który w jej opowieściach (i własnych wspomnieniach) zmienił się w jakiegoś anioła, który pojawił się na świecie tylko po to, aby dać jej największy skarb, dzięki któremu ich miłość przetrwała.

– Ty jesteś tym skarbem... – szeptała do synka, gładząc jego czarną czuprynę.

Po kilku latach spokoju wróciły złe czasy. Ciocia Wanda ciężko zachorowała i w ciągu paru miesięcy zmarła, a jej syn przyleciał ze Stanów tylko po to, żeby sprzedać dom. Basia i jej synek musieli więc przeprowadzić się do jej starej chatki po rodzicach. Dom był zniszczony i wymagał remontu, wszystko się tam sypało. Basia próbowała łątać dziury w dachu, jej synek pomalował elewację, ale sami niewiele byli w stanie poprawić. Chłopiec, mając ledwie dziesięć lat, najmował się do różnych prac, pomagał, gdzie się dało, żeby wesprzeć matkę, a ludzie chętnie zlecali mu różne drobne zajęcia, znając sytuację obojga. Podpatrywał też mężczyzn pracujących przy budowach i sam próbował naprawiać to, co się w ich domu sypało. Ale było tego zbyt dużo na jego możliwości...

– Co my zrobimy w tej ruderze? – płakała Basia.

I podczas gdy jej syn starał się i krzątał wokół gospodarstwa, zakładał ogródek, pragnąc, by mieli własne warzywa i owoce, ona pogrążała się w smutku i zniechęceniu. Każdego dnia wstawała z łóżka bardziej ociężała, a z pracy wracała coraz smutniejsza. Kilku mężczyzn z wioski uznało ją za łatwą zdobycz, zaczęło zapraszać na wódkę, obiecywało pomoc przy naprawie domu. Początkowo odmawiała, później zaczęło jej być wszystko jedno – byle tylko choć na moment nie myśleć o złym życiu i starym,

walącym się domu.

Pewnego dnia jej synek, wracając ze szkoły, znalazł ją leżącą w rowie, kompletnie pijaną. Zaprowadził ją do domu i położył do łóżka, a ona płakała w poduszkę i szeptała:

– Przepraszam, kochany...

To zaczęło się zdarzać coraz częściej. Drzewie to mała wioska, ludzie kiwali więc głowami nad upadkiem młodej matki i losem jej synka, czasem któraś z kobiet przyniosła ugotowany obiad, inna – podrzuciła jajka czy chleb, ale nikt nie próbował pomóc załamanej kobiecie uporać się z jej problemami.

– Po co się wtrącać w cudze życie? Mało to człowiek ma własnych kłopotów? – Wzruszali ramionami sąsiedzi.

Kiedy Basia pojawiła się w pracy tak pijana, że przewróciła się na wiadro z wodą, wylewając brudną ciecz na dywan sołtysa, została zwolniona. Teraz już na całe dni, a czasem i noce gdzieś znikła, wracała pijana do nieprzytomności. Zaszła w ciążę z którymś ze swoich kompanów od butelki... I wtedy już praktycznie nie trzeźwiała. Jej synek często po szkole wracał nie do siebie, lecz do domu najlepszego przyjaciela, bo u niego zawsze był obiad na stole, a rodzice kolegi lubili go i przyjmowali z uśmiechem... Niekiedy też przesiadywał w bibliotece, uciekając w świat książek od szarej codzienności.

– Oślepniesz kiedyś od tych literek! – ostrzegali koledzy, ale on tylko wzruszał ramionami i znikał za drzwiami biblioteki.

Kiedy Basia zaczęła rodzić, jej synek był w szkole, a ona była zbyt pijana, żeby wezwać pomoc. Poród był skomplikowany i kiedy chłopiec wrócił do domu, zastał prawdziwą jatkę. Wszystko było we krwi. Pobiegł do sąsiadów, którzy mieli telefon, i oni wezwali pogotowie, ale nic już się nie dało zrobić, ani dla Basi, ani dla jej córeczki. Obie umarły. Chłopiec miał wtedy czternaście lat. Chcieli go oddać do domu dziecka, ale wówczas jego przyjaciel, Jakub Midas, z którym znał się od dziecka, tak naciskał na swoich rodziców, że zdecydowali się go przygarnąć.



– „Nie możecie go tak zostawić!” – krzyczał. „Jak go nie weźmiecie, to ja razem z nim idę do tego domu dziecka! Nie chcę mieć takich rodziców!”

Chłopiec nie chciał, by rodzice przyjaciela go adoptowali – uważał, że w ten sposób zdradziłby pamięć matki – więc zostali dla niego rodziną zastępczą, dopóki nie stał się pełnoletni. Do dzisiaj uważał ich za swoją rodzinę, a Jakub był dla niego więcej niż bratem...

– Nie zimno księdzu? Tak długo tu ksiądz siedzi... – Głos starszego mężczyzny wyrwał Igora Michalskiego z zamyślenia. Ksiądz wstał z grobu matki, patrząc na serce splecione z białych lilii, które dla niej przyniósł.

– Zamyśliłem się. – Igor uśmiechnął się smutno do swojego parafianina i wolnym krokiem wyszedł z cmentarza.

## Rozdział 27

---

Jedenasty listopada wypadł w tym roku w piątek, więc Justyna już w czwartkowe popołudnie pojawiła się w Drzewiu. Kiedy wjeżdżała w las, zrobiło się już zupełnie ciemno, więc zredukowała prędkość do minimum, w obawie, że na drogę może wyskoczyć jakieś zwierzę. W blasku reflektorów samochodu wyłaniały się drzewa, o tej porze roku już prawie zupełnie pozbawione liści, a przez to surowe i trochę groźne. Patrzyła na ponury krajobraz w zamyśleniu. W pewnej chwili zauważyła gdzieś z boku dziwny blask.

„Ktoś pewnie łązi po lesie z latarką” – pomyślała i zamierzała jechać dalej, ale kolejna myśl sprawiła, że jednak zatrzymała samochód.

„A jeśli ktoś się zgubił? Jakieś dziecko? Wieczór jest zimny, nie mogę go tak zostawić...”.

Przeklinając swoją bujną wyobraźnię i miękkie serce, skierowała samochód w stronę, gdzie nadal błyskało nikłe światło i zaczęła mrugać reflektorami. Światło ruszyło w jej stronę. Po kilku minutach z lasu wyłoniła się potężna sylwetka Jakuba Midasa.

– Jakub, co za spotkanie! – Justyna wysiadła z samochodu i popatrzyła na niego z uśmiechem. – Co tak łazisz po lesie po ciemku? Masz nadzieję spotkać jakąś córkę leśniczego?

Kiedy spojrzała na jego pochmurną twarz, zrozumiała, że coś się stało.

– Babcia mi zginęła – powiedział zmęczonym głosem. – Wygląda na to, że na grzyby poszła... Szukam tutaj, bo po obu stronach tej ścieżki są jej dwa ulubione miejsca... Może je pamięta.

– Długo jej nie ma? Nikt jej nie widział?

– Gonilem po całej wsi i pytałem... Stara Kwietniowa widziała ją przed czwartą, jak szła w stronę lasu...

– Nie mogła jej zatrzymać?! – Justyna się wściekła, ale szybko zrozumiała, że nerwy tutaj w niczym nie pomogą. – Słuchaj, idź w tamtą stronę i ją wołaj – wskazała w las – a ja tutaj zostanę i będę migać reflektorami w przeciwnym kierunku.

Midas kiwnął głową i poszedł w stronę, którą mu pokazała. Żal ścisnął jej serce na widok smutku w jego oczach – zwykle tak roziskrzonych humorem. Zaczęła mrugać światłami, wpatrując się w ścianę lasu. Wyobraziła sobie, jak musi się czuć staruszka, błądząc tam gdzieś w ciemnościach, i aż zadrżała. Ogarnęło ją poczucie bezradności, kiedy tak stała, patrząc w nieprzenikniony mrok.

Po kilkunastu minutach reflektory wyłowiły z ciemności wysoką sylwetkę. Poruszała się wolno i niepewnie, więc Justyna ruszyła w jej stronę i po chwili rozpoznała w zbliżającej się postaci babcię Jakuba. Szybko wystukała SMS-a do Midasa i podbiegła do kobiety.

– To ty tak migasz tym światłem, dziecko? – zapytała starsza pani, uśmiechając się do niej ciepło. – Całe szczęście, bo przyznam ci się, że chyba się zgubiłam... Aż wstyd, bo przecież mieszkam tu od dzieciństwa...

– Żaden wstyd, po ciemku łatwo się zgubić. – Justyna wzięła ją pod rękę i poprowadziła w kierunku samochodu. Starsza pani drżała z zimna, bo miała na sobie tylko cieniutki sweter, zarzucony na równie cienką bluzkę. Justyna

zdejęła swoją kurtkę i okryła kobietę.

– Proszę, niech pani wsiądzie do samochodu, bo strasznie pani zmarzła... – Otworzyła drzwiczki i pomogła kobiecie zająć miejsce z tyłu. Podkręciła ogrzewanie i sama wsiadła po drugiej stronie.

– Skądś cię znam, kochanie, prawda? – Babcia Jakuba wnikliwie się jej przyglądała.

– Byłam kiedyś z Jakubem u pani na kolacji. Mam na imię Justyna i...

– Justynka? – Przerwała jej starsza pani, a jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. – Ta Justynka, co pensjonat tu otworzyła? Mój Kubuś ciągle o tobie mówi! Kubuś to mój wnuk! Złoty chłopak! Wiem, wszystkie babcie tak mówią o swoich wnukach, ale ja naprawdę mam wyjątkowe szczęście... Och, on pewnie się martwi, co się ze mną dzieje! – Zaniepokoiła się.

– Już mu napisałam, że się pani znalazła. – Uspokoila ją Justyna. – Zaraz tu będzie!

Staruszka pogładziła ją lodowatą ręką po twarzy.

– Cieszę się, że się spotykamy, Justynko. Tyle się o tobie nasłuchałam od Kuby... Jaka jesteś mądra, jaka zaradna... i jaka ładna... O tych twoich zielonych oczach to chyba ze sto razy wspomniał. Nawet kiedyś książkę z wierszami ode mnie pożyczał, żeby poszukać...

Gdzieś w pobliżu rozległo się pohukiwanie puszczyka i starsza pani zamilkła, wpatrując się w ciemność za szybą. Gdy znów przemówiła, jej głos był pozbawiony energii, a w oczach odbiła się tak dziwna pustka, że Justyna poczuła ciarki na całym ciele.

– Gdzie mnie pani wiezie?!

– Do domu – Uspokajająco pogładziła pomarszczoną dłoń. – Zaraz przyjdzie Jakub i pojedziemy.

– Jakub? – Spojrzenie kobiety ożywiło się.

– Pani wnuk...

Starsza pani wyprostowała się i odepchnęła rękę Justyny.

– Mój wnuk?! – Prychnęła gniewnie. – Proszę pani, ja mam dopiero dwadzieścia lat, gdzie mi tam do wnuków. Proszę mnie stąd natychmiast wypuścić!

Szarpnęła drzwi samochodu, ale zanim zdołała wysiąść, obok auta pojawił się Jakub. Na widok babci odetchnął z ulgą i przytulił ją do siebie.

– Kim pan jest?! – Kobieta wyrwała się i odepchnęła go.

Popatrzył na nią z czułością, od której Justynę ścisnęło w gardle. Wysiadła z auta i bezradnie przyglądała się tej scenie, nie bardzo wiedząc, czy powinna się wtrącać. Jakub tymczasem klęczał na ziemi, opierając dłonie na kolanach babci, która wciąż próbowała opuścić samochód.

– To ja, Jakub... – powtarzał niemal błagalnie.

– Jakub? – Kobieta w końcu znieruchomiała na chwilę i zaczęła mu się przyglądać z uwagą, a jej twarz stopniowo coraz bardziej się uspokajała. – Kubuś, mój kochany... – Wyciągnęła do niego ręce, a on chwycił je i pocałował.

– Pojedziemy teraz do domu, kochana – szepnął, a ona posłusznie cofnęła się z powrotem na siedzenie i rozsiadła wygodnie, przykrywając ramiona kurtką Justyny. Jakub gładził jej dłonie, aż kobieta zupełnie się rozluźniła. Wtedy położył ją na tylnym siedzeniu, nakrył swoją kurtką jej nogi i usiadł z przodu obok Justyny. Jechała wolno, starając się omijać większe nierówności, bo babcia Jakuba zasnęła, wyczerpana wędrówką i stresem. Podjechała pod dom Midasa i zatrzymała się tuż przy drzwiach.

– Dziękuję... – Jakub siedział przez chwilę ze spuszczoną głową, ukrywając twarz w dłoniach.

Justyna objęła go i pogłaskała po rozczochranych włosach. Podniósł wzrok i spojrzał na nią z takim smutkiem, że aż zakłuło ją serce.

– Lepiej przestań, bo się rozkleję... – wykrztusił.

– Śmiało... Ciemno wszędzie, nikt nie zobaczy... Jak się rozklejać, to tylko teraz! Warunki są idealne...

Uśmiechnął się smutno.

– Tak bardzo się boję, że kiedyś znajdę ją za późno... Że coś jej się stanie... Nie wiem, co robić. Ciągłe ją komuś podrzucam – codziennie jadąc do pracy, zawożę ją do moich rodziców, a potem odbieram od nich, jak dziecko z przedszkola... A przecież to ja się zobowiązałem do opieki!

Westchnął ciężko.

– Dzisiaj akurat moi rodzice pojechali do miasta na badania. Igor przyjechał do babci od rana, ale badania się przeciągnęły, a on musiał wrócić na mszę, więc zabrał ją ze sobą na plebanię. A ona sobie wymyśliła, że pójdzie do lasu... Gdybyśmy jej tak szybko nie znaleźli... – Pokręcił głową. – Zanedbuję ją i boję się, że ona to wie i ma o to do mnie żal... Beznadziejny ze mnie opiekun...

– Nie gadaj głupot, Kubuś... – szepnęła Justyna, całując go w czoło. – Nikogo nie zanedbujesz... Kiedy ją znalazłam, mówiła zupełnie świadomie i w każdym jej zdaniu słychać było, jak bardzo cię kocha.

– Rozmawiała z tobą?

– Powiedziała, że ma szczęście, że cię ma.

Oczy Jakuba podejrzenie zalsniły, więc Justyna zmierzwiła mu włosy i uśmiechnęła się.

– Proponuję, żebyś zaczął już sklejać się z powrotem, bo muszę wracać do pensjonatu, zanim moi rodzice zawiadomią FBI o moim zaginięciu! A na przyszłość, gdy będzie taka podbramkowa sytuacja, przywoź babcię do pensjonatu. Pogadam jeszcze o tym z rodzicami, ale na pewno nie będą mieli nic przeciwko, w końcu i tak są tam przez cały dzień...

– Dziękuję ci...

– Nie ma za co! Daj klucze, otworzę ci drzwi, a ty wprowadź babcię do domu, bo strasznie zmarzła w tym lesie.

Wysiadła z samochodu, otworzyła na oścież drzwi domu Jakuba i patrzyła, jak mężczyzna pochyła się nad babcią i bierze ją na ręce, jakby była małym

dzieckiem. Wniósł staruszkę do domu i położył na łóżku, po czym pochylił się i ściągnął jej buty. W tym momencie ten potężny mężczyzna wydał jej się niezwykle kruchy i delikatny. Justyna odłożyła klucze na stolik i cicho wyszła, nie chcąc zakłócać tej chwili.

Jadąc w kierunku pensjonatu, nie mogła wyrzucić z pamięci troski i czułości, jaka malowała się w oczach Jakuba, gdy patrzył na swoją babcie.

# GRUDZIEŃ



*Dopiero w samym środku zimy przekonałem się,  
że noszę w sobie niepokonane lato.*

ALBERT CAMUS



## Rozdział 28

---

Na dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem Justyna wzięła urlop i przyjechała do Drzewia. Dzięki delegacjom do pensjonatu zostało jej mnóstwo urlopu, postanowiła więc wykorzystać go na spędzenie beztrudnego czasu aż do końca roku. Czuła się podekscytowana jak mała dziewczynka na myśl o pierwszych świątach w tym pięknym miejscu. Łukasz miał przyjechać dwa dni przed Wigilią, wyjątkowo bez żadnej nowej miłości, co rodzina przyjęła ze zdziwieniem.

Gdy mijala znak „Drzewie wita”, zaczął prószyć śnieg. Zachwycona przyglądała się wirującym w powietrzu płatkom. Miała nadzieję, że te święta będą białe i naprawdę wyjątkowe.

Pensjonat zauważyła z daleka, bo cała weranda lśniła od kolorowych światełek. Justyna zaparkowała samochód w garażu i szła wolno alejką, napawając się tym widokiem. Drzewa i krzewy przykrywała cienka warstwa świeżego śniegu, więc ogród wyglądał jak z zimowej pocztówki.

Justyna weszła nowym wejściem, które Jakub Midas urządził z tyłu pensjonatu. Tam też dobudował werandę, a Natalka Szczęsna dobrała kwiatki

i krzewy, żeby mama Justyny mogła cieszyć się prywatnością i mieć własny piękny kawałek ogrodu. Naprzeciwko werandy rósł gęsty świerk i Justynie aż zaświeciły się oczy na myśl o tym, jak go udekoruje.

– Justynko! Fajnie, że już jesteś! – Mama wyszła z kuchni i przytuliła ją do siebie, obficie sypiąc wokół mąką. – Co masz w tym pudle?

– Ozdoby na choinkę! – Zademonstrowała jej swoje zbiory. – Od razu lecę dekorować drzewko w recepcji!

– Chociaż herbaty się najpierw napij!

– No doooobra – zgodziła się niechętnie Justyna. Wypiła herbatę w rekordowym czasie i pobiegła do recepcji.

W holu stała ogromna rozłożysta jodła, którą zamówiła przez Internet w centrum ogrodniczym dwa dni wcześniej, żeby mieć pewność, że będzie już na nią czekać. Prezentowała się wspaniale, ustawiona przez tatę Justyny w wielkiej drewnianej donicy, wypełnionej kamieniami, choć nie miała żadnych dekoracji, bo Justyna błagała rodziców, żeby pozwolili jej samej ubrać drzewko.

– Mam na nią pomysł! – przekonywała.

Już od października preparowała w glicerynie małe jabłuszka, owoce jarzębiny i gałązki głogu, żeby nie psuć jodły sztucznymi bombkami. Pudło z ozdobami było pierwszym, które wniosła do dworku, podczas gdy walizka z ubraniami nadal spoczywała w bagażniku samochodu. Justyna przywitała się z recepcjonistką, przytargała ze schowka drabinę i zaczęła przyczepiać do gałązek ozdoby.

– Ale śliczne! – zachwyciła się recepcjonistka. – Gdzie kupiłaś takie cuda?

– Sama zrobiłam! – odpowiedziała z dumą w głosie. – Jak się parę dni potrzyma takie rośliny w glicerynie, wyglądają jak żywe, a przy tym są trwałe.

Poprzypinała też do drzewka ledowe lampki do złudzenia przypominające woskowe świece. Początkowo chciała wykorzystać prawdziwe świece, ale uznała, że otwarty ogień w pobliżu gałązek niesie w sobie poważne

zagrożenie pożarowe, więc wyszukała w sieci prawdziwe cudenka, chociaż na widok ceny przeżyła chwilę grozy... Teraz jednak, kiedy odsunęła drabinę i podziwiała swe dzieło, wiedziała, że były warte każdej złotówki.

– No pięknie! – Tata Justyny stał w drzwiach recepcji, podpierając się pod boki i marszcząc groźnie brwi. – Tego się człowiek doczekał na starość, że córka ukochana zamiast się z ojcem przywitać, gania z drabiną po pensjonacie! Zobaczysz, Gwiazdka w tym roku do ciebie nie przyjdzie!

Justyna zrobiła płaczliwą minę.

– Już będę grzeczna, mój stary ojcze! – Podbiegła do niego i przytuliła się. – Odwołaj to! Gwiazdka nie może ominąć najlepszej na świecie córki, która na dodatek tak pięknie udekorowała choinkę! – Dodała, odsuwając się, żeby mógł zobaczyć jej dzieło.

– No, muszę przyznać, że naprawdę pięknie to zrobiłaś!

Zza pleców Piotra Milskiego wyłonił się rozbawiony usłyszana rozmową Igor i aż gwizdnął z podziwu na widok drzewka.

– Ej, prawdziwa artystka z ciebie!

– No a co myślałeś!

Uściskali się serdecznie.

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem podziękować Piotrowi za ławki w kościele! Dzisiaj pan Wysocki dostarczył ostatnią. Wyglądają niesamowicie! Jeśli kiedyś PRZYPADKIEM będziesz przechodzić koło kościoła, to zajrzyj. To taki budynek z krzyżem na górze, łatwo poznać.

Justyna przewróciła oczami.

– Dobra, dobra, proszę księdza...

– Igor! – Dobiegł ich z korytarza głos mamy Justyny. – Zjesz z nami kolację?

– Dziękuję, Elu, ale nie będę wam przeszkadzał. Wpadłem tylko

podziękować i już znikam!

Mama stanęła w drzwiach recepcji.

– Przyjaciele nigdy nie przeszkadzają! – powiedziała uroczyście. – Zresztą pan Janek powiedział, że na przyjazd Justyny przygotowuje coś specjalnego, więc ja na twoim miejscu nie chciałabym tego przegapić!

– No to mnie skusiłaś...

W drodze do jadalni wyjaśnił zdziwionej Justynie, że jej rodzice zaproponowali jemu i pozostałym muszkieterom przejście na ty.

– Ściślej mówiąc, najpierw zaproponowali Jakubowi, jak tu przy remoncie się uwijał, bo mnie ludzie nigdy nie traktują jak normalnego człowieka. A potem już tak jakoś naturalnie przeszło to też na Dominika, no i w końcu na mnie, bo często ich tu odwiedzaliśmy.

W jadalni czekała na nich niespodzianka: za pięknie udekorowanym stołem siedział Jakub Midas i nerwowo otrzepywał okruszki z koszuli. Na widok wchodzących zerwał się, przewracając szklanę z wodą. Machnął na to ręką i podszedł do Justyny, przytulając ją mocno.

– Yyyyyy... To ja już raczej podziękuję za kolację... – wyjąkała. – Bo chyba zmiążdżyłeś mi organy służące do trawienia...

Spłoszony, wypuścił ją z objęć.

– Przepraszam! Po prostu tak się ucieszyłem, że cię widzę...

– Siadajcie do stołu, kochani!

– Dominik ma służbę, więc nie mógł przyjść. Wpadnie jutro!

\*\*\*

Kolejny ranek Justyna spędziła, dekorując jadalnię. Cała ekipa kuchenna wyszła z zaplecza, żeby podziwiać jej dzieło, a kilku gości pensjonatu poprosiło o przepis na preparowanie roślin w glicerynie. Wychodząc ze schowka, gdzie trzymali drabinę, Justyna natknęła się na mamę. Elżbieta

Milska podśpiewywała pod nosem i uśmiechała się do siebie. Widać było, że pobyt w Drzewiu jej służy.

– Wiesz co, Justyś? – powiedziała. – Ja sobie tak pomyślałam, że może by zaprosić Wysockich i naszych trzech kochanych chłopaków na taką kolację przedwigilijną? Będziemy tu sami, to pierwsze święta w Drzewiu...

Już w październiku państwo Milscy zdecydowali, że na okres świąt nie przyjmą żadnych rezerwacji. Chcieli przeżyć Boże Narodzenie w rodzinnym gronie. Justyna zastanowiła się.

– W samą Wigilię nie chcę ich zapraszać, bo przecież oni mają swoje rodziny i pewnie zdążyli już wszystko zaplanować, zaprosić kogoś, bo późno się z tym pomysłem wyrwałam. A zresztą, to takie rodzinne święto, pewnie byśmy się wszyscy czuli niezręcznie. Ale tak dzień przed? Albo w pierwszy dzień świąt, na obiad? Co myślisz?

– Pogadam z muszkietierami.

Na konsultanta wybrała Dominika. Pomysł kolacji przedwigilijnej bardzo mu się spodobał.

– W samą Wigilię to by było ciężko się tak zorganizować! – powiedział, potwierdzając obawy mamy Justyny. – Moi rodzice by kwękali, że Wigilia poza domem to nie to samo. A babcia Jakuba to sama wiesz... Dzień przed będzie fajnie!

– No to serdecznie zapraszam!

Pozostałe zaproszenia wzięła na siebie mama Justyny. Wszyscy przyjęli pomysł przedwigilijnego spotkania z entuzjazmem, więc Elżbieta Milska natychmiast rzuciła się w wir planowania. Patrząc na przygotowaną przez nią listę zadań do wykonania, Justyna zmarszczyła brwi.

– Przecież masz tutaj pod dachem prawdziwego kucharza! Poproś go, żeby przygotował dania wigilijne dla wszystkich, i będzie po krzyku. A ty tylko piernik upiecz, bo takiego jak twój nikt nie umie!

– Och, tylko czy ja nie za mało przygotowałam tego ciasta?

Mama Justyny jeszcze w listopadzie przygotowywała ciasto na piernik, które dojrzewało teraz w piwnicy. W tym roku, myśląc o poczęstowaniu nowych przyjaciół, zrobiła go trzy razy więcej niż zwykle, ale i tak miała wątpliwości.

– Wystarczyłoby dla pułku wojska! – Uspokoiła ją Justyna.

Po rozmowie z kucharzem Elżbieta Milska pozbyła się wątpliwości, czy będzie on umiał przygotować prawdziwie domowe dania.

– Proszę zamówić wszystkiego tyle, żeby pan i obie pomocnice mogli sobie wziąć do domu gotowe dania – powiedziała. – No i oczywiście w Wigilię nie musicie już państwo przychodzić do pracy. Zobaczymy się dopiero po świątach. To taki dodatkowy urlop w prezencie świątecznym.

Przygotowania ruszyły pełną parą. Justyna pojechała z tatą do miasteczka, żeby kupić prezenty – sama już dawno kupiła podarunki dla wszystkich, ale Piotr Milski uznał, że od niego też każdy z gości powinien coś otrzymać. Przy okazji Justyna wpadła na pomysł oryginalnego udekorowania rosnącego w ogrodzie drzewka, więc podjechali do marketu oddalonego o dwadzieścia kilometrów od Drzewia.

– Po co ci tyle tego? – dziwił się tata, gdy pakowali wszystko do bagażnika.

– Zobaczysz!

Po powrocie do pensjonatu zastali w ogrodzie Natalkę Szczęsną. Uściskały się serdecznie z Justyną.

– Jak mi tatuś powiedział, że pani przyjechała, to od razu chciałam lecieć. Ale mama mi kazała się uczyć, bo wczoraj miałam sprawdzian z matmy.

– I jak ci poszedł?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Chyba dobrze... Ale ja zawsze myślę, że chyba dobrze, a potem trójkę dostaję...

– Tak to już bywa z matmą. Jak chcesz, to mogę ci trochę pomóc w lekcjach, jestem w tym dobra.

– Dziękuję! Jak sobie z czymś nie będę radzić, a pani będzie w Drzewiu, to przyjdę.

– Jak nie będzie Justynki, to ja pomogę – zaofiarował się Piotr Milski. – Z matmy jestem orłem!

Weszli tylnym wejściem i Natalka rozejrzała się uważnie.

– Sporo się zmieniło. Ładnie jest! Ale choinkę to macie trochę małą – dodała na widok stojącej w sporej donicy w salonie sosny, której Justyna jeszcze nie udekorowała.

– To zajrzyj do recepcji!

Choinka w recepcji wywołała zachwyt Natalki.

– Jest piękna! Jak z bajki!

Justyna uśmiechnęła się, zadowolona z pochwały.

– Wiesz co – powiedziała do dziewczynki. – Niedawno był u mnie Święty Mikołaj i coś dla ciebie zostawił. Zaraz przyniosę!

Po chwili przyniosła ze swojego pokoju cztery wielkie paczki. Trzy wręczyła Natalce, czwartą odłożyła na bok.

– Ta jest dla twojego brata!

Natalka oglądała prezenty z nabożnym zachwytem.

– Barbie ogrodniczka! Nigdy nie miałam Barbie! Jakie ma fajne grabki! I spodnie, prawie takie jak moje!

W drugiej paczce było mnóstwo słodyczy, a w trzeciej – ogromna księga bajek z całego świata. Przepięknie ilustrowana, w twardej oprawie, wywołała rumieńce na twarzy dziewczynki.

– Piękna! Będę ją też bratu czytać! Dziękuję! – Przytuliła się do Justyny i wyszeptała jej do ucha: – Bo wie pani, ja już wiem, że nie ma mikołaja!

Justyna złapała się za głowę.

– Jak to nie ma mikołaja?! Nie ma mikołaja?! To co to był za dziwny facet,

który mi to wszystko przyniósł?!

Natalka jeszcze raz obejrzała prezenty, a potem zniosła je do samochodu taty, żeby przypadkiem nic im się nie stało. Na widok nieudekorowanej choinki rosnącej naprzeciwko nowej werandy z tyłu dworku zmarszczyła brwi.

– Ubiorę ją w poniedziałek – powiedziała Justyna, widząc jej spojrzenie. – W końcu jest dopiero połowa grudnia!

– A bałwana ulepicie? Bo fajnie by wyglądał koło choinki. A śniegu jest w tym roku tyle, że można by nawet osiem ulepić!

– No, jeśli mi pomożesz...

Po paru minutach obie były zajęte lepieniem śniegowych kul. Mikołaj Szczęsny, który akurat odśnieżał podjazd, słysząc wesoły śmiech córki, zajrzał na tył pensjonatu i ochoczo przyłączył się do zabawy. Bałwan wyszedł im bardzo okazały.

– Tylko nie wbijajmy mu marchewki w nos – poprosiła Natalka. – Bo mu ptaki podziobią!

– Dobra. To z czego proponujesz nos?

Dziewczynka rozejrzała się, po czym wzięła kilka kamieni z podjazdu.

– O proszę! Nos i oczy! Coś na głowę by mu się przydało!

Justyna pobiegła do recepcji i przyniosła stamtąd jeden ze starych filcowych kapeluszy, które podczas urządzania pensjonatu znalazła swego czasu na strychu. Zostawiła je jako element dekoracji, ale jeden zdecydowała się teraz poświęcić. W kapeluszu na głowie bałwan prezentował się dostojnie i elegancko.

Siedzieli później wszyscy w salonie państwa Milskich, słuchając opowieści Natalki o szkolnym życiu. Była sobota, więc Mikołaj Szczęsny zgodził się, żeby zostali dłużej, widząc, jak Natalka dobrze czuje się w tym domu. Kiedy się zegnali, dziewczynka jeszcze raz mocno uściskała Justynę i podziękowała za prezenty.



W poniedziałkowy poranek Justyna stała na drabinie w ogrodzie i mocowała do gałązek świerku suszone śliwki, jabłka i gruszki. W tle grała jej autorska składanka zimowych przebojów, którą zaczynał Garou wychrypianym seksownie *Mon beau sapin*, a kończył Krzysztof Zalewski z piosenką *Zimowy*, w której słyhać było trzaskający mróz i proszący z nieba śnieg. Trzej muszkieterowie, którzy przyszli właśnie do pensjonatu, żeby wprosić się na słynną kawę Justyny, przyglądali się jej przez chwilę. Zauważyła ich i zawołała:

– Ej, będziecie się tak gapić, czy pomożecie?

Spojrzeli po sobie.

– Pomożemy!

Przez kilka minut pracowicie przymocowywali owoce do gałązek, nucąc pod nosem piosenki ze składanki Justyny.

– Fajnie to wygląda! – odezwał się wreszcie Dominik. – Ale wiesz, że ptaki ci to wszystko zeżrą?

Spojrzała na niego ze zgrozą.

– Nawet jak wywieszę karteczkę: „Nie dotykać! Dekoracja!”?! – Przetarła twarz dłonią i uśmiechnęła się. – A niech sobie zeżrą! O to właśnie chodzi! Niech ptaki też wiedzą, że są święta! A my będziemy chociaż przez chwilę jedynymi ludźmi, którzy mają choinkę udekorowaną żywymi ptakami. Oczywiście, tylko do momentu jak nie zeżrą wszystkiego. Zamiast tak stać, podajcie mi te kulki z ziarnami.

Sięgnęli do wielkiego pudła i przez dłuższą chwilę zgodnie pracowali, mocując je w różnych miejscach. Gdy kulki się skończyły, Igor odszedł parę kroków od drzewka i pokręcił głową.

– Szkoda, że słoniny nie kupiłaś! Takie białe plastry fajnie by tu wyglądały. I sikorki by się skusiły, a są wyjątkowo dekoracyjne!

Popatrzyła na niego w zadumie, po czym zeszła z drabiny i pognęła do kuchni. Po chwili wyszła stamtąd, dzierżąc w dłoniach tacę z małymi plastrami słoniny. Przyniosła też szpikulce do szaszłyków, żeby zrobić dziurki

w plastrach. Podała im konopny sznurek i nożyczki.

– No to do dzieła, panowie!

Kiedy rozwiesili wszystkie plastry, Midas, który zastąpił Justynę na drabinie, zawołał z góry:

– Czegoś mi tu jeszcze brakuje!

– Czego?

– Na mojej choince zawsze wiszą takie sople, długie, białe... Za dużo tu okrągłego i małego!

– No... to chyba pietruszka by była dobra. – Stwierdził Igor.

– I parę marchewek, żeby kolorystycznie ożywić całość! – Zgodził się z nim Dominik.

Justyna zmierzyła drzewko krytycznym spojrzeniem, a potem z wahaniem spojrzała w stronę kuchni.

– Janek pomyśli, że mi odwaliło... – powiedziała, po czym machnęła ręką, zabrała pustą już tacę po słoninie i poszła w stronę jadalni. – No i w sumie to będzie miał rację, bo zawsze mi na święta odwala!

Pietruszki i marchewki rzeczywiście nadały drzewku właściwy charakter.

– Chyba sobie też taką choinkę zrobię! – stwierdził Dominik. – W ogrodzie mam co prawda tylko jabłonkę, ale przecież nie będę dyskryminował drzewa z powodu braku igieł.

– No dobra, to teraz trzeba by było popracować trochę nad założeniem rodziny! – Stwierdził zdecydowanym tonem Jakub Midas.

Spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

– Mamy was zostawić samych? – zapytał Dominik.

– Nie, wy też się przydacie. Bałwanowi trzeba pomóc! Aż żal, żeby taki elegancki facet tak tu samotnie sterczał!

Zabrali się do pracy i wkrótce do bałwana dołączyła pani bałwankowa,

dwoje dzieci, pies i kot. Elżbieta Milska, która przechodziła właśnie przez salon, ze zdumieniem spojrzała w okno, po czym otworzyła drzwi na werandę.

– Cali jesteście przemoczeni! – zawołała surowym tonem. – Jeszcze się poprzeziębiacie! Chodźcie w tej chwili do domu! Umyjcie ręce i zaraz wam przyniosę gorącej herbaty na rozgrzanie.

– A Natalce w sobotę tata pozwolił! – odpowiedziała Justyna tonem krnąbrnego dzieciaka. – Inne dzieci mogą się bawić w śniegu, a ja nie?!

– Dobra, bawcie się, tylko żeby mi potem nie było marudzenia, jak dostaniecie kataru! – Popatrzyła na ich dzieło. – Ale trzeba przyznać, że ładnie to wygląda. Tylko szkoda, że na wiosnę wszystko się roztopi...

– Dla niektórych warto się roztopić! – powiedzieli zgodnym chórem Justyna i Dominik.

Igor popatrzył na nich ze zdziwieniem.

– Skąd ten tekst?

– No weź, nie widziałeś *Krainy lodu*?

– *Krainy lodu*? – zastanowił się. – A to nie jest kreskówka?

– Tak, a co? – zapytała Justyna, naśladując głos bałwanka Olafa.

Igor otrzepał śnieg z kurtki i rzucił jej ostentacyjnie wyniosłe spojrzenie.

– No wiesz, jestem dorosły, jeśli nie zauważyłaś. Nie oglądam bajek.

Justyna oparła ręce na biodrach.

– Ha! Od razu wiedziałam, że musisz mieć jakąś skazę! – zawołała. – Ale aż takiego kalibru to się nie spodziewałam! Nie ogląda bajek! Czyli *Shreka* też nie widziałeś?

Pokręcił głową.

– *Madagaskaru? Epoki lodowcowej?* – wtrącił się do rozmowy Dominik. – No nie wierzę! O rany, chłopie, aż ci zazdroszczę, bo też chciałbym to znowu pierwszy raz obejrzeć!

– Jeśli mam być szczerzy, to ja też nie oglądam animacji – powiedział Jakub takim tonem, jakby przyznawał się, że co rano sika w kuchni pod stół.

Justyna złapała się za głowę.

– No to całe szczęście, że kobieta z dużego miasta się tu zjawiała! Pomogę wam nadrobić kulturalne zaległości. Już do domu! – Wskazała ręką drzwi. – I siadać przed telewizorem! Zaraz włączę *Shreka*! Przy okazji, po tej ciężkiej pracy, zapraszam was na kawę.

Włączyła telewizor, wybrała film i poszła do kuchni nastawić kawiarkę. Kiedy wróciła, wszyscy trzej zaśmiewali się już z tekstów zielonego ogra.

– No, nie ma to jak dorośli faceci! – skomentowała, stawiając tacę z kawą i siadając między Jakubem a Dominikiem.

Elżbieta Milska, przechodząc obok salonu, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Przyniosła z kuchni kubeczki z paluszkami i miseczkę chipsów, po czym postawiła je przed rozbawionym towarzystwem.

– Tylko nie nakruszcie! – pogroziła im palcem.

– Dobrze, mam! – odpowiedzieli chórem.

Kiedy seans dobiegł końca, Igor popatrzył na Justynę z powagą.

– No nie wiem, o co ci chodziło z tymi tekstami, że animacje są dla dzieci! – powiedział. – Przecież to głęboki film, z ważnym przesłaniem! Naprawdę, Justyna, musisz trochę wyluzować! – Uchylił się, bo rzuciła w niego poduszką.

We wtorek Justyna uznała, że lampki rozwieszane wokół werandy wyglądają ładnie wieczorem, ale w ciągu dnia weranda prezentuje się mało świątecznie. Przyniosła więc znowu drabinę ze schowka i spędziła cały ranek, wieszając u góry pomiędzy lampkami gałązki jemioły, ostrokrzewu i cisu. Zamocowała właśnie ostatnią gałązkę, gdy z recepcji wyszedł Jakub Midas, który przyjechał, żeby wymienić uszkodzoną umywalkę. Gdy zobaczył stojącą na drabinie Justynę, podparł się pod boki i zawołał:

– Ostatnio ciągle cię widuję na drabinie!

– Chcę ci udowodnić, że nadaję się do twojej ekipy budowlanej!

– Przyznaj się raczej, że stoisz specjalnie pod tą jemiolą, bo masz nadzieję, że się pojawię!

Popatrzyła na niego i zamrugła zalotnie rzęsami.

– No cóż, rozgryźłeś mnie! Ale mogłeś się trochę pospieszyć, bo czekam tu na ciebie od paru godzin... Już mnie nogi rozbolały.

– No to się doczekałaś. Oto jestem! – powiedział, podchodząc bliżej.

Justyna zeszła na niższy stopień drabiny, tak że ich głowy znalazły się na równej wysokości. Zarzuciła mu ramiona na szyję, pochyliła się i pocałowała go. Miał to być żartobliwy całus, ale kiedy ich usta się zetknęły, poczuła, jakby przez jej ciało przebiegła elektryczna iskra, która sprawiła, że żartobliwe cmoknięcie zmieniło się w żarliwy i namiętny pocałunek. Trwali tak złączeni, dopóki troje młodych turystów, którzy właśnie wyszli na werandę, nie zaczęło gwizdać, klaskać i krzyczeć: „Gorzko!”. Justyna i Jakub odsunęli się od siebie i popatrzyli sobie w oczy, ona lekko zmieszana, on – oszołomiony. Justyna szybciej zdołała ochłonąć. Zgrabnie zeskoczyła z drabiny i patrząc na niego z figlarnym uśmiechem, zawołała:

– Wesołych świąt!

– No, dla takiego prezentu warto być grzecznym przez cały rok! – odpowiedział lekko schrypniętym głosem.

– E tam! Szkoda życia na bycie grzecznym! – odpowiedziała i zanim weszła do recepcji, klepnęła go w tyłek.

Jakub stał przez chwilę zdumiony, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła razem z drabiną. Potem uśmiechnął się do siebie, wsiadł do furgonetki i odjechał, wspominając smak jej ust i delikatny zapach perfum. W radiu Maciej Maleńczuk śpiewał właśnie piosenkę Wojciecha Młynarskiego *Żniwna dziewczyna*, która idealnie wpasowała się w nastrój Midasa: „Marzyła mi się ta dziewczyna, jak się po pracy marzy święto. Nade mną błękit się rozpinał, pachniało wrzosem i pachniało miętą...”.

I Jakub rzeczywiście poczuł zapach wrzosu i mięty, i zobaczył wokół siebie

wszystkie kolory lata: maki, chabry i kołyszące się w słońcu pszeniczne kłosa, choć świat za szybą jego samochodu skuwał siarczysty mróz i okrywała puchowa kołderka ze śniegu.

## Rozdział 29

---

Spotkanie przedwigilijne w Leśnej Ostoji przebiegło w radosnej atmosferze. Jadalnia pensjonatu prezentowała się wyjątkowo pięknie dzięki przygotowanym przez Justynę dekoracjom, a dania zaserwowane przez kucharza zachwyciły gości, choć największe owacje wzbudził piernik upieczony przez Elżbietę Milską.

– Pyszności!

Piotrowi Wysockiemu drżały ręce, kiedy – jako najstarszy spośród zgromadzonych – rozpoczynając uroczystość, powitał wszystkich i rozdawał opłatki. Wygłoszone przez niego przemówienie było pełne humoru i ciepła, a życzenia, które składał każdemu z osobna, zaczynając od własnej żony, były tak żartobliwe i pogodne, że wszyscy patrzyli na starszego pana, uśmiechając się szeroko. Wymiana serdeczności trwała dość długo, bo starano się nikogo nie pominąć.

– Życzę ci, Justynko, żebyś nigdy nie straciła tego światła, które masz w sobie... – powiedział Jakub, pochylając się i całując ją w policzek. – I żeby zawsze był przy tobie ktoś, gotów podać pomocną dłoń...

– Och, tak pięknie to powiedziałaś... Poeta z ciebie, a ja jestem beznadziejna w składaniu życzeń... Dużo szczęścia ci życzę!

– Spełnienia marzeń, Justynko! – szepnął Igor, zajmując miejsce Jakuba. – A ty, zamiast mi czegoś życzyć, obiecaj, że sama spełnisz jedno moje życzenie.

– No, poczułam się jak złota rybka. A czego sobie życzysz?

– Żebyś przyszła jutro na pasterkę! – Jego twarz w świetle choinkowych lampek i świec wyglądała tak pięknie, że w tym momencie, gdyby tylko poprosił, Justyna poszłaby nawet na pielgrzymkę do Gwadelupy, i to na piechotę.

– Przyjdę – obiecała.

Kiedy już każdy każdemu złożył życzenia, usiedli do stołu i delektowali się wspólnym posiłkiem, słuchając nastawionej przez Justynę płyty z kolędami granymi na tradycyjnych, ludowych instrumentach. Za oknami prószył śnieg, nadając całemu otoczeniu baśniowy wygląd.

Później przyszedł czas na rozpakowanie prezentów. Łukasz usiadł pod choinką, tak jak robił to, będąc dzieckiem, wyciągał spod drzewka pudełka i zawiniątka, odczytywał imię i wręczał pakunki odpowiednim osobom. Jakub znalazł w jednej z paczek czerwone męskie stringi oraz bokserki z Supermanem. Podejrzliwym wzrokiem zmierzył wszystkich zgromadzonych, ale autor prezentu nie zdradził się najmniejszym gestem.

Mariusz i Krzysztof Wysoccy oszaleli na punkcie plecaków trekkingowych i sprzętu do wspinaczki, a ich ojciec przestał zwracać uwagę na otoczenie, zagłębiając się w lekturze wielkiej księgi na temat obróbki drewna i odnawiania antyków. Najstarszy pan Wysocki ze wzruszeniem oglądał album ze zdjęciami Emilii Drzewieckiej, które udało się skopiować z rodzinnego albumu Drzewieckich, a jego żona zachwycała się zestawem kolorowych włóczek i kordonków.

– Jakie cuda! – wzdychała. – W Drzewiu takich się nie dostanie!

Justyna, owinąwszy wokół szyi szmaragdowozieloną jedwabną apaszkę,



którą wyjęła z małej ślicznej paczuszki, otworzyła jako następne duże, kolorowe pudło. W środku znalazła koszulkę oraz kubek i podkładkę pod mysz z wizerunkiem Igora, Dominika i Jakuba w strojach trzech muszkieterów. Stali na tle pensjonatu, a w rękach, zamiast szpad, trzymali długie czerwone róże, krzyżując je przed sobą.

– Żebyś o nas myślała, nawet jak będziesz siedzieć w swoim wypasionym gabinecie!

Z kolejnej paczki wyjęła tomik wierszy Leśmiana. Obrzuciła szybkim spojrzeniem twarze trzech muszkieterów, ale wszyscy zajmowali się otwieraniem swoich prezentów. Igor cieszył się jak dziecko z trzytomowego najnowszego opracowania dziejów Polski, a Dominik przymierzał koszulkę z wizerunkiem wielkiego żubra, powalonego na ziemię przez policjanta uzbrojonego w gigantyczny pistolet, gdy Łukasz wyciągnął spod choinki paczkę zaadresowaną do Jakuba i Igora.

– Wspólny prezent? – zdziwili się.

Jakub niecierpliwie rozerwał papier i z triumfem pokazał Igorowi zestaw najlepszych animacji z ostatnich lat.

– No, to będziemy mieli co robić w długie zimowe wieczory!

\*\*\*

W wigilijną noc cała rodzina Milskich pojechała na pasterkę. Mało brakowało, a spóźniliby się, bo kiedy wyszli z dworku, czekała ich w ogrodzie niespodzianka dużego kalibru. Pod drzewkiem, które Justyna i trzej muszkieterowie tak oryginalnie udekorowali, stał... żubr. Nie zwracając uwagi na tłoczące się na werandzie, mocno zaskoczone towarzystwo, spokojnie zerwał jedną marchewkę, przeżuł wolno, po czym sięgnął po następną, trzęsąc przy tym całym drzewkiem.

– Mówiłaś o gilach, wróblach i sikorkach... – jęknęła Elżbieta Milska.

– A co, żałujesz mu? – odpowiedział zamiast siostry Łukasz. – Żubrowi też się coś od życia należy. Zwłaszcza w Wigilię!

– No teraz to już na pewno zrobię draniowi zdjęcie! – Oprzytomniała Justyna i pognąła do domu po smartfon. Kiedy jednak wróciła na werandę, ujrzała już tylko wielki zad żubra. Zwierzak najwyraźniej stracił apetyt wobec tak dużej publiczności i zniesmaczony podnieconymi szeptami, postanowił wrócić do puszczy.

– No i znowu lipa... – Justyna odłożyła telefon na komodę w holu i zagoniła rodzinę do samochodu. – Ruszcie się, kochani, bo się spóźnimy!

Terenówka Łukasza całkiem nieźle radziła sobie na zasypanej śniegiem drodze. Rodzina Milskich była zaskoczona tłumem ludzi, który zgromadził się w kościele. Wyglądało na to, że na pasterkę do Drzewia przyszli także niektórzy mieszkańcy okolicznych wiosek. Igor stanął przed ołtarzem kilka minut przed północą i uśmiechnął się do zgromadzonych.

– Witajcie, drogie panie i mili panowie! Cieszę się, że zdecydowaliście się tutaj przyjść, mimo mrozu, zamiast siedzieć w ciepłych domach i wcinać smakołyki. I proszę was, postarajcie się dzisiaj nie myśleć o tym, że ktoś obok was kaszle, a ktoś inny strasznie fałszuje... Myślcie o tym, że wszyscy przyszliśmy dzisiaj na przyjęcie urodzinowe do tego Maleństwa. – Wskazał ręką na leżącego w żłóbku Jezuska.

Kilka osób pokiwało głowami, a Justyna poczuła, że w kącikach oczu zbierają się jej łzy.

– Moi kochani – mówił dalej Igor. – Życzę wam z całego serca, żebyście choć przez chwilę zapomnieli, że jesteście odpowiedzialnymi, dorosłymi ludźmi i popatrzyli na te święta, na ludzi wokół was, na szopkę i choinki tak, jak patrzyliście na nie, będąc dziećmi. Radosnych świąt! – Skierował się w stronę ołtarza, ale w połowie drogi przystanął i odwrócił się do zgromadzonych, z figlarnym błyskiem w oczach. – Hej, i nie bądźcie tak śmiertelnie poważni! – dodał z szerokim uśmiechem. – Szczerzy śmiech wzmacnia fundamenty każdego domu, także Bożego!

Dał znak organiście i po chwili z góry popłynęła melodia kolędy na znak, że zaczyna się pasterka. A za oknami prószył śnieg, przykrywając całą okolicę białą puchową kołderką.

## Podziękowania

Dziękuję z całego serca:

Mamie i Joli – za to, że zawsze jesteście blisko, za bezwarunkowe wsparcie na każdym kroku i każdego dnia, za najtrwalszą i najpiękniejszą przyjaźń i miłość; słowem: za wszystko;

Darkowi – za to, że jesteś; za rzeczywistość lepszą od marzeń i sam dobrze wiesz, za co jeszcze...;

Rodzicom Chrzestnym – za ciepłe przyjęcie mojej powieści i szeroką reklamę (plus dodatkowo Wujkowi – za fachowe konsultacje motoryzacyjne do następnej części);

Cudownej ekipie Wydawnictwa Filia (wszystkim razem i każdemu z osobna) – za wspaniałą współpracę i wiarę we mnie. Szczególne ukłony dla Kasi Ratajczak oraz dla Pauliny Jeske-Choińskiej – za życzliwość, trafne spostrzeżenia, rewelacyjny kontakt i wartościowe uwagi;

Reni, Agatce i Agnieszce – prześwietnym dziewczynom (i najfajniejszym urzędniczkom na świecie) – za dobre rady, pozytywną energię, duchowe wsparcie, entuzjastyczne odebranie mojej książki i w ogóle – no same wiecie...;

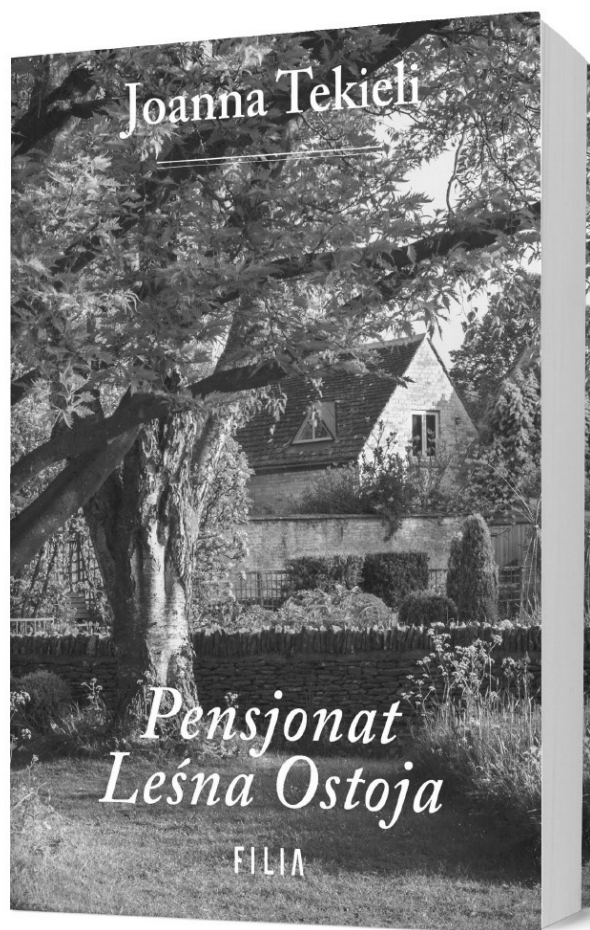
Tacie, Arkowi i całej Rodzinie – za wszystkie życzliwe komentarze;

Marcie – za zachwyty nad zwyczajną codziennością, niesamowity entuzjizm i przepiękne słowa na temat *Pensjonatu Leśna Ostoja*;

Ani – za miłe motywujące rozmowy, zapał, kibicowanie oraz wprowadzenie mnie w instagramowy świat;

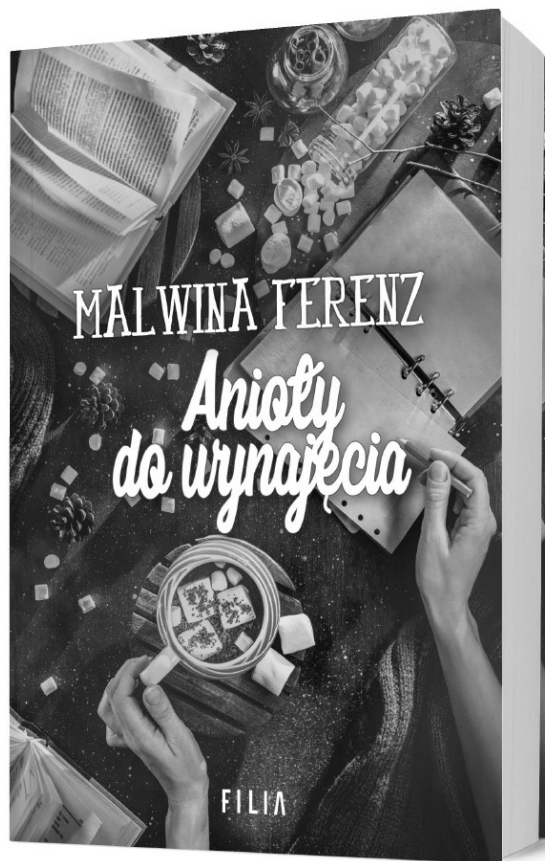
Wszystkim przyjaciółom i znajomym – za doping i wsparcie;

Przecudownym Recenzentkom, Blogerkom i wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy zechcieli się podzielić opiniami o mojej książce – za niezwykle recenzje i komentarze, które mnie uskrzydliły!



38-letnia Justyna, pracownica korporacji, otrzymuje od wrednej szefowej zadanie, które ma ją zmusić do złożenia wypowiedzenia: ma pojechać do starego dworku położonego w leśnej głuszy i zająć się jego odnowieniem i zaadaptowaniem na pensjonat.

**FILIA**



Drużyna jedna na milion. Co może pójść nie tak?  
Niespodzianka goni niespodziankę, na dodatek szczerze ubawiony Amor  
pudłuje, posyłając swoją strzałę zupełnie nie tam, gdzie powinna trafić.

**FILIA**

# Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

## **GRUDZIEN**

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

## **STYCZEŃ**

[Rozdział 7](#)

## **LUTY**

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

## **MARZEC**

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

## **KWIECIEŃ**

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

## **MAJ**

[Rozdział 15](#)

## **CZERWIEC**

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

## **LIPIEC**

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

## **SIERPIEŃ**

[Rozdział 21](#)

## **WRZESIEŃ**

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

## **PAŹDZIERNIK**

[Rozdział 24](#)



[Rozdział 25](#)

## **[LISTOPAD](#)**

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

## **[GRUDZIEŃ](#)**

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Podziękowania](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Joanna Tekieli, 2018  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Sandra Cunningham / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-649-6

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl